



KATRO

Katarzyna Rogińska

# WIEŻA SOKOŁA

*Officyna*

**Rogińska Katarzyna**

**Wieża sokoła**

**Część I.**

**DYMITRA**



**Przyczyny i początki** Mam na imię Dymitra, moją ojczyznę jest Grecja, moim językiem jest grecki. Mam chyba dwadzieścia lat, może jeszcze dziewiętnaście. Jestem wysoka, mam ciemne oczy, moi rodzice nazywają się Kostas i Sofija. Nie zdałam matury. Nie jestem już dziewczicą. Pora roku – zimna. Pora dnia – ciemność. Miejsce – Polska.

Poza tym nie wiem, jaki jest dzień, jaki miesiąc, jaki kolor mają w tej chwili moje włosy, która jest dokładnie godzina, ile ważę, nie pamiętam nawet, jak wygląda moja twarz. Nie wiem, co mnie czeka i czy jutro będę żyła. Wolałabym nie. Zaraz ucieknę z powrotem do swojej głowy, bo w pomieszczeniu, w którym przebywam, jest zimno i cuchnie z wiadra na odchody. Ja też cuchnę. I boję się. Potwornie się boję. Lepiej znowu zasnąć, bo i tak nie mam siły podejść do drzwi, dotykać ścian, obejść pokoju wokół, krzyczeć, czołgać się, drapać kamieni, walić głową w podłogę. Lepiej spać, może w końcu w czasie snu zdechnę, jak chore, poranione zwierzę.

Uciekam więc do mojej głowy i zaczynam po raz kolejny przewijać film o moim krótkim życiu. Każde wspomnienie jest cenne, szczególnie te pierwsze, pozbawione zabarwienia emocjonalnego migawki. Takie jak odłamek różowej muszli znaleziony wśród szarych kamieni albo małe kraby umykające w zagłębienia porowatej skały. Chłonełam wtedy świat taki, jakim był, bez oceniania i porównywania. Te najwcześniejsze wspomnienia dotyczą zapewne wakacji nad Zatoką Koryncką, gdzie mieliśmy domek, trzydzieści metrów od linii brzegowej, wilgotny i zimny w chłodniejsze dni, szczególnie zimową porą, przesiąknięty morską bryzą, z korodującymi od soli roletami, zawiasami i klamkami. Pościel w tamtejszym łóżku wydawała mi się zawsze mokra i nie lubiłam tam spać. Miałam plażowe buciki koloru fuksji i piaskownicę na placyku przed domem. Wspominam też zabawy na dachu naszego bloku w Pireusie, gdzie ktoś trzymał dwa psy. Chyba nigdy nie stąpały po ziemi, bo na dachu leżały ich odchody, wysuszone na kamień przez słońce. Psy były jednak łagodne i wesołe, rzucałam im piłki i szmaciane zabawki, a one przynosiły mi je z powrotem i kładły u moich stóp, wpatrując się we mnie brązowymi oczami i wywieszając różowe języki. Myślałam, że się do mnie uśmiechają. W moich wspomnieniach jest też stos śmieci, rosnący z dnia na dzień podczas

kolejnego strajku śmieciarzy. Nie wiem, dlaczego akurat ten zapamiętałam, było ich przecież tak wiele. Stałam na balkonie, patrzyłam na powiększającą się stertę i byłam pewna, że za parę dni sięgnie ona tarasu naszego mieszkania na czwartym piętrze. Wyobrażałam sobie, że jest pełen robaków, i strasznie się bałam, patrzyłam uważnie pod nogi, czy przypadkiem jakiś nie znalazł drogi do nas. Zardzewiałe łańcuchy kotwiczne na nabrzeżu, tam gdzie były hangary drużyn wioślarskich. W *dimotiko*<sup>11</sup> chodziłyśmy tam z dziewczynami popatrzeć na chłopaków z *gymnasio*. Rozciąłam sobie o taki łańcuch nogę, tuż nad kostką, kiedy balansowałam po nim, udając jakąś wróżkę z kreskówki, i nagle spadłam. Do tej pory mam bliznę. Krew kapiała na białe płyty deptaka, rana piekła, łzy ciekły mi po policzkach, a moja przyjaciółka biegła przodem, by zawiadomić matkę, że stało się nieszczęście. Ciepła, duża ręka ojca na moim ramieniu zatrzymuje mnie, gdy chcę pobiec do fontanny, ostrzega, że zgubię się w tłumie turystów, nie pamiętam, gdzie wtedy byliśmy... Czyżby na Syntagmie? Śnieg na balkonie, wszyscy mieszkańcy wybiegają na zewnątrz, robią zdjęcia, śnieg jest zimny i pachnie smołą, spod niego wyglądają zielone liście i purpurowe kwiaty naszego balkonowego hibiskusa, który nie przeżył tego niespodziewanego ataku zimy. Babka, matka ojca, cała w czerni, przed swoim małym, kamiennym domkiem na Peloponezie – to moje jedyne jej wspomnienie, potem chyba zmarła. Strącała cytryny z drzew rosnących przy domu za pomocą sękatego kija z oliwnego drewna, który służył także jako laska. Wspomnienia z *gymnasio* układają się już w jakieś dłuższe ciągi. Pamiętam przygotowywania do imprezy, na której pierwszy raz w życiu upiłam się jakimś zagranicznym, słodkim trunkiem o barwie rdzy i wymiotowałam jak nigdy dotąd. Potem do wiedziałam się, że tego rodzaju alkoholi nie pije się czystych, doda je się je do drinków, ale skąd mogliśmy to wtedy wiedzieć? Na tę feralną imprezę zaplotłam sobie włosy w mnóstwo cienkich warkoczyków. Pamiętam też inną imprezę, kiedy pierwszy raz całowałam się z chłopakiem, Georgiosem z równoległej klasy, teraz podobno studiuje w Wielkiej Brytanii, ale wtedy uważałam, że jest głupi, tyle że byłam ciekawa, a poza tym wszystkie moje koleżanki już się całowały, a ja nie. Na czarnej, bawełnianej bluzce miałam wyszyty

cekinami napis „córeczka tatusia”, po angielsku. I trampki conversy w trupie czaszki, z których byłam bardzo dumna. Staram się przypomnieć sobie jak najwięcej, ważne są najdrobniejsze szczegóły, kolor każdej koszulki, fason butów, trasa spaceru, słowa, pora dnia, kto wraz ze mną, do kogo, jaka byłam, czy zaczytywałam się wtedy w powieściach fantasy, czy był to już okres muzyki... Na jakim sprzęcie jej słuchałam i czy matka kazała mi ją ściszyć, gdy nieopatrznie podkręciłam kolumny na maksa w czasie sjesty? Chcę usłyszeć znowu odgłosy mojej ulicy – terkot skuterów, buzuki rozbrzmiewające z radia ustawionego na oknie sutereny zamieszkaney przez dwoje staruszków, pokrzykiwania Albańczyka z trójkołówką zbierającego złom i wszelkie inne graty, kocie walki w nocnej ciszy, dalekie pohukiwania syren statków wpływających do portu i cykady ćwierkające na rachitycznych drzewkach pomarańczowych. Płyty chodnika z kałużami wody skapującej z klimatyzacji, dziury w asfalcie, rozgniecione pomarańcze. Chłód marmurowej klatki schodowej i drewnopodobne wykończenie ścianek windy. Zapach perfum, jakich zawsze używała moja matka, jej kosmetyki na półce w łazience, smak błyszczyka do ust.

Staram się znaleźć początek tej drogi, która zaprowadziła mnie na dno piekła, ale nie ma go w obrazach, tylko w słowach, chyba tych, które nigdy nie padły. Bo ja naprawdę nie pamiętam, by rodzice mi czegokolwiek zabraniali. Chociaż mieli prawo. Ale byli inteligentni, wykształceni i nowocześni. Doradzali, tłumaczyli i rozmawiali. Dawali uczyć się na własnych błędach. Wychowywali mnie na obywatelkę demokratycznego państwa, kolebki kultury europejskiej. Miałam być samodzielna, mądra i dumna. Gdybym była córką kreteńskiego chłopca, nie mogłabym tak łatwo realizować swoich głupich, nastoletnich pomysłów. Ja po prostu myślałam, że tak można i że nikt mi nie zrobi krzywdy. Coś jeszcze przychodzi mi do głowy – wszędzie mówią, że w piekle płonie wieczny ogień. Mylą się. Piekło jest zimne.

Tak więc początek jest w braku słów. Przychodzi kolej na wspomnienia z czasu *lykeio*<sup>21</sup>, kiedy to już czułam się całkowicie dorosłą elitą intelektualną, bo przecież mogłam po prostu iść do jakiejś pracy, zostać fryzjerką, robić ciastka, sprzedawać w sklepie. Życie stanęło przede mną otworem, świat otworzył granice i to mi wystarczyło. Nie

byłam wyjątkiem. Wszyscy moi rówieśnicy, syci wolności, nie ruszali się dalej niż do sąsiedniej dzielnicy, a najczęściej obracali się na obszarze zakreślonym przez dom, ulubioną knajpkę, klub, ławkę na nabrzeżu mariny. Z grających ciągle telewizorów, plotek i gazet uczyliśmy się świata, zjednoczonej Europy, stosunku do innych kultur, pomstując na starców, zawieszonych nad szklaneczką ouzo, od dwudziestu lat przy tym samym stoliku. Niektórzy z nas spędzą przy swoim stoliku całe życie, starcy widzieli chociaż wojnę i czarnych pułkowników. Nie powinnam ruszać się ze swojego kafeneionu, wychodzić poza bezpieczne, znajome ulice. Nigdy. No, nie tylko starcom coś się w życiu zdarzyło, moje pokolenie też miało swoją wojnę. Wracam myślą do świąt Bożego Narodzenia, gdy na ulicach mojego rodzinnego miasta płonęły samochody, w stronę wagonów naziemnej linii metra leciały koktajle Mołotowa, a wszyscy, którzy nie mieli jeszcze dwudziestu lat, czuli, że nadszedł ich dzień decydowania o losach własnych i cudzych, dzień wolności, rządzenia, postrachu, kiedy dorośli chowają się po domach i za tarczami policyjnymi. Bo tym razem to oni zawinili. Zabili własne dziecko i nie mają już prawa mówić, że cokolwiek robią dla naszego dobra. Ten system się skończył, nie przyniósł nam niczego dobrego. Nie mamy przyszłości, przyszłość jest tylko dla wybrańców ze zgniłych od wewnątrz rodów rządzących. Ani my, ani nasi bracia i siostry, przybyli do nas z uboższych krajów w poszukiwaniu lepszego życia, nie mamy szans, bo dorobkiewiczze, łapówkarze i aferzyści gnębią nas i dołują. Takie słowa wykrzykiwałam ojcu i matce w twarz, trzaskałam drzwiami i biegłam do kafeneionu, gdzie czekali już moi przyjaciele, którzy mnie rozumieli. Rodzice uśmiechali się z pobłażaniem, mówili tylko: „Uważaj na siebie, byłoby nam przykro, gdyby ci się coś stało, trzymaj się z dala od tłumu”. A potem nawet dorośli bili nam brawo, gdy nacieraliśmy na kordony policji. „Cóż to za rząd, który zabija dzieci”, tak mówili, ale to my byliśmy na pierwszej linii, w oparach gazu łzawiącego, a oni na balkonach, za żaluzjami, wyglądający przez szpary jak szczury.

Prawdę mówiąc ani ja, ani moi przyjaciele nawet nie powąchaliliśmy gazu. Płataliśmy się gdzieś na obrzeżach manifestacji albo po prostu nie opuszczaliśmy bezpiecznej knajpy, wpatrzeni w ekran

telewizora, wynajdując sobie powody, dla których nie idziemy na rozruchy, ważne powody, usprawiedliwiające nas przed sobą samymi i sobą nawzajem. Dumnie przemierzaliśmy potem opustoszałe już ulice, pławiąc się w smrodzie palonej gumi z płonących samochodów. Pod naszymi stopami chrzęściło szkło z wybitych wystaw sklepowych. Widzieliśmy płonąca choinkę na placu Syntagma i to pewnie wielu z nas wystarczyło, by po kres życia opowiadać wszystkim, którzy zechcą słuchać, jak to się brało udział w rozruchach po zabójstwie małego Aleksa Grigoropulosa.

Na razie jednak przedsięwzięliśmy wyprawę aż do Plaki, daleko od naszej dzielnicy, w której nawet nie czuć dymu. Jest stąd blisko do centrum wydarzeń, do Parlamentu. Siedzimy w Macu przy stacji Monastiriaki, zajmujemy cały szeroki parapet, politykujemy, przekrzykując jeden drugiego. Jestem z moim chłopakiem, nazywa się tak samo jak ten, który zginął, ale ma już dziewiętnaście lat i pracuje na jachcie swojego ojca. Jacht (sama lśniąca biel, chrom i egzotyczne drewno) stoi na marinie Zea w Pireusie, porasta pąklami i czeka, aż wynajmą go bogaci turyści z Niemiec albo Anglii. Wtedy Aleksandros z ojcem wypływają w rejs, od jednej wyspy do drugiej, czekając w portach, aż nad ranem pasażerowie powrócą z dyskotek, pilnując, by pijani nie powypadali za burzę, kładąc ich na koje, sprzątając wymiociny, przygotowując kawę na dręczącego kaca. Przeważnie jednak nie mają zajęcia, siedzą na pokładzie, popijając kawę i ouzo albo czyszcząc burty. Szczególnie teraz, zimą, Aleksandros ma dużo czasu. Temperatura spadła do dwunastu stopni, wilgotność jest bardzo wysoka, wieje przenikliwy wiatr. Nie można w takich warunkach siedzieć na nabrzeżu, nawet gdy alkoholu jest pod dostatkiem, a w kambuzie można zagotować kawę. Na tym jachcie, jeszcze w lecie, straciłam dziewictwo – z Aleksandrosem właśnie. Jesteśmy już ze sobą prawie pół roku i wydaje mi się, że bardzo go kocham. Z dumą prezentuję plaster antykoncepcyjny na ramieniu.

Za oknem Maca kłębi się tłum. Stacja wchłania i wypluwa strumienie ludzi. Jedni dokądś się śpieszą, inni stoją w rozkrzyczanych grupkach, wymachując rękami. Samotny narkoman snuje się jak w zwolnionym filmie, przystając co chwila i zastygając w pół ruchu,



w niemożliwej wydawałoby się pozycji. Są też turyści, ale mniej ich niż w innych porach roku – przecież to zima. Wyraźnie zagubieni, może nawet przestraszeni tym, co pokazuje telewizja. Są biali i jak na nasz gust, zdecydowanie za lekko ubrani. Pewnie Szwedzi albo Norwegowie, im zawsze jest ciepło. Gadamy, dyskutujemy, krzyczymy – nie będziemy w przyszłości zarabiać sześciuset euro, bo państwo nas na to skazuje, nie będziemy płacić kroci za szkołę, bo państwo tak chce. Nie powinniśmy się kłaniać Unii, bo jesteśmy lepsi, gdy my mieliśmy demokrację, to oni jeszcze w skórach chodzili... I wtedy mój Aleks robi coś, czego mu nigdy nie wybaczę – krzywi się i krzyczy na moich przyjaciół, że jeśli tak, to czemu siedzą w tym Macu, zamiast go spalić? Przecież to najgorsze amerykańskie, imperialistyczne gówno, niemające nic wspólnego z tą historią, którą tak się chełpimy. Może byśmy tak poszli razem z anarchistami, zamiast tu siedzieć i pieprzyć, szczególnie że nie mamy pojęcia o walce, demonstracjach i protestach. A może byśmy poszli pracować i zobaczyli, jak to jest, bo w ogóle o niczym nie mamy pojęcia, starzy nam dają kasę i we łbach nam się przewracało, nawet nie wiemy, ile trzeba się naharować, by zarobić te sześćset euro, to przez takich jak my ten kraj się chyli ku upadkowi...

Wybiegam bez słowa w zimową, wilgotną ciemność. Nie mogę już z nim być, skoro nie docenia mnie jako osoby, którą jestem naprawdę, a widzi tylko zepsutą dziewczynkę, wyciągającą pieniądze od rodziców. Tak nagradza mnie za moją miłość, oddanie i seks? Robiąc mi wstyd przed znajomymi?

Zapadam w sen. Dwóch nagich, czarnoskórych, lśniących od potu mężczyzn ze związanymi z tyłu rękami skacze sobie do gardeł. Lśnią białka oczu i mocne, ostro spiłowane zęby, które wbijają się w szyję przeciwnika. Tryska krew, niehumaniczny, czarny, rozwidlony język wyłuskuje tętnicę. Mamy zwycięzcę... Nie wiem, które sny wolę, te na jawie, czy te, które mają mi przynieść odpoczynek.

Pamiętam, jak tamtej zimowej nocy wściekłość i podmuchy wiatru wyciskały mi łzy z oczu. Jak śmiał, jak on śmiał, upokorzyć mnie przed moimi przyjaciółmi! Jestem tak zła i rozżalona, że nawet w metrze nie mogę powstrzymać się od płaczu. W domu, nie mówiąc ani słowa, zamykam się w swoim pokoju i szlocham dalej. Wtedy przychodzi

ojciec, a ja, idiotka, mówię mu wszystko, wychlipuję w jego pizamę całą rozpacz i upokorzenie. Głaszcze mnie po głowie, przytula, mówi, że jeszcze tyle czasu przede mną, że jeszcze niejedyn Aleksandros mi się trafi. Potem zaczyna filozofować na temat wychowania greckich dziewcząt. Nie słucham go, znów się zapędził na swoje uczelniane manowce, ale ostatnie zdanie, wypowiedziane przez niego z bezwiedną tęsknotą, uderza mnie jak kolejny podmuch zimowego wiatru: „A kiedy przychodzi do małżeństwa, to rozsądny mężczyzna bierze sobie za żonę imigrantkę i ma cudowne życie...”. Odpycham go i krzyczę, by wyszedł z mojego pokoju. To już drugi mężczyzna tego wieczoru, który mnie zawiódł. Ale czego innego mogłam się spodziewać po własnym ojcu? Jest z tego samego, przeżartego korupcją i wygodnictwem pokolenia, skazanego na zagładę w ogniu historii.

W pokoju miałam pluszowe, różowe poduszki, haftowane w serca, dużo maskotek – misiów, piesków i innych zwierzaków, a na ścianie plakat z Che. Okno wychodziło na patio, gdzie głównie parkowały samochody sąsiadów. Mogłam też obserwować życie innych ludzi, graty, jakie gromadzili na balkonach, suszącą się bieliznę, trójkolorową, płochliwą kocicę imieniem Birilla. Wtedy wydawało mi się to straszliwie płytkie, drobnomieszczańskie, wkurzające i koszmarnie nudne. Teraz mam nadzieję, że po śmierci moja dusza poleci choć na chwilę właśnie tam, w zatłoczone dzielnice mojego dzieciństwa.

Matka w tym czasie niepokojów i zamieszek nie miała głowy do niczego, poza swoim rozwijającym się romansem z zachwycającym (według niej) i dziesięć lat młodszym kolegą z pracy. Zwierzała mi się, byłyśmy przecież nowoczesnymi kobietami, relacja matki z córką miała być partnerska, przyjacielska i otwarta – tak mówili psychologowie w edukacyjnych programach i autorzy artykułów w młodzieżowych czasopismach. W sklepach przymierzała przyciasne bluzeczki z dużymi dekolami i pytała, czy jej w tym do twarzy, w domyśle, czy spodoba się jej kochasiowi. Narzekała, że przemysł odzieżowy dyskryminuje kobiety dojrzałe, czyli po prostu grubsze. Oglądała majtki ze zwierzątkami z komiksów, w które ja bym już z trudem weszła, staniczki z koronkami i cekinami. Tragedia. Przestałam czuć, że jest moją matką. Matki są poważne, noszą ciemne, godne stroje, nie wciskają się w majteczki ze

Snoopym, aż fałdy tłuszczu wylewają się znad gumki. Tworzyłyśmy co prawda koalicję przeciwko ojcu – dwie wyzwolone kobiety kontra męski szowinista – ale nie przeszkadzało jej to wcale dostawać beznadziejnych napadów nadopiekuńczości i „dzielenia się doświadczeniem”, szczególnie tamtej dziwnej zimy płonących samochodów i tłuczonego szkła na ulicach. Tak naprawdę to uważałam ją za podstarzałą idiotkę i wstydziłam się za te jej młodzieżowe ciuszki, za młodego faceta i mizdrzenie się do słuchawki. Pilnowałam, by moi znajomi nie byli świadkami jej upadku. Obciach, siara i wiocha...

Ojciec przeżywał swoją drugą młodość mniej ostentacyjnie, ewoluował intelektualnie, po cichu. W końcu jednak nas zaskoczył – zamknął się ze swoimi studentami na uniwerku w dzielnicy Exarchia, odpierając szturm policyjny i nacjonalistów. Później już ciągle spędzał czas z młodzieżą. Stał się dla nich kimś w rodzaju guru, czterdziestoletniego starca – mędrca. Chłopcy chętnie z nim dyskutowali, a dziewczyny kleiły się do niego nawet w trakcie nieformalnych wykładów. Wiem, bo widziałam, byłam na jednym z nich, ukryta w tłumie. Ojciec siedział jak jakiś turecki dostojnik na wyściełanym poduszkami podium, a wokół ze cztery dziewczyny, tylko trochę starsze ode mnie, jedna z głową na jego kolanach, jakby zaraz miała mu obciągnąć. Nie zwracał na nią uwagi, chociaż rękę trzymał jej na cycach. Czuję niesmak – być może był wielkim filozofem i duchowym przywódcą anarchizującej młodzieży, ale jednocześnie był moim ojcem. Ojciec nie powinien zachowywać się jak sułtan w haremie, macać dziewcząt w wieku swojej córki. Dość już miałam rozszechotanej, infantylnej matki, teraz jeszcze on...

Znów zasnąłam wśród wspomnień. Śni mi się, że wraz z przyjaciółmi wracamy promem z którejś z wysp. Gdy przybijamy do portu, okazuje się, że to nie Pireus, ale jakieś zimne miasto Północy, pełne monumentalnych budynków z czerwonej cegły, pałaców przerobionych na więzienia i nagich, trawiastych wzgórz, zamieszkałych przez gromady bezdomnych. Moi przyjaciele, którzy nagle okazują się dużo młodszy ode mnie, mówią, że mam zawieźć ich do domu, że to moje miasto i znam te ulice. Próbuję przedostać się w jakieś bardziej znajome okolice plaży, ale jest na niej szlaban i wartownicy,

strzegący wejścia na tereny portowe. Wsiadamy w autobus i daremnie próbuję rozpoznać krajobraz za oknem. Widzę tylko malutką, obskurną knajpkę z zakratowanymi oknami o nazwie Kalimera, ale autobus ją mija, zagłębiając się w labirynt ulic. Myślę sobie, że powinni się tu schodzić ludzie z całego miasta na poranną kawę, żeby radośnie zacząć dzień. W autobusie i na ulicach jest jednak pusto. Dzieci, w które zamienili się moi przyjaciele, są coraz bardziej przerażone. Budzę się. Rzeczywistość jest tak samo ciemna, zimna i cuchnąca jak przed zaśnięciem.

Nie chciałam być zepsutą dziewczynką, rozwydrzoną córeczką modnie anarchizującego ojca i zidiociałej mamuski. Gdy poznałam wolontariuszkę pomagającą imigrantom z Afryki, zaczęłam jej towarzyszyć w wyprawach do dzielnic, które zbiorowa świadomość ateńczyków wymazała z mapy ich monstualnego miasta, chociaż jeszcze jeździły tamtędy autobusy miejskiej komunikacji. Byłyśmy tam jedynymi osobami o jasnej karnacji. Wokoło była Afryka, całe rodziny przed budynkami siedzące na chodnikach, obok dymiące piecyki do gotowania posiłków, podpłomyki pieczone na rozgrzanych blachach, wychudzone psy, kolorowe suknie kobiet, nagie dzieci, stosy odpadków. Mężczyźni kucający nad jakąś grą planszową, rozłożoną wprost na jezdni, starzec z otwartymi, bezzębnymi ustami, oparty o mur kamienicy, nie wiadomo, śpiący czy umarły. Koza, uwiązana do pomarańczowego drzewka, zjadająca jakiś zatłuszczony papier. Za chwilę miasto się skończy, a dalej będzie pustynia. Zabrali nam kawałek naszej ziemi, zamienili go w jakąś straszliwą afrykańską dziurę, tak pomyślałam, ze złością i lękiem, a potem szybko odrzuciłam tę myśl, bo przecież to nasi bracia, przyjechali szukać tu nowego życia, uciekli od niewyobrażalnych okropieństw i głodu, a ja przyszłam im pomóc.

Znajoma wolontariuszka rozmawiała w języku stanowiącym mieszaninę angielskich, francuskich i greckich słów z wysoką kobietą, otoczoną gromadką dzieci. Potem opowiedziała mi jej historię. Tere, tak miała na imię kobieta, pochodziła z kraju ogarniętego wojnami plemiennymi. Wielokrotnie była gwałcona, zabito na jej oczach jedno z jej dzieci, wdeptując je w ziemię, a męża okaleczono, odcinając mu stopę maczetą. Potem zagrożono, że odetną mu drugą, o ile nie pozabija

własnoręcznie swoich krewnych. Zgodził się. Z dwójką pozostałych dzieci Tere udała się do misji, a potem w nieznaną świat, o którym nie miała pojęcia, że istnieje. Na statku zmarło jej kolejne dziecko, dostało biegunki i prawdopodobnie odwodniło się, a ona nie wołała o pomoc, bo nawet nie wiedziała, że może to zrobić. Dotarła do Aten, spotkała ludzi ze swojego kontynentu, pokazali jej, jak tu można żyć. Teraz jest prostytutką, mieszka na ulicy i czuje się bezpiecznie. Nikt jej jeszcze nie zgwałcił. Ma nowe dzieci, nie bardzo wie z kim. Nikt ich nie zabija. Myśli, że znalazła się w raju.

Potem rozdałyśmy trochę odzieży i odżywek dla dzieci. Tłum gęstniał wokół nas, zewsząd wyciągały się ręce, ludzie krzyczeli coś w niezrozumiałych narzeczach. Uciekłam stamtąd, zostawiając wolontariuszkę. Potem było mi wstyd i nie spotykałam się z nią więcej. Zresztą poznałam Andreasa i było to znacznie bardziej fascynujące niż odwiedzanie zakazanych afrykańskich kwartałów.

Oczywiście stało się to w dzielnicy Exarchia, gdzie czasami odwiedzałam ojca na uniwersytecie. Teraz był to obszar wojny i niespodzianek z nią związanych, takich jak oblężenia, blokady, nagłe zamieszki obejmujące kilka przecznic, chmury gazu łzawiącego, płonący samochód, rozbite szkło. Nigdy nie było wiadomo, na co się natrafi. Tamtego dnia jakiś młody człowiek stał na ławce i przemawiał do gromadzących się wokół niego studentów:

– „Jeśli rzuci się jeden kamień, jest to czyn karalny. Jeżeli zostanie rzuconych tysiąc kamieni, jest to akcja polityczna. Jeśli podpali się jedno auto, jest to czyn karalny, jeżeli zostanie spalonych sto aut, jest to akcja polityczna”. Tak powiedziała Ulrike Meinhof. To, że załamała się i popełniła samobójstwo w więzieniu, to taka sama bzdura jak pieprzenie Michaletośa o tym, że naszą rewolucją sterują islamscy fundamentaliści. Ulrike została zgwałcona, uduszona i powieszona w swojej celi, a rewolucja wybuchła w naszych sercach! Sprowadzać nasz spontaniczny ruch do przesadnego patosu albo bezmyślnej żądzy niszczenia to znaczy zaprzeczać jego pochodzeniu od konkretnej sprzeczności między ideologią a rzeczywistością, z powodu stwierdzenia jego nieuniknionych ograniczeń zaprzeczać poziomowi teoretycznemu, który ten protest już osiągnął. My, studenci,

uświadomiwszy sobie swe psychiczne zubożenie w fabrykach wiedzy, identyfikujemy się z wyzyskiwanymi imigrantami, ze zniewolonymi przez unijnych mocodawców szarymi pracownikami międzynarodowych korporacji, z rolnikami, których trud już nikomu nie jest potrzebny. Zaslugą naszego zrywu – jego walk ulicznych, podpaleń, stosowania odwetu, jego patosu, a więc także jego przesady i głupoty – jest odbudowa świadomości istnienia teorii politycznej, bez której nie da się zrozumieć faktów politycznych, gospodarczych i ideologicznych ani ich przejawów, filozofii marksizmu-leninizmu, której zwyrodniałe formy proponuje nam legalna władza. Wyszliśmy z konkretnego doświadczenia sprzeczności między ideologią wolności nauki a rzeczywistością uniwersytetu rzuconego na pastwę globalistycznego kapitału, a ponieważ konflikt był zainicjowany nie tylko ideologicznie, to nie mógł nabrać tchu, dopóki nie doszedł przynajmniej teoretycznie do świadomości powiązania między kryzysem uniwersytetu a kryzysem ekonomicznym, dopóki dla niego i jego publiczności nie stało się jasne, że nie wolność, równość i braterstwo, nie prawa człowieka ani nie wyroki Trybunału Europejskiego stanowią o treści demokracji, że tu chodzi o to, o co zawsze chodziło w kolonialnym i imperialistycznym wyzysku: o dyscyplinowanie, podporządkowywanie i brutalność w stosunku do uciskanych i tych, co stają po ich stronie, podnoszą protest, stawiają opór, prowadzą walkę...

Przyglądałam się temu szczupłemu, wysokiemu młodzieńcowi o twarzy bizantyjskich świętych z kościelnych sklepień. Mówił z ogniem, jakiego jeszcze u nikogo nie widziałam, a poza tym był tak przystojny... Niewiele rozumiałam z tego, co mówi, ale nie mogłam oderwać od niego oczu. Gdy skończył i zeskoczył z ławki, ledwo przebiłam się przez tłum otaczających go, klaszczących i krzyczących ludzi, a potem już nie opuściłam, trzymając się w pobliżu i przemieszczając z grupą dyskutantów od ouzerii do ouzerii. W końcu mnie zauważył i spytał, czego szukam. Przedstawiłam się jako córka swego ojca-filozofa, myśląc, że zyskam przez to jakieś fory, ale myliłam się. Zamiast słów uznania usłyszałam, że jestem „rozpieszczoną, inteligencką zdzirą, prostytutującą idee nazwiskiem konformisty”. Krzyknęłam, że w końcu chciałabym się dowiedzieć, gdzie jest prawda,

a on obrażając mnie, tej prawdy mi nie pokazuje. Nie wygonił mnie, pozwolił przebywać w swoim otoczeniu, a nawet dał do przeczytania *Minipodręcznik partyzanta miejskiego* Carlosa Marighelli, żebym „wiedziała, o co chodzi”. Prawdę mówiąc, najbardziej chodziło mi o pójście z nim do łóżka, ale Andreas był niczym mnich, każdą próbę zbliżenia kwitował ideologiczną tyradą. Jednym słowem – jeśli rewolucja była ważniejsza niż seks, to udawałam, że rozumiem rewolucję. W imię rewolucji wyzbywałam się kieszonkowego i kasy na korepetycje, godzinami wysiadywałam z innymi dziewczętami z grupy Andreeasa przed biurami posłów, siedzibami banków, komisariatami i „obserwowałam”, zapamiętując, kto wchodzi, kiedy wychodzi i co ze sobą niesie. Trochę mnie niepokoiło ciągle gadanie o broni, wybuchach i terrorze, ale wystarczyło jedno spojrzenie spod długich, gęstych rzęs, bym myślała tylko o tym, jakby to było całować się z Andreasem, i cały niepokój zniknął. Lubił, kiedy śpiewałam piosenkę Evy Emmanouilidou:

*Nie przestaniemy bez względu na to, ile sznurów  
założycie na nasze szyje. Nie przestaniemy bez względu na to, ile  
błota  
rzucicie nam w twarz. Nie przestaniemy, nie będziecie już moczyć  
naszego nieba krwią. Nie przestaniemy, gazem łzawiącym nie  
zagłuszycie naszych marzeń.* Patrzył na mnie wtedy z takim ciepłym  
uśmiechem, iskierkami w oczach, niemalże z czułością. Najpiękniejsze  
minuty mojego życia. Nie ma rewolucji, nie ma walki, przecież to  
wszystko taka zabawa... Ważna jest miłość, przecież w końcu musi na  
mnie spojrzeć jak na kobietę.

Czułam się nagle poważniejsza od reszty moich dotychczasowych przyjaciół. Oni nie mieli pojęcia o rewolucji, dalej wysiadywali w tych samych kafeneionach, czerpiąc wiedzę o rzeczywistości z migawek telewizyjnych. Ja wiedziałam więcej, byłam wewnątrz, w kręgu wtajemniczenia, w samym centrum wydarzeń, gdzie rodziły się idee i ewoluowały w plany mające zmienić rzeczywistość. Co prawda nadal nie uczestniczyłam w bezpośrednich starciach z policją i miałam świadomość, że ideologia grupy nie jest dla mnie zbyt zrozumiała. Zagadnęłam więc ojca o Czerwone Brygady i grupę Baader-Meinhoff. Przyglądał mi się przez chwilę bardzo uważnie, mocno zaniepokojony,

a potem tłumaczył szkodliwość zbyt radykalnych ruchów, sypał przykładami porażek, rzezi i spektakularnych procesów. Pomyślałam, że pod pozorami wyzwolonego intelektualisty kryje się jednak mieszczanin, załęczony o swój majątek, posadę i rodzinę – chociaż oczywiście o nic nie dopytywał ani niczego nie zabraniał. Ja o rodzinę się nie martwiłam. Sen z powiek spędzał mi jedynie fakt, że Andreas mnie nie chce. Robiłam dla niego coraz więcej – przenosiłam tajemnicze, bardzo ciężkie paczki, czasem ukrywałam je w swoim pluszowo-maskotkowym pokoju. Nagradzał mnie uśmiechem.

Wszystko poza tym uśmiechem oddalało się coraz bardziej – matka zdradzająca ojca z małym chłopcem, ojciec przeżywający drugą, rewolucyjną młodość, szkoła, do której już miesiąc wcześniej niemal przestałam chodzić. Byłam w trzeciej klasie, do tej pory frekwencję i oceny z egzaminów państwowych miałam dobre. Istniały ważniejsze rzeczy niż nauka, głównie uśmiech Andreasa. Poza tym przecież ciągle byłam córką swojego ojca, który jako pracownik uczelni wyższej był dla moich nauczycieli kimś w rodzaju boga, byłam inteligentna i brałam korepetycje. Takich jak ja nie spotykają na egzaminach porażki. Widziałam się na studiach, najchętniej na filozofii bądź naukach społecznych, piszącą manifesty dla walczącej młodzieży, stojącą na ławce, przemawiającą do ludzi, przewodzącą tłumom.

W pewnym momencie usłyszałam w telewizyjnych wiadomościach o kolejnym napadzie na posterunek i o śmierci policjanta. Do zamachu przyznała się Sekta Rewolucjonistów, której manifest głosił: „Życie każdego policyjnego psa ma wartość jednego pocisku, a ich ciała stają się doskonałym celem praktyki strzeleckiej. Ani jednej łzy dla ich konduktów pogrzebowych. Psy nie mają imion, nie mają wieku, mają tylko stopień i numer. I tak jak paczki, które wcinają, nie są dobre bez dziury w środku”. Znałam tę retorykę aż za dobrze. Pomyślałam, że być może w jednej z tych ciężkich paczek, od których jakby wiało chłodem, znajdowała się kula, od której zginął człowiek. Wtedy chyba odkochałam się w Andreasie, a może tylko się przeraziłam i strach stłumił miłość. Przestałam przychodzić na spotkania grupy. Czułam się, jakbym wróciła do domu po kilku miesiącach życia w innym kraju, byłam oszołomiona i zagubiona, próbując dostosować



się na nowo, wejść w tryb codziennych zajęć, odbudować kontakty z ludźmi, zacząć żyć jak dawniej.

Zbliżał się nieubłagane czas egzaminów, których dotąd nie traktowałam poważnie. Zaczęłam panicznie się uczyć – przecież korepetycji nie brałam od kilku miesięcy, całe pieniądze przeznaczając na naszą „grupę ogniową”. Co powie ojciec, gdy się zorientuje? Co zrobi, gdy nie dostanę się na studia? Nawet nie wiedziałam, od czego zacząć. Patrzyłam jak zaczarowana na karty podręcznika i nie rozumiałam kompletnie nic. Zaklinałam rzeczywistość, przekonywałam sama siebie, że dzięki siedzeniu nad książką i czytaniu, nawet bez zrozumienia, wiedza jakoś do mnie przyjdzie.

Opowiadałam sama sobie historię swojego krótkiego życia, bo wolę nie zasypiać. Dobiegają mnie jakieś szmery, nie słyszałam ich przedtem, to jakiś nowy odgłos. Zaczynam się bać, fale gorąca przebiegają w górę, od moich stóp aż do głowy, boję się nowych tortur, nie ruszam się, udaję, że nie żyję. Coś chce się dostać do mojej celi, a moje dotychczasowe doświadczenie mówi, że to na pewno nic dobrego. Z tego bezruchu i napięcia przechodzę niespodziewanie w sen. Leżę na gorącym od słońca chodniku, chyba gdzieś w dzielnicy Plaka, i nie mogę się poruszyć, chociaż jakaś kobieta depcze po mnie obutymi w szpilki stopami. Nie widzę jej, ale myślę, że to raczej kobieta, przez te buty właśnie. Głowę mam odwróconą na bok, widzę marmurowy próg, metalowe nogi od krzesła pomalowane na niebiesko i gliniany dzban, z którego wyrasta bugenwilla. Nie mogę spojrzeć na tę, która zadaje mi ból. Sen się kończy i zapadam w całkowitą czerń, bez obrazów, uczuć i wspomnień. Chyba straciłam świadomość, bo gdy sięgam do blaszanej miski, jest pusta. Głowę daję, że była w niej owsianka na mleku. Musiałam to zjeść i nie pamiętam kiedy. Może w końcu oszaleję i przestanę w ogóle cokolwiek czuć?

Wtedy, przed egzaminami, udawałam, że się uczę. Udawałam, przed rodzicami i samą sobą, uspokajałam, że wszystko dobrze pójdzie, bo przecież siedzę nad książką całe popołudnie. Myślenie magiczne, myślenie życzeniowe. Za dużo, tak myślę dopiero teraz, za dużo udawałam. Wszystko wzięło się z okłamywania samej siebie i innych. A może z braku słów? Co wcześniej powiedziałam? Coś o braku

zakazów? No, to z jednego i drugiego. Dość powiedzieć, że egzaminy oblałam totalnie. Nie osiągnęłam nawet czterdziestu procent. Porażka.

Oczywiście, jak na złość, starzy dowiedzieli się od razu, bo poszli do szkoły oglądać listę wyników. Zebrało im się na tradycyjne małżeńskie spacerunki i troskę o córkę. Matka płakała, a ojciec się wściekł jak nigdy dotąd. Krzyczał, miotał się po mieszkaniu, trzaskał drzwiami. Byłoby to całkiem śmieszne, gdyby nie dotyczyło mnie. Na początku również krzyczałam, że chodzi mu tylko o pieniądze, a przecież jestem jego córką, powinien we mnie szanować człowieka, a nie bez przerwy rozczulać się nad tym, ile we mnie zainwestował. Wtedy powiedział coś strasznego – że nie jestem jeszcze człowiekiem, tylko głupim, rozpieszczonym bachorem, muszę udowodnić swoje człowieczeństwo, potem dopiero potraktuje mnie z szacunkiem. Rozpłakałam się, ale krzyczałam dalej. W końcu wyszłam, trzaskając drzwiami. Długo w nocy siedziałam sama na nabrzeżu portu, patrzyłam na przybijające promy i turystów, ciągnących walizki na kółkach, nieco oszołomionych i zagubionych. Nieopodal bezdomni z barakowozu pod kapitanatem wszczęli bójkę. Ulice opustoszały, z rzadka przejeżdżał nocny autobus na lotnisko Venizelosa. Uspokoiliam się. Wracałam do domu, mając nadzieję, że rodzice śpią. Czekali na mnie. Ojciec stwierdził, że mam iść do pracy, bo nie dostanę już od niego ani grosza. Matka nie płakała, milczała, kiwała tylko głową i czułam, że już nie jest po mojej stronie, przestałyśmy być przyjaciółkami. Nigdy nie byłyśmy. Byłam sama, moja paczka z parapetu w McDonalddie zdała egzaminy, lepiej lub gorzej, ale byli do przodu. Zresztą nasze kontakty rozluźniły się mocno – najpierw przez moje przygody z ulicznym partyzantem Andreasem, a potem przecież się uczyłam. Przecież się uczyłam... Tamtej nocy udało mi się jakoś zasnąć. Moim rodzicom chyba nie – szeptali długo pomiędzy sobą. Później nie odzywaliśmy się do siebie przez cały dzień. Siedziałam obrażona i przerażona w swoim pokoju, wychodząc tylko do łazienki, matka nawet nie zaproponowała mi zjedzenia czegokolwiek, bym ze wzgardą mogła odmówić. W końcu zgłodniałam i sama poszłam do kuchni, złapałam kawałek chleba, jakiś serek i uciekłam do siebie. Jeszcze tego chleba gotowi mi byli odmówić! Następnego dnia ojciec oświadczył, że mam jechać na Santorini, pomagać jego dawnemu

kumpłowi w pensjonacie do końca sezonu, a potem się zobaczy. Taką pracę mi załatwił i to jest ostatnia rzecz, jaką dla mnie robi. Żadnych dyskusji – albo przyjmuję bilet na prom, albo w tej chwili opuszczam mieszkanie. Nawet nie miałam siły protestować. Poszliśmy kupić ten bilet.

Przy pakowaniu walizki naszła mnie myśl, że oto ja, potomkini żeglarzy, uczonych i odkrywców, pierwszy raz w swoim życiu sama wsiadam na statek i żegluję w nieznane. Poza wyjazdami nad Zatokę Koryncką i Eubeę nie ruszaliśmy się nigdzie. Poważnie. Nawet na Akropol nie weszłam, wystarczył mi jego widok ze Wzgórza Aeropagu, gdzie piliśmy czasami piwo o zachodzie słońca, patrząc, jak Ateny rozświetlają się milionami światełek. Akropol był przecież dla turystów. Nie była to kwestia pieniędzy czy braku czasu, ale świadomość, że mam pod ręką całe piękno i historię mojego kraju oraz całe lata na jego poznawanie. Na razie ciekawsze rzeczy działy się na mieście. Niestety, przyszedł koniec miejskiego życia. Santorini jawiła mi się jako cykladzka wiocha dla bladych turystów spieczonych na czerwono, ciągnących za sobą ogromne walizy, akwalungi i płetwy.

Prom odpływał wczesnym rankiem. Ojciec odwiózł mnie na terminal, a matka, cholerna dziwka, moja niby wielka przyjaciółka, udawała, że śpi. Czara mojego żalu się przelała i na krótkim odcinku od domu do przystani zdążyłam ojcu opowiedzieć o jej młodym kochanku. Myślałam, że załatwię tą rewelacją obydwójce rodziców, ale ojciec tylko uśmiechnął się pod nosem i znów zaczął mówić o głupich, rozbestwionych greckich kobietach i zaletach imigrantek, które powinni brać za żony wszyscy rozsądni mężczyźni. Zdaje się, że doskonale wiedział, co się dzieje, i mój śmiercionośny pocisk chybił celu.

Wsiadałam na prom z gorzką świadomością, że nie zdołałam dokopać moim starym tak, jak na to zasłużyli. W dodatku kupili mi najtańszy bilet, pokładowy, nie szarpnęli się nawet na fotel lotniczy. Siadłam w barze, kupiłam sobie kawę i gapiłam się na wielojęzyczny, kłębiący się w podnieceniu tłum ludzi biegających od rufy do dziobu i od burty do burty, zwiedzających pokłady, sklepy wolnocłowe i bary, jedyne atrakcje promu Naksos kompanii BlueStar, wielkiego, ale czasy świetności mającego zdecydowanie za sobą. Jak ja wtedy tych ludzi

nienawidziłam – wszystkich, poczynając od bladych, spoconych angoli, poprzez grekokatolickiego popa z rodziną, a skończywszy na dwóch maślakach, obściskujących się ze swoimi chłopakami przy drzwiach ewakuacyjnych. Było gorąco, duszno, śmierdziało frytkami i papierosami, śmieci z koszy zaczęły się wysypywać już po dwóch godzinach, w plastikowych kubkach topiono niedopałki, jakieś dziecko wymiotowało, a stara Albanka kaszłała tak, jakby za chwilę miała wypluć płuca. Wyszłam na zewnątrz, ale wiatr był bardzo silny, a tłum wcale nie mniejszy, wszyscy biegali z aparatami fotograficznymi i tłoczyli się przy burtach, fotografując wyspy, skałę w kształcie płetwy rekina i wodę, jakby była to najwspanialsza rzecz na świecie. Wróciłam do baru, ale na moim miejscu siedział już jakiś kreteński, wąsaty dziad w czerni i żarł suvlaka. Skończyłam jak ostatnia frajerka, siedząc na walizce koło schodów, bez przerwy potrącana przez ganiających tam i z powrotem turystów wszystkich narodowości świata. Niektórych języków kompletnie nie rozpoznawałam. Dwukrotnie przybijaliśmy do przystani, na Paros i Naksos, a pod koniec podróży tłum ogarnęło dzikie podniecenie. Do barierek nie można się było dopchać, aparaty wędrowały nad głowy, mężczyźni podnosili kobiety, co niżsi podskakiwali. Wpływaliśmy do wulkanicznego krateru Santorini. Słyszałam od wielu osób, że to wspaniały widok, ale stwierdziłam, że nie będę walczyć o miejsce z promową hołotą. Widziałam tylko białe osady na rdzawoczerwonym klifie, wyglądające jak śnieg na szczycie góry.

W niewielkim porcie u podnóża pionowej ściany miejscowi z tabliczkami polowali na przybyszów, oferując im noclegi, transport, wycieczki na kalderę, doskonałe jedzenie w swoich restauracjach, wypożyczenie samochodu, skutera, quada... Stali karnie za barierkami, odgraniczającymi zejście z promu, krzyczeli jeden przez drugiego, trzymając tabliczki w uniesionych wysoko rękach. Na jednej z nich było moje imię.

Duży, długowłosy mężczyzna imieniem Stawros, kolega mojego ojca z lat studenckich, posadził mnie w swoim rozpalonym do czerwoności busie, a sam pobiegł znaleźć jeszcze jakichś turystów, żeby nie wracać na pusto. Po chwili do środka pakowało się starsze

małżeństwo z plecakami, niebieskoocy blondyni w przepisowych kapelusikach chroniących przed słońcem, ona wysoka i tęga, on niski i drobny. Spoceni i zziajani. Chyba płynęli tym samym promem co ja. Stawros zagadnął ich o kraj, z którego przyjechali. Kobieta rzuciła coś, co brzmiało jak „Holland”. Pokonywaliśmy stromą serpentynę jedynej drogi z portu, wąskiej i zatłoczonej, po której w obu kierunkach jechały busy, ciężarówki z żywnością i piętrowe autokary. Stawros na cześć pasażerów rozpyływał się nad holenderskimi tulipanami, wspominał brata, który mieszka w Amsterdamie ma tam restaurację. Kobieta chciała coś powiedzieć, jednak machnęła ręką, powiedziała tylko kilka słów w szeleszcząco-warczącym języku do męża, który najwyraźniej nie rozumiał po angielsku. Roześmieli się.

Jechaliśmy w stronę Perissy, na „gorszą” część wyspy, gdzie nie widać kaldery i nie ma klifu, za to są różnokolorowe, pumeksowe plaże. Pensjonat Stawrosa był akurat nieopodal plaży czarnej. Wyglądałam przez przyciemnione okno busa – nagie skały, gdzieniegdzie poletka rachitycznej winorośli i cykladzkie domki z półokrągłymi dachami, bardzo wiele w trakcie budowy. Wysoka góra z nieodłączną chmurą zakrywającą szczyt i rząd zrujnowanych, kamiennych wiatraków na skalnym grzbiecie. Oto właśnie najśłynniejsza i najpiękniejsza wyspa świata. Atlantyda. Jakiś rolnik obsypywał swoje nędzne pomidory oślim nawozem.

Pensjonat Stawrosa jest w Perivolos. Za kamiennym murkiem, wśród krzaków figowca stoi kompleks białych apartamentów z niebieską stolarką i beczkowatymi stropami. Patio, zadaszone palmowymi liśćmi, niebieskie stoły i krzesła z rattanowymi siedzeniami, basen, mały barek. Za chłodziarką do napoi gnieździ się kotka z kociętami. Stawros z żoną mieszkają w piwnicy pod recepcją. Dobrze robią, zostawiając rozpaloną słońcem powierzchnię turystom. Dostają pokój na piętrze. Przez małe okienko widzę figowce, poletko pomidorów, asfaltową drogę i apartamenty po drugiej stronie, niemalże identyczne jak te, w których będę pracować. Gdzieś po lewej jest morze i słynna czarna plaża. Nad okolicą góruje szczyt Proroka Eliasza. Na czubku Proroka, niemal ciągle zachmurzonym, jest jednostka wojskowa. Obok domu tylko minimarket z cenami dwukrotnie wyższymi niż

w Atenach, wypożyczalnia skuterów i przystanek. Żegnaj cywilizacja, żegnaj rozrywko i kulturo, żegnajcie przyjaciele. Dymitra rozpoczyna dorosłe życie jako pokojówka.

Do moich obowiązków należało sprzątanie w studiach, zmiana pościeli i ręczników, zmiatanie patio i drogi wjazdowej, podlewanie roślin, służenie gościom radą i pomocą, zastępowanie Stawrosa i jego żony w recepcji, zamawianie prania, lodu oraz dostaw alkoholu i napojów, karmienie kotów, wyławianie z basenu zabawek i butelek, mieszanie i podawanie drinków, bycie przewodnikiem i kierowcą, aha, zawsze też trzeba pamiętać, by w studiach były wkładki na komary, bo goście boją się komarów. No i rośliny, trzeba dbać, żeby ładnie wyglądały. Marika, szczupła, cicha żona Stawrosa, mi pokaże. Jak wszystko zrobię, to mogę iść na plażę albo na dyskotekę, albo gdzie chcę, ale żebym była pod ręką. Pieniądze? A cóż znaczą pieniądze? Będą goście, to będą i pieniądze, zobacz lepiej, Dymitra, jak tu pięknie. Swoich gości mogę zapraszać, ale lepiej nie, bo jestem młoda i mogą hałasować. A schowek z odkurzaczem i środkami czystości jest tam, o, zaraz obok agregatu. Za agregatem mieszka druga kotka z kociętami, śliczne są, prawda? Stary hipis i filozof Stawros rozparł się na pleconym fotelu i zapalił papierosa, z zadowoleniem spoglądając na swoje królestwo. Poszłam płakać do mojego studia.

Po pierwszym dniu pracy bolały mnie wszystkie mięśnie – niekończące się zmiatanie, odkurzanie, noszenie pościeli, mycie łazienek, podlewanie ogrodu, wyławianie siatką zabawek, które wieczorem wrzuciły do basenu wrzaskliwe niemieckie bachory... Pół nocy nie mogłam zasnąć przez ich gardłowe pokrzykiwania i biegi po patio. A jeszcze sezon na dobre się nie zaczął! Marika, żona Stawrosa, wcale nie była taka cicha, jak się z pozoru wydawało. Znajdowała się wszędzie jednocześnie, szczególnie w tych zakamarkach, w których postanawiałam chwilę odpocząć. Brała mnie za rękę, jak niegrzeczne dziecko, i prowadziła na nowe obszary sprzątania, po drodze pokazując, co już zrobiłam źle, i dopilnowując, bym poprawiła błędy. Gotowałam się z wściekłości i w końcu zwiałam na plażę. Góra Proroka przytłaczała morze i niebo. Plaża była obrzydliwa – czarna z brunatnym odcieniem, nogi zapadały się po kostki w ostrym pumeksie, leżaki odstręczały

twardymi, drewnianymi siedziskami. Poduszka tylko za opłatą lub dla gości restauracji. Wróciłam na kolację, ale nie dostałam wiele. Stawros wyjaśnił mi, że kto nie pracuje, ten nie je, i wdał się w wywody o szlachetnej duchowości robotnika fizycznego, z których wynikało, że harówka wysubtelnia i powinnam być wdzięczna za możliwość osiągnięcia wyższego etapu rozwoju moralnego dzięki czyszczeniu sraczy i powlekaniu pościeli. Zadzwoiłam do ojca z krzykiem i pretensjami, potem z płaczem. Tak, oczywiście, mogę wrócić do domu. Za co? Za pieniądze, które zarobię. Nie podoba mi się u Stawrosa? Nie ma sprawy, mogę sobie znaleźć coś innego, w sezonie na Santorini na pewno potrzeba rąk do pracy. Co, nie nadaję się do pracy fizycznej? Cóż, trzeba było wcześniej pracować umysłowo, teraz już za późno. Przerwał połączenie. Był wobec mnie bardzo niesprawiedliwy. Obdzwoniłam, kogo się dało. Wszyscy na wakacjach albo w pracy. W jakiej pracy, ludzie, co wy, oszaleliście?! No cóż, nie każdy ma takich dzianych starych jak ty... Zapukała Marika i powiedziała, że zapomniałam nakarmić koty.

W tej chwili czuję cień tamtej wściekłości, ale nie mam siły nic z nią zrobić. Jestem bez sił i chce mi się spać. Śni mi się łąka, zielone, płaskie pastwisko, nie greckie, trawa jest zbyt wysoka, gęsta i wilgotna. Sunę kilkanaście centymetrów nad nią, unosząc się w powietrzu. W trawie widzę walające się odcięte głowy: ojca, matki, Andreasa, Stawrosa i jego żony Mariki. Unoszę wzrok, by nie patrzeć na te okropieństwa, ale po zachmurzonym, szarym niebie unoszą się głowy innych moich znajomych, zraszając mnie jeszcze ciepłą krwią.

W rzeczywistości to współniczka moich katów przyszła do mnie i obmywa mi twarz gąbką, namoczoną w ciepłej wodzie. Nie zna ani słowa po angielsku, ale doskonale rozumiem jej gesty. Z trudem się rozbieram. Myje mnie, jakbym była przedmiotem, przewraca z boku na bok, przekłada, przestawia. Jedno jej słowo może mnie zaprowadzić na dno koszmaru. Nakładam świeże ubranie i siadam na wózek inwalidzki. Daje mi zastrzyk, bym już zupełnie na nic nie miała siły. Zapadam w sen bez wizji. Budzę się w ciemnym, piwnicznym pomieszczeniu, które od długiego czasu jest moim więzieniem. W nagrodę mam czyste ubranie, nowe powleczenie na materac, wyniesione wiadro i nie śmierdzą. Na

talerzyku obok legowiska leży kostka loukumi jeszcze jedna, wyrafinowana tortura. Jednak nie mogę się powstrzymać, na języku czuję słodycz, a w gardle drapanie cukru-pudru. Nigdy nie lubiłam loukumi. Wracam do krainy wspomnień.

W pensjonacie Stawrosa wciąż pojawiali się nowi goście, roboty było masę, ja powoli przywykałam do pracy fizycznej i przestawałam się buntować. Ćwiczyłam angielski, uczyłam się niemieckiego i mieszania drinków. Koty z za agregatu bały się mnie nadal, za to te z za chłodziarki były bardziej oswojone. Na miejsce jednych rozwrzeszczanych bachorów przyjeżdżały następne i tak samo wrzucały zabawki do basenu. Co chwilę musiałam jeździć do apteki po środki łagodzące poparzenia słoneczne dla białoskórych i jasnowłosych, tłumaczyć, że od południa do godziny osiemnastej wychodzenie na słońce jest niewskazane, *verboten* i *nicht gut*. Wieczorami mieszałam coraz lepsze drinki i znosiłam podrywy grubych białasów. Mówiłam, że jestem córką szefa i przyzwoitą grecką dziewczyną. Greckie dziewczyny nie słuchają świńskich propozycji, a greccy ojcowie bardzo się złością, gdy ktoś bałamuci ich córki. Bo my, Grecy, jesteśmy bardzo przywiązani do tradycji, *do you understand?*

Pod koniec lipca w pensjonacie pojawił się jednak szczupły blondyn, zdecydowanie nietypowy, bowiem słońce nie robiło na nim żadnego wrażenia. Opalony był na brąz, jasne jak u psa husky oczy odcinały się od ogorzałej twarzy. Mógł mieć trochę ponad trzydzieści lat, był podobny do Roberta Redforda i miał grubo starszą od siebie żonę. Mówił nienaganną angielszczyzną, a z żoną porozumiewał się tym samym szeleszcząco-warkliwym językiem co śmieszna para *from Holland*. Na sam jego widok robiło mi się rozkosznie słabo, co mnie zdziwiło, bo nigdy nie podobali mi się starzy faceci, a on miał co najmniej piętnaście lat więcej niż ja. Nigdy nie był nachalny, a ja tym razem chciałam, by mnie podrywał. Jego żona była stara, choć trzymała się doskonale – szczupła, umięśniona, zawsze nienagannie uczesana i ubrana. Lubiła pływać w basenie i chodzić na długie spacery, czasem sama, czasem razem z nim. Spali osobno – wiedziałam, bo rozstawili sobie leżankę dla dziecka, choć betonowy podest na materac, który w studio zastępował łóżko, był wystarczająco szeroki dla dwóch osób.



Płacili dobrze i zamierzali siedzieć w Perivolos co najmniej miesiąc – tak powiedział Stawros, przykazując mi, by cennym gościom niczego nie brakowało. Wieczorami ona pływała w podświetlonym basenie, on siedział przy stoliku i przyglądał się jej. Zrobiłam najlepszego drinka, jakiego umiałam, i postawiłam przed nim.

– Od firmy, szef częstuje.

– O, dziękuję bardzo...

– Jesteś z Holandii?

– Jestem z Polski.

– Czy przygotować drinka dla twojej żony?

– To nie jest moja żona. To moja matka. Powiem jej, ucieszy się, że tak dobrze wygląda.

Miał piękny uśmiech, białe, równe zęby, na opalonej skórze przedramion odcinały się jasne włoski. I ta stara, zasuszona kobieta nie była jego żoną! Zasnęłam szczęśliwa, pierwszy raz od bardzo dawna.

Dzień po dniu uzyskiwałam coraz więcej informacji. Na imię mu Edward. Nie mogłam tego poprawnie wymówić, stale wychodziło mi coś podobnego do angielskiego „Eduard”. Jest lekarzem. Ma dom w portowym mieście Gdańsk. Jego matka coraz dłużej siedziała w basenie, a on stawał oparty o barenk i rozmawialiśmy. Opowiedziałam o swoich okrutnych rodzicach i niezdanej maturze, o poniewierce u Stawrosa, a potem jeszcze o Andreasie i płonących samochodach, podejrzenie ciężkich paczkach i zastrzelonym policjancie. On słuchał, patrzył na mnie przejrzystymi jak woda oczami, gęste, niemal białe włosy odgarniał do tyłu. Współczuł mi. O sobie niewiele mówił, czasem lekko dotykał mojej dłoni, a mnie się od tego robiło gorąco, słabo i mokro w majtkach. Był piękny jak anioł, delikatny i akceptował mnie bez zastrzeżeń, w przeciwieństwie do wszystkich innych dojrzałych osób, jakie znałam. Matka wychodziła w końcu z basenu i szli razem do pokoju. Potem przez cały dzień chodziłam jak we śnie, machinalnie sprząając i podlewając ogród. Oczywiście przy najbliższej okazji przeszukałam jego rzeczy, ale niczego specjalnego się nie dowiedziałam, poza faktem, że nosi drogą, firmową bieliznę, a to, czym pachnie, to Diesel. Co zrobię, jak wyjedzie? Jak wytrzymam na tej cholernej wyspie? Byle do wieczora...

Pewnego dnia spotkała mnie miła niespodzianka. Matka Edwarda postanowiła zdobyć górę Proroka Eliasza, a on sam udał się do Stawrosa, by zwolnił mnie ze sprzątanania i wypożyczył jako kierowcę i tłumacza, bo chce zrobić zakupy przed wyjazdem. Ruszyliśmy bussem do Thiry. Cudem znalazłam miejsce parkingowe przy dworcu autobusowym i ruszyliśmy w labirynt starego miasta w poszukiwaniu oryginalnej cykladzkiej ceramiki, tkanin, oliwy, przysmaków i wszystkiego, co turyści stąd wywożą. Trzymał mnie za rękę, byśmy nie pogubili się w gęstym tłumie. Po kilku godzinach uginaliśmy się pod ciężarem toreb. Upał był coraz większy, zbliżała się pora sjesty. Zaprosił mnie do restauracji z widokiem na kalderę, więc automatycznie droższej. Kelner postawił przed nami wodę z lodem, zamówiliśmy jakieś kalmary. Patrzyliśmy na Spaloną Wyspę, ogromnego, dymiącego, czarnego smoka, gotowego w każdej chwili przebudzić się i zniszczyć ten świat wąskich, krętych uliczek, niekończących się schodków i białych domów. Milczeliśmy, aż Eduard odezwał się cicho:

– Mam żonę...

– Nie musisz mi się tłumaczyć.

– Nie, posłuchaj. Ona jest ciężko chora, nie wstaje z łóżka, ma urojenia, coraz mniej rozumie. Kocham ją, oczywiście, zajmuję się nią, kiedy mam czas. Pracuję bardzo dużo, w Polsce lekarze pracują na okrągło dwadzieścia cztery godziny. Kiedy mnie nie ma, opiekuje się nią mama. Raz do roku wyjeżdżamy gdzieś odpocząć, a Ewę umieszczam w domu opieki, ale źle się tam czuje. Mama już nie ma siły, chciałaby jeszcze coś mieć z tego życia, a nie bez przerwy zajmować się chorą synową. Widzisz przecież jaka jest aktywna. Za parę dni wracamy i naprawdę nie wiem, co zrobię...

– Wynajmij kogoś do opieki, pielęgniarzkę czy opiekunkę...

– To za drogo. U nas takie usługi bardzo drogo kosztują. Przecież taka osoba musiałaby u nas zamieszkać. A kobiety przeważnie mają rodziny.

– Ja mogłabym ci pomóc. To znaczy jechać z wami. Nie jestem pielęgniarzką, ale wszystkiego się nauczę, naprawdę.

– Nie, nie mógłbym cię o to prosić. Nie zapłacę ci tak, jak byś na to zasługiwała, powinnaś się uczyć, bawić, a nie...

– Nieważne. Nie mam dokąd wracać, nie pójdę na studia, nie zdałam matury, zapomniałeś? Rodzice wyrzucili mnie z domu. Czy to nie wszystko jedno, gdzie będę pracować? Przynajmniej poznam jakiś inny kraj.

– Nie byłeś za granicą?

– Nie.

– To dziwne, przecież mówiłaś, że twoi rodzice są bogaci.

– Nie miałam potrzeby dokądkolwiek wyjeżdżać. To do nas ludzie przyjeżdżają.

– U nas nawet małe dzieci wysyła się na wakacje za granicę. W Polsce nie można wypocząć, tak mówią...

Nie mówił już na temat mojej propozycji, rozgadał się o swoich zagranicznych wояażach. Patrzyłam na Spaloną Wyspę i w oczach miałam łzy.

Wieczorem nie podszedł do baru. Pływał w basenie wraz ze swoją matką. Rano kupiliśmy ciastka, teraz je jedli, popijając kawą, którą sam przygotował. Matka mówiła dużo, on potakiwał, uśmiechał się. Pewnie opowiadała mu o tym, jak było na górze. Podobno są tam ruiny starożytnej Thiry, ale cóż ciekawego może być w ruinach poza jadowitymi węzami? Słyszałam, jak Marika ostrzegała, że w górach są węże, ale starsza kobieta tylko się śmiała, gdy Edward jej to przetłumaczył. Ciekawe, czy śmiałyby się, gdyby ją jakiś ukąsił. Ja bałam się węży, nigdy bym nie poszła na tę górę. Nie zwracali na mnie uwagi. Stwierdziłam, że nie mam w życiu ani grama szczęścia.

Następnego wieczoru zaproponowałam Edwardowi, by przyszedł do mnie w nocy do pokoju. Przesunął palcem po mojej górnej wardze, uśmiechnął się smutno, powiedział, że muszą się pakować, bo pojutrze odlatują. Najpierw do Aten, a potem do Polski. Nie powinnam się jednak smucić, na pewno znajdzie się ktoś bardziej odpowiedni od niego, taki, co na mnie zasługuje. Płakałam, on patrzył i też miał łzy w oczach. A następnego dnia poprosił, bym wraz z nim siadła do komputera. Obejrzymy odloty do Polski. Naradził się z matką i mogę do nich przyjechać – z długą wizytą. Jeśli zechcę, to trochę pomogę. Kupi mi bilet. Rzuciłam mu się na szyję, z rozpędu uściskałam też jego matkę. Odsunęła się ode mnie z gniewnym wyrazem twarzy, ale nie zwróciłam

wtedy na to uwagi. Odlatywali nazajutrz, w Polsce mieliśmy się spotkać za dziesięć dni.

Odlecieli, ja też zbierałam się do odjazdu, nie zwracając uwagi na narzekania Stawrosa na trudności ze znalezieniem kogoś do pomocy w środku sezonu. Mimo wszystko zapłacił mi uczciwie za przepracowany czas i jeszcze odwiózł na prom. Za własne pieniądze kupiłam sobie bilet pokładowy, najtańszy, nie chciałam trwonić kasy na zbędne luksusy. Żegnałam Santorini bez żalu i nawet stanęłam przy burcie, by zobaczyć czarną Nea Kameni, rdzawe ściany krateru i białe miasteczka na szczycie. Po ośmiu godzinach rejsu byłam w Pireusie, pieszo pokonywałam drogę do domu. Do ojca przedzwoniłam z promu. Nie usłyszałam w jego głosie radości z mojego powrotu. Nie wyszedł po mnie na nabrzeże. Jeszcze więc nie odpokutowałam?

Czekali na mnie obydwój w wysprzątanym, niemal pustym mieszkaniu. Oświadczyli, że się rozwodzą. Matka już właściwie mieszka u swego kochanka, ojciec zaś przeprowadza się do domu dziadków. Będzie miał stamtąd nieco dalej do pracy, ale za to większy spokój. To mieszkanie dostanę, jak się ustatkuję i spoważnieję, bo widzą, że znów nie potrafiłam sobie poradzić, nawet ze sprzątaniami w pensjonacie.

Odpowiedziałam, że mam gdzieś ich rozwody i mieszkania, bo wyjeżdżam. Dokąd? Do Polski. O Święty Chryste, po co do Polski, to straszny, zimny kraj, co ja będę tam robić? Będę osobą do towarzystwa dla pewnej chorej pani, poznałam jej męża i teściową w pensjonacie Stawrosa, to porządni, bogaci ludzie. Matka wyszła, znacząco spoglądając na zegarek, zaś ojciec zaczął opowiadać:

– Kiedy czarni pułkownicy prześladowali naszych komunistów, jednym z krajów, gdzie mogli żyć bezpiecznie, była socjalistyczna Polska. Ludzie przyjmowali ich tam przyjaźnie, nasi towarzysze zawierali małżeństwa z Polkami, rodziły się dzieci. Nikt ich nie prześladował. Tylko wiesz, my jesteśmy narodem śródziemnomorskim, przyzwyczajonym do słońca i ciepła. Tam jest inaczej, przez większość roku jest zimno, jak u nas w lutym, a zimą jeszcze dużo, dużo gorzej. I ciemno, dzień trwa kilka godzin, słońce nie wychodzi tygodniami. Wielu naszych oszalało, nie mogąc znieść ciemności i zimna, naprawdę, chorowali na schizofrenię albo pili za dużo. Polacy w ogóle piją za dużo,

to ich cecha narodowa, ale co robić w takim klimacie. Za to kobiety bardzo szanują. Bardzo. Nie wiem, jesteś dorosła, jeśli chcesz... Ale lepiej, żebyś jednak znalazła coś tutaj. To jest kraj spoza strefy euro, nic tam nie odłożysz na przyszłość...

Przestałam go słuchać. Co on mógł wiedzieć o obcych krajach? Edward mówił mi, że dla większości nacji Polska to kraj, gdzie białe niedźwiedzie chodzą po ulicach, a na każdym rogu siedzi złodziej z alkoholiem. Poszłam spać. Dziwnie się czułam we własnym łóżku.

Matka miała za to zupełnie inny odjazd. Przyniosła mi następnego dnia całe narecze broszurek jakiejś organizacji przeciwko handlowi ludźmi. Broszurki były głupie, ostrzegały, by nie jechać w ciemno, nie reagować na podejrzanе ogłoszenia w prasie, upewniać się zawsze co do miejsca pracy. Ale ja jadę przecież w odwiedziny, jestem zaproszona przez kulturalnych ludzi. O co chodzi? To cywilizowany kraj, są przecież w Unii. Matka jednak wymogła na mnie, że będę dzwonić co tydzień. Wymyśliła też hasło – jeśli będę pod przymusem czy w niebezpieczeństwie, mam spytać się o zdrowie wujka Panagiotisa, bo takiego wujka nigdy nie mieliśmy. Zupełnie jak w filmach szpiegowskich. Naprawdę, moja matka jest dziecinna i naiwna. Powinna mi jeszcze dać na drogę krzyżyk poświęcony na górze Athos, byłby komplet.

Potem zaś w końcu mogłam zobaczyć się ze znajomymi. Powiedziałam, dokąd jadę, no, podkoloryzowałam trochę, z żony zrobiłam chorą matkę, z Edwarda mojego narzeczonego. Dziewczyny mi zazdrościły i wzdychały rozrzewnione niemal do łez – miłość od pierwszego wejrzenia na Santorini, bogaty przystojny mężczyzna, dalekie podróże... Chłopaki wzruszały ramionami, jakby to nic ich nie obchodziło, bo i tak Grecy są najlepsi w łóżku, czyżbym jeszcze tego nie wiedziała? Dziesięć dni minęło jak jedna chwila. Edward zadzwonił raz, upewniając się o mojej decyzji. Mówił też coś o ciepłych rzeczach, bo mogłoby mi być w ich klimacie trochę chłodno, nawet w lecie.

Samolot do Monachium odlatywał o świcie i nikt mnie nie odprowadzał na lotnisko. Ojciec tylko obudził się, gdy wychodziłam, i na wpół przytomny życzył mi szczęścia. Przed terminalem żegnał mnie obtłuczony, marmurowy lew, wierna replika jakiegoś słynnego na cały

świat lwa z najsłynniejszych ruin świata, Akropolu, a może Kerameikosu. W tym kraju nie ma nic, prócz ruin, na nich zbudowaliśmy nasze domy, z nich żyjemy. Niewiele osób czekało na odprawę o tej porze. Matka zadzwoniła, gdy już jechałam busem po płycie lotniska. Przypomniała o ostrożności i zdrowiu wuja Panagiotisa. W momencie startu zdałam sobie sprawę, że nawet nie wiem, jaka jest specjalizacja doktora Edwarda.

Mój kolejny sen jest mroczny, dzieje się w nocy, w dodatku pada deszcz. Siedzę w otwartym oknie, nie mogę się poruszyć. Pod oknem żerują dziki. Pierwszy raz zobaczyłam je w Polsce, kiedy ogromna wataha podeszła pod dom Edwarda i w ciągu kilku godzin kompletnie zniszczyła trawnik. Bałam się ich, we śnie też się boję. Jeden z nich wskakuje nagle na okno, w którym siedzę, czuję smród z jego pyska, szczeciny łaskoczą mnie po twarzy. Krzyczę. Budzę się. Z mroku jeszcze przez chwilę spoglądają na mnie czerwone punkciki oczu bestii. Wracam do przerwanych snem wspomnień. Jestem już na lotnisku w Monachium. Jest ogromne. Chodzę bez celu po sklepach, piję darmową kawę. Zastanawiam się, czy nie kupić czegoś na prezent, ale porównuję ceny z zawartością swojego portfela i stwierdzam, że mogłam wcześniej o tym pomyśleć, kupić koło domu butelkę ouzo, puszkę oliwek, może trochę ciastek. Trudno, przyjadę z pustymi rękami. Przecież jadę tam nie tak całkiem w gościnę, mam pomagać.

Wywołują lot do Warszawy, czy jak się tam nazywa mój kolejny port przesiadkowy. Przez moment myślę, że język polski jest chyba bardzo trudny, a ja nie znam w nim ani jednego słowa. Samolot, do którego wsiadam, jest mały i chyba dość stary. Jakoś to czuję intuicyjnie i ogarnia mnie strach, przypominają mi się jakieś strzępy informacji z telewizji o katastrofach samolotów, szczątki rozwłócone na przestrzeni kilometrów, zmięte blachy, pootwierane walizki. Tak sobie myślę, dopiero teraz, że to było przeczucie. Jednak wtedy nawet nie wiedziałam, że istnieją przeczucia i że należy ich słuchać. Samolot wylądował szczęśliwie w stolicy Polski. Potem jeszcze kilka godzin w małym lotniczym porcie. Czy aby na pewno wylądowałam w stolicy ogromnego kraju? W porównaniu z ateńskim lotniskiem to było maleńkie, zaledwie kilka bramek, parę sklepów. A samolot, do którego

wsiadłam, był jeszcze mniejszy niż poprzedni i jeszcze starszy. Leciąco nim tylko parę osób. Ja w tamtej chwili myślałam jednak tylko o tym, że za niespełna dwie godziny zobaczę Edwarda. Czy miałam jeszcze jeden przeblysłk intuicji? Nie. Czy w mojej głowie powstała jakaś myśl, że chyba robię głupstwo, bo nawet nie wiem, jakie mój ukochany nosi nazwisko? Nie, oczywiście, że nie. Samolot podchodził do lądowania, na dole zaś czekał ON. Moje blondwłose, jasnookie marzenie.

Lotnisko było wręcz miniaturowe, okolone wielkim lasem i zielonymi łąkami. Takiej ilości zieleni nie widziałam nigdy dotąd. Powietrze pachniało benzyną i czymś jeszcze, roślinnym i nieuchwytnym. Za bramkami czekał na mnie Edward. Z ciemnoczerwoną różą! Pocałował mnie w rękę, potem mocno przytulił. Jego samochód stał na parkingu, wśród kilkunastu innych – duży, srebrny chrysler, przystosowany do przewozu wózka inwalidzkiego, ze znakiem niepełnosprawnego na przedniej szybie. Minęliśmy osiedle niewysokich bloków – stały w dużych odległościach od siebie, między nimi pełno zieleni. Zauważyłam, że Edward nie włączył klimatyzacji. Spytałam i dowiedziałam się, iż nie trzeba, klimatyzacja jest szkodliwa, można się przeziębic. Na dworze jest dwadzieścia cztery stopnie, przecież to lato. Skręciliśmy w czteropasmową autostradę, po obu stronach hipermarkety i osiedla za ekranami dźwiękochłonnymi. I wszędzie drzewa, wyglądające zza budynków, wdzierające się pomiędzy domy. Skręciliśmy w prawo – już nie było zabudowań, tylko liściasty las po obu stronach drogi, wielkie, wysokie drzewa na zboczach łagodnych, niewysokich pagórków. Morze zieleni i samochód jak łódź podwodna. Za lasem znów w prawo. Na maleńkim rondzie, po lewej, widać lustro wody, a za nim czerwone, spadziste dachy i spiczastą wieżę. Przejeżdżamy kawałek drogą bez asfaltu, strasznie trzęsie, potem w lewo, przez kolejny las, ostry zakręt, stromo w dół, parking. „I oto dom” – mówi Edward. Dom? Wygląda jak zamek z bajki – dwie wieże, łukowate okna, krużganki, werandy, wszystko oplecione dzikim winem, dwuspadowe dachy, pokryte czerwoną dachówką. Wokół las, las, las, zieleń, kwiaty, zapach, niesamowicie pachnące powietrze, brzęczenie owadów, śpiew ptaków. Prawdziwa bajka, czuję się jak disneyowska królewna, a on obok mnie,

mój książkę.

– Jak ci się podoba?

– Tu jest... Tak zielono. I pachnie. To twój dom? Cały twój?

– Tylko część. Ale dla ciebie jest już przygotowany pokój. Zobacz, tam jest twoje okno.

Pokazuje na okno pod spadzistym dachem, do połowy przesłonięte ozdobną kratownicą z drewna. Przypomniał mi się jakiś telewizyjny reportaż o sułtańskim haremie. Żony sułtana mogły wchodzić na wieżę, skąd rozciągał się piękny widok na okolicę, ale wieża cała była obudowana właśnie taką drewnianą kratownicą, aby nie mógł ich zobaczyć żaden mężczyzna. Nazywała się Wieża Sokoła. Powiedziałam o tym Edwardowi. Śmiał się. Zęby miał ostre i białe.

Weszliśmy do domu. Drewniane, szerokie schody pięły się w górę. Niósł moją walizkę. Na drugiej kondygnacji otworzył kluczem drzwi po prawej, ciemne, solidne. Przedpokój ze skośnym dachem, cały w jasnej, prawie białej boazerii, doświetlało okno, przez które widać było niebo. Mój pokój był po lewej stronie, niewielki, z dwoma dużymi oknami. Za nimi zieleń. Po prawej mała kuchnia, za nią łazienka, również ze skosami i oknami w dachu. Meble skromne, nowoczesne, jakaś ikea czy coś w tym rodzaju. Na jednoosobowym łóżku paczuszka w kolorowym papierze.

– To dla mnie?

– Rozpakuj się, odpocznij. Za godzinę po ciebie przyjdę, zjemy obiad.

Najpierw patrzę, co jest w paczuszce. Nic nadzwyczajnego, czekoladki z wiśniami w likierze, ale z drugiej strony przecież ja nic w prezencie nie przywiozłam. Rozglądam się po moim nowym mieszkaniu, nigdzie nie widać klimatyzacji, za to są wielkie grzejniki pod każdym oknem. Faktycznie, zimny kraj. Biorę prysznic, zaglądam do szafek, rozkładam swoje rzeczy. Czuję się trochę jak w hotelu. W pokoju jest chłodno, chyba słońce tu zbyt często nie zagląda przez te wszystkie gałęzie. Otwieram okna – śpiew ptaków, zapach zieleni. W dole przejeżdża samochód, ale nie mogę go dostrzec w tej gęstwinie.

Byłam otumaniona podróżą, nieznanymi widokami i wrażeniami. Chciałam się zdrzemnąć, ale sen nie nadchodził. Patrzyłam w okno. Za



drzewami dostrzegłam czerwony dach i wieżę podobną do mojej. Pukanie do drzwi. Edward spytał, czy już jestem gotowa. Zeszliśmy na parter. Widok mieszkania zaparł mi dech w piersiach. Nie pokazał mi pokoiów matki i żony ani swojej sypialni, ale to, co zobaczyłam, już wystarczyło. Wszędzie drewno, w różnych odcieniach i gatunkach – boazerie, belki na niebotycznych stropach, mozaiki parkietów, rzeźbione meble, w przeszklonych kredensach porcelanowe serwisy. Zapach cytryny, wanilii i wosku. Stara kafłowa kuchnia na węgiel, ale z wmontowaną płytą ceramiczną. Wszystko w stylowej zabudowie, lodówka, zmywarka, pralka... W łazience wanna w podłodze, a na ścianie nad nią mozaika przedstawiająca staw z liliami wodnymi. Po prostu odjazd. Coś takiego widziałam do tej pory tylko w telewizyjnych reportażach z muzeów w dawnych pałacowych wnętrzach. Spytałam, czy cały dom jest tak urządzony. Odpowiedział, że nie wie – ludzie, do których należy reszta budynku, rzadko przyjeżdżają, może dwa razy do roku. Lokata kapitału.

W salonie czekał już obiad. Okrągły stół, nakryty białym obrusem, bukiet kwiatów w szklanym, bladozielonym wazonie. Trzy nakrycia. Na jednym z czarnych, masywnych krzeseł siedzi matka Edwarda. Kiwa głową na mój widok, minę ma kwaśną, nie wstaje, by mnie przywitać.

Jedzenia jest okropnie dużo – najpierw zupa, koloru ciemnej purpury, nieco kwaskowata, do tego pasztecik z mięsem, potem ogromny kopiec ziemniaków, kawał mięsa, polany brunatnym sosem, sałata, na deser ciasto pełne kremu i kawa, nadzwyczaj dobra. Staram się hamować Edwarda, który nakłada mi ogromne porcje, śmiejąc się, że w zimnych krajach trzeba jeść dużo, by nie zamarznąć. Jego matka nie odzywa się, jest w sposób widoczny zła, prycha jak rozzłoszczona kocica, gdy odsuwam talerz z niezjedzoną połową porcji.

Potem rozmawiamy, co będzie należało do moich zadań. Przygotować śniadanie, dla siebie i dla Ewy, w miarę możliwości nakarmić ją. Dotrzymać towarzystwa, poczytać. Wszystko jedno, czy po grecku, czy po angielsku, ona i tak niewiele rozumie, od czasu do czasu zajrzeć, jak się czuje. W międzyczasie sprzątnąć jej pokój i pomieszczenia, które za chwilę mi pokaże. Potem obiad. Do śniadania i obiadu podać leki, on je przygotowuje i opisze. Potem, aż do kolacji,

mogę sobie robić, co tylko chcę, a kolację będę podawać tylko czasami, bo jeśli on wróci z pracy wcześniej, to się tym zajmie, podobnie jak przygotowaniem Ewy do snu. Gdybym miała jakieś plany na kilka dni, chciała gdzieś jechać, coś zwiedzać, to muszę go uprzedzić wcześniej, żeby mógł zorganizować zastępstwo. Trzy razy dziennie Ewę trzeba przebrać i umyć, bo nie chodzi do łazienki, trzeba też ją rehabilitować, ale tym zajmuje się pielęgniarka i mama. Nie muszę się przejmować, jakby co, to mam dzwonić. No tak, przyjął pielęgniarkę, przecież nie będzie mnie obciążać zmianą pampersów. Zdaje sobie sprawę, że może być to dla mnie przykre, a chciałby, żebym czuła się u nich dobrze.

– A teraz poznasz moją żonę.

Edward otwiera białe, wysokie drzwi. W pokoju jest niewiele mebli. Dominuje ortopedyczne łóżko, stojące bokiem do drzwi, tak by chora mogła patrzeć przez okno. Gospodarz mówi coś sztucznie wesołym, nieco podniesionym tonem i kiwa na mnie ręką, bym podeszła bliżej. W białej pościeli widzę wychudzoną kobietę o czarnych oczach, w których na mój widok zapala się przerażenie. Kobieta szeroko otwiera usta i krzyczy przeraźliwie. Edward wypycha mnie za drzwi, po chwili krzyk zamiera. Słyszę jeszcze, jak mówi coś cicho i krząta się po pokoju. Wreszcie wychodzi.

– Widzisz, jaka jest sytuacja – mówi przygnębiony. – Nigdy nie wiadomo, jak zareaguje. Dałem jej zastrzyk, przyjdziemy znów po obiedzie.

– Co dolega twojej żonie?

– Była naukowcem, chemikiem. Praca ją tak zniszczyła, zbyt długo przebywała w truciznach. Te nasze laboratoria, wiesz, wentylacja niesprawna. Ma uszkodzony układ nerwowy. Badała substancje neurotoksyczne...

Wyraźnie brakuje mu angielskich słów, a poza tym chyba mu przykro za ten incydent. No, ja rzeczywiście przestraszyłam się dość mocno. Jest jednak taki zmartwiony, że daję spokój dalszym pytaniom.

Kiwam głową, słuchając zapewnień o wdzięczności, radości i szczęściu, jakie go spotkało w postaci mojej osoby i oferty pomocy. Wołałabym dać mu szczęście w inny sposób, ale cóż. Czy mam jakieś pytania? Nie, nie, żadnych pytań...

Za to teraz, gdy budzę się z kolejnego koszmarnego snu, mam tych pytań zbyt wiele. Kiedy wpadł na pomysł, żeby mnie ściągnąć do tego piekła? I czy to był aby jego pomysł? Dlaczego byłam wtedy tak głupia i łatwowierna, czemu nie pytałam się o pieniądze za swoją pracę? Czemu dałam sobie już pierwszego dnia zabrać prawo jazdy, pod pozorem, że musi je „certyfikować” w urzędzie, bym mogła jeździć po mieście? Czemu z lenistwa nie nauczyłam się choćby paru słów po polsku? Przecież nawet ci cholerni turyści rozdeptujący Grecję umieją wypowiedzieć w naszym języku chociażby pozdrowienia. Dlaczego nikt wcześniej nie zrobił mi krzywdy na tyle dużej, bym stała się bardziej ostrożna i nieufna? Te pytania zostają oczywiście bez odpowiedzi. Sięgam po miskę, bo mój żołądek mówi, że nadeszła pora posiłku. Miska jest znów pusta. Coś szeleści w mrocznych kątach piwnicy. Szczury? To one zjadają moje pożywienie? Natrafiam w końcu na kromkę chleba, bardzo cienko posmarowaną masłem. Czy chcą mnie zagłodzić? Nie, nie powinnam myśleć o terażniejszości i przyszłości, bo oszaleję, znów zacznę się miotać, zostanę ukarana. Lepiej wrócić w przeszłość.

Tamten dzień zasługuje na szczególną uwagę, był bowiem pierwszym dniem w domu Edwarda i jego matki. Ewy nigdy nie liczyłam jako jego mieszkańca. Tego dnia dowiedziałam się także, że specjalizacja lekarska mojego gospodarza to chirurgia estetyczna. No, jeśli w Polsce jest pod tym względem podobnie jak w Grecji, to trafiłam na bardzo bogatego człowieka. Zapytałam też o telewizor. Jest, w pokoju Ewy, ale raczej nie ma co oglądać. Niepotrzebne. Strata czasu. I tak nic nie zrozumiem, w Polsce nie ma filmów z napisami, tylko z dubbingiem, więc angielski na nic mi się nie przyda. Radia, jakbym chciała wiedzieć, nie ma. Lubią ciszę i śpiew ptaków.

– Dziwni z nas ludzie, prawda? – uśmiechnął się Edward. – Ale nie zjadamy swoich gości. Bardzo się cieszę, że jesteś z nami. Tak krótko cię znałem, a już zdążyłem się stęsknić...

Miód na moje serce. Nawet brak telewizora nie będzie mi przeszkadzał.

Spytał, czy chcę zadzwonić do domu, jeśli tak, mogę skorzystać z domowego telefonu, jest w przedpokoju, nie ma po co tracić impulsów

z komórki. Skorzystałam. Telefon (stylowy, oczywiście) stał na biurku połączonym z wygodnym siedziskiem. W sam raz na długie pogaduchy. Z matką jednak długo nie rozmawiałam, powiedziałam tylko, że wszystko OK. I żeby przekazała ojcu, że ma się nie martwić. Wysłuchałam grzecznie napomnień i ostrzeżeń i przerwałam rozmowę, usprawiedliwiając się kosztami połączenia. Czyli do następnego tygodnia spokój.

Noc na nowym miejscu minęła mi spokojnie i bez snów. Trochę przeszkadzała mi cisza za oknem. Nawet cykady nie śpiewały. A może tu nie ma cykad?

Z Ewą spotkałam się ponownie dopiero następnego dnia. Sprawiała wrażenie sennej, ale w jej ciemnych oczach nadal czaiło się przerażenie. Wpatrywała się we mnie intensywnie, podczas gdy jej mąż pokazywał mi, w jaki sposób należy ją karmić, gdzie leżą chusteczki do wytarcia twarzy, ubrania, leki. Byłam szczęśliwa, że nie będę musiała zmieniać chorej pampersów. Brzydziłam się wydzielinami ludzkiego ciała, smrodem, widokiem kału. Na samą myśl zbierało mi się na wymioty. Powiedziałam o tym Edwardowi. Pocieszył mnie, że rano sam myje żonę, a w południe przychodzi pielęgniarzka. Potem poszedł do pracy. Zostałam sama z moją podopieczną. Jeszcze raz zlustrowałam pokój – zaintrygowała mnie dziura w ścianie pod oknem, przysłonięta perforowaną blachą. Przez okno widać było parking, trawnik i oczywiście wszechobecny las. Na trawniku zmagił się z kosiarką jakiś szczupły chłopak. Coś dziwnego było w jego ruchach, jakaś kanciastość, niezgrabność, asymetria. W pokoju nie było żadnych ozdób, żadnych osobistych drobiazgów, zdjęć, tylko tapeta w drobne różyczki. Już szpital byłby przytulniejszy, ale cóż, widać biedaczce było naprawdę wszystko jedno, a posprzątać łatwiej, kurz się nie zbiera – przypomniały mi się złote myśli Mariki z Santorini.

Przedstawiłam się po grecku i po angielsku, a potem, niewiele myśląc, zaczęłam Ewie opowiadać, skąd się tutaj wzięłam, o swoich wrednych rodzicach, ponieważ w Perivolos i pozytywnych uczuciach do jej małżonka. Patrzyła na mnie ciągle, walcząc z zamykającymi się powiekami. W końcu wyszeptała jedno słowo. Po angielsku.

– Uciekaj.

– Słucham? – nie wierzyłam własnym uszom.

– U-cie-kaj.

I usnęła.

W żyłę dłoni miała wkłuty wenflon. Przy łóżku był stojak do kroplówek. Edward wyjaśnił mi, że na noc dostaje dożylnie środek przeciwbólowy, inaczej by nie zasnęła. Ilość leków, jakie jej podaliśmy rano, była według mnie ogromna, jakieś kilkanaście różnokolorowych tabletek, w większości podobno suplementy.

Zabrałam się za sprzątanie. Nie było tego tak wiele w porównaniu z pensjonatem Stavrosa – przedpokój, pokój Ewy, jej łazienka, kuchnia, salon, gabinet i łazienka Edwarda. Pokojów jego i mamy miałam nie ruszać. Wszystkie sprzęty do sprzątania, z wysoką drabiną do mycia okien i miotłką do zbierania pajęczyn z sufitów włącznie, znalazłam w schowku w kuchni. Matka Edwarda chodziła za mną krok w krok i patrzyła na ręce. Cały czas mówiła – oczywiście nie rozumiałam ani słowa, ale brzmiało to jak jakieś klątwy czarowników z idiotycznych seriali telewizyjnych. Pomyślałam, że mnie nie lubi, ale nie miałam pojęcia dlaczego. W końcu zajęła się obiadem. Ewa spała nadal, przebudziła się tylko na jedzenie. Zjadła dosłownie dwie łyżki przygotowanej przez teściową papki. Więcej nie chciała, zaciskała usta i odwracała głowę. Potem przyszła pielęgnarka, gruba starsza kobieta, wesoła i głośna. Bardzo dobrze, bo w pokoju czułam smród kału. Wysłałam się przewietrzyć.

Przy bramie stał ten sam chłopak, który rano kosił trawnik. Odwrócony plecami do mnie, patrzył na drogę. Podeszłam, chcąc się przywitać. Może będzie znał angielski? Odwrócił się. Krzyknęłam z przerażenia, widząc zdeformowaną twarz sylena czy innego maszkarona – oczy wyłupiaste, osadzone nierówno, jedno wyżej od drugiego, nos jak dziób drapieżnego ptaka, ale nieproporcjonalnie mały w stosunku do rozdętej czaszki. Potwór wyciągnął ku mnie ręce, które były jeszcze straszniejsze niż jego twarz. Wyglądały, jakby z kawałka ciała ktoś usiłował wyciosać kształt dłoni siekierą, palce bez paznokci, stawów, grube i kanciaste. Tymi upiornymi dłońmi złapał mnie za piersi. Uśmiechał się, ukazując krzywe, rzadkie zęby. Popychał w krzaki tak, że niemal upadłam. Próbował włożyć te swoje obrzydliwe łapy w moje

majtki, rozerwał mi bluzkę. Z przerażenia nawet nie krzyczałam. Udało mi się wyrwać. Uciekłam do domu, zabarykadowałam się w swoim pokoju, schowałam się z głową pod kołdrą i płakałam. Potem chyba zasnęłam, bo obudziło mnie walenie do drzwi i wołanie Edwarda. Odsunęłam komodę i fotel, wpuściłam go do środka.

– Chcę wracać! Jakiś popieprzony zboczeniec chciał mnie zgwałcić! Co tu się dzieje?! To jakiś dom wariatów. Natychmiast kup mi bilet powrotny, wracam do domu. Ani chwili tu nie zostanę, ani chwili!!!

– Boże, zapomniałem cię uprzedzić, nie jest groźny, czasem takie głupie żarty się go trzymają... Nic ci nie robi, wie, jak wygląda, i lubi czasem postraszyć...

– Nikt nie ma prawa mnie molestować! I jeszcze twoja matka patrzy na mnie jak na najgorszego wroga, chodzi za mną, kontroluje, jakbym była jakąś niewolnicą!

Krzyczałam, a on patrzył na mnie, nic nie mówiąc. Przez moment przypomniały mi się broszurki matki – naiwna młódka jedzie do ukochanego, a tam... A ja nawet nie podałam im adresu... Zamilkłam, przestraszona. Edward westchnął.

– Mama jest przemęczona. Bała się, że twój przyjazd doda jej jeszcze zajęć, stąd nerwy. Tak naprawdę to starsza kobieta, ta jej sprawność to pozory. Dużo przeszła. Oczywiście, jesteś wolna, jak nie chcesz tu przebywać, wynajmę ci pokój w hotelu, a jutro polecisz do domu. – Nagle łzy stanęły mu w oczach. – Boże, tak mi przykro, tak się cieszyłem na twój przyjazd, tyle miałem nadziei, a tu... Przepraszam cię, nie wiem, co mam zrobić, to musiało być dla ciebie straszne. Nigdy więcej coś takiego się nie powtórzy, moja... Ale teraz co, odwieźć cię do hotelu?

Milczałam, pakując walizkę, potem milczałam w samochodzie, kiedy odwoził mnie do pobliskiego hotelu, nie reagowałam na jego niekończące się przeprosiny i usprawiedliwienia. Wyprosiłam go z pokoju, leżałam na szerokim łożu, wsłuchując się w szum samochodów, gapiąc się w okno, na szare domy po drugiej stronie ulicy, na ich spadziste dachy, pokryte czerwoną dachówką, uboższą wersję pałacyku Edwarda. W tle oczywiście ogromne drzewa. Sklepiki, ludzie,

zmierzch. Strasznie długo jest tu jasno.

Jutro wrócę do domu. Co powiem znajomym i rodzicom? Jak wytłumaczę przyjaciółkom fakt, że byłam u ukochanego tylko jeden dzień? Ojciec utwierdzi się w przekonaniu, że nie nadaję się do niczego, matka będzie zachwycona swoją przezornością i zdolnością przewidywania. Poczułam ukłucie wstydu, ale zaraz zrównoważyło je wspomnienie koszmaru. No i Edward.

*Edward* – spróbowałam wymówić jego imię poprawnie. Było mu tak przykro, przecież prawie płakał. Zaoferowałam mu pomoc, wcale nie nalegał, żebym przyjeżdżała. Jest inny niż mężczyźni, których dotąd spotykałam. Chyba najbardziej przypomina Andreasa – on był wierny idei, ten jest wierny żonie. Szanuje matkę. Dziwny człowiek, taki silny, a jednocześnie bezradny. I piękny, delikatny, miły, widać, że coś do mnie czuje.

A potem znów powróciły obrazy potwora. Na rozmyślaniach upłynęło mi pół nocy, nawet nie wiem, kiedy zasnęłam. Obudził mnie Edward z bukietem róż, tłumaczący, że samolot będzie dopiero za trzy dni, ale bilet już kupił, opłacił też pokój w hotelu. Czy mógłby się ze mną widywać przez ten czas? Łaskawie skinęłam głową i pozwoliłam zaprosić się na obiad. Powiedział, że przy okazji pokaże mi polskie morze. Zgodziłam się. Niech chociaż obejrzę trochę tego kraju.

Podczas obiadu w ciemnej restauracji z ciężkimi, rzeźbionymi meblami Edward opowiedział mi o potworze.

– Ma na imię Krzysztof. Urodził się taki, było jeszcze gorzej, bo miał zrośnięte palce dłoni i stóp. Mój kolega psychiatra wypatrzył go w przytułku dla upośledzonych. Zoperowaliśmy mu dłonie. To była strasznie trudna operacja, ale było warto. Rzadko kto ma okazję robić całkowitą rekonstrukcję palców. Krzysztof jest bardzo inteligentny, chociaż czasami ma głupie pomysły. Daję mu pracę, żeby nie musiał siedzieć cały dzień w tej instytucji razem z upośledzonymi. Nie chciał ci zrobić krzywdy, żartował, wiem, że niewybrednie. On zdaje sobie sprawę z tego, że jest przerażający. Te zachowania to taka jego obrona, szczególnie w stosunku do młodych kobiet. Rozmawiałem z nim, jest mu przykro, chciałby cię przeprosić...

Uparcie milczałam. Pojechaliśmy nad morze. Plaża była cudowna

– szeroka, biała, piasek drobny i miękki. Zupełnie dzika – żadnej knajpki, dyskoteki, leżaków, parasoli, ale mimo to ludzi masa. Słyszałam tylko język polski. Żadnych zagranicznych turystów. Wcale się nie zdziwiłam. Morze miało kolor zielonobłękitny, brudny, ponury. Woda wręcz lodowata, nieprzejrzysta. Nigdy się w czymś takim nie wykąpię. Szliśmy bosą wzdłuż brzegu, w milczeniu. Koszmar się zacierał – nie było już potwora, tylko nieszczęśliwy, zakompleksiony kaleka o imieniu niemożliwym do wymówienia.

Potem była kawiarnia i lody. Spacerowaliśmy po zabytkowych, brukowanych uliczkach, cienistych wąwozach pełnych bogato zdobionych, wielopiętrowych kamienic, ogromnych kościołów z czerwonej cegły i kamiennych lwów z wielkimi, utrefionymi grzywami. Edward opowiadał legendy o mijanych basztach, opisywał herby nad drzwiami domów. Widać było, że pasjonuje go historia miasta. Potem odwiózł mnie do hotelu.

Budząc się rano, byłam zdecydowana pozostać u Edwarda dłużej. Wspomnienie lubieżnego potwora nie wzbudzało już lęku. Musiałam udowodnić ojcu, że poradzę sobie bez jego opieki sama, nawet w odległym kraju. Po południu Edward wiózł mnie z walizką z powrotem do pałacu. Był wyraźnie szczęśliwy. Kolację zjedliśmy na mieście, a przy kieliszku wina wręczył mi eleganckie pudełeczko. Wewnątrz było maleńkie złote słoneczko, wysadzone brylancikami, na delikatnym łańcuszku. W życiu nie dostałam od mężczyzny tak wspaniałego prezentu.

Potem już jakoś poszło. Matka Edwarda przestała za mną chodzić, ale nadal reagowała z wyraźną niechęcią. Potworny Kristof przeprosił pięknie i płynnie po angielsku, ale i tak go unikałam. Ewa... Wydawało mi się, że czasami bardzo dobrze rozumie, co się do niej mówi, ale przeważnie spała. Nie chciała jeść. Było to dziwne, bo najpierw rzucała się wręcz na jedzenie, czasem nawet sama podnosiła kawałki chleba do ust, ale po chwili odwracała głowę, zaciskała szczęki, żadna siła nie mogła jej zmusić do przełknięcia czegokolwiek. Czasem broniła się także przed lekami. Nie chodziła, przynajmniej ja nie widziałam, by to robiła. Skąd jednak brał się piasek na jej pościeli, a w deszczowe dni smugi błota na podłodze? Albo te dziwne stukoty i szurania, gdy czasem



otwierałam drzwi zniecka. Była wychudzona, wręcz przezroczysta, ręce i nogi miała cieniutkie, niemal bez mięśni. Zaczęłam rano robić jej makijaż. Wydawało mi się, że sprawia jej to przyjemność – ostatecznie to kobieta. Czytałam jej po angielsku książki, wypożyczone z biblioteki. Któregoś razu powiedziała: „Zabij mnie, nie chcę już żyć”, ale zaraz potem odpłynęła w sen.

Była jeszcze gruba pielęgniarzka Stefa, zawsze w niebieskim fartuchu i w bardzo brzydkich, ortopedycznych butach za kostkę, z odsłoniętymi piętami i palcami. O ile nie zajmowała się Ewą, to siedziała na podjeździe dla wózka, prowadzącym do tarasowych drzwi kuchni, i paliła śmierdzące papierosy bez filtra. Pokrzykiwała coś za Kristofem, on burkliwie mruczał pod nosem, a jeśli podszedł bliżej, Stefa wulgarnie łapała go za krocze i śmiała się głośno. Do Ewy też dużo mówiła, podobnie jak i do mnie, chociaż nie rozumiałam ani słowa.

No i Edward, którego nie widziałam czasem przez kilka dni – wracał późno, wychodził o świcie. Przynosił mi róże, czekoladki, laptopa z modemem, żebym miała kontakt z rodziną. Co prawda niechętnie, ale kontaktowałam się z nimi przez Skype’a raz w tygodniu, tak jak się umówiliśmy. Pisałam maile do przyjaciółek, pełne zmyślonych romantycznych uniesień i cudów mojego nowego życia. Internet chodził powoli i opornie, były trudności z dostępem do sieci, z powodu bliskości wzgórz i lasu, jak tłumaczył Edward. Czasem zabierał mnie do miasta, ale ostrzegał przed samodzielnymi wyprawami. Faktycznie, nawet do najbliższego sklepu było pół godziny piechotą, najpierw asfaltówką przez las, gdzie stał jeszcze jeden pałacyk, podobny do naszego, ale z jedną wieżyczką i zabudowaniami gospodarczymi – Edward nazywał go Pałacykiem Mormonów. Potem droga wychodziła z lasu, asfalt zmieniał się w bruk, kilka piętrowych willi, a za nimi parterowe slumsy, których pijani mieszkańcy stali na chodnikach, wrzeszczeli, tłukli się, zupełnie jak w imigranckich kwartałach Aten.

W lesie były dziki. Widziałam czasem ciemne cienie, przemykające się po zmroku przez drogę, słyszałam piski i pochrząkiwania. Miały młode i były niebezpieczne, nie mniej niż pijani tubylcy. Edward twierdził, że dla własnego bezpieczeństwa powinnam

chodzić po okolicy tylko wtedy, gdy jest jasno. Zresztą dzielnica zaczynająca się za ulicą pijaków składała się z jednej ulicy, kilku sklepików i knajpek, biblioteki, trzech kościołów i parku, nie powiem, pięknego, ale wiało w nim nudą i stagnacją. Starsze panie w słomkowych kapeluszach, matki z wózkami, kwartet smyczkowy rzeźpolący w altance nad stawem, jakieś plansze ze zdjęciami zwierzaków, młode pary fotografujące się na tle białego pałacu. W ogrodzie botanicznym zobaczyłam kwitnące tamaryszki, karłowate i rachityczne w porównaniu z naszymi. Widać nie podobało im się w Polsce.

A czy mi się podobało? Na pewno podobał mi się Edward. Niosła mnie też ambicja pokazania ojcu, że poradzę sobie bez niego. Poza tym samotne spacerowanie nie sprawiały mi przyjemności. Mogłam, oczywiście, pojechać do galerii handlowych, nad morze, iść na dyskotekę, ale sama? Wołałam poczekać na mojego księcia. Znalazłam wręcz perwersyjną przyjemność w sprzątaniu, polerowaniu do połysku rzeźbionych mebli, nacieraniu woskiem boazerii i parkietów, omiataniu miotełką z piór na długim wysięgniku belek stropowych, codziennym myciu kryształowych szybek w kredensach i delikatnym przecieraniu porcelanowych serwisów, szorowaniu specjalną pastą srebrnych i mosiężnych świeczników. Wyobrażałam sobie, że jestem w muzeum i oprowadzam wycieczkę, opowiadając historię każdego przedmiotu. Albo byłam panią tego domu i sama sobie wydawałam polecenia: „Jeszcze tu, Dymitro, na lustrze widać ślad palca...”. A tak naprawdę to wypatrywałam, czy przypadkiem Edward nie wróci wcześniej. Zajmowałam się też Ewą. Czasem kładłam ją do snu, czytałam coś na dobranoc. Czułam się jakoś tak nierealnie, jakby we śnie. Często płakałam, nie wiedziałam nawet dlaczego. Zwierzyłam się ze swoich nastrojów Edwardowi. Wytłumaczył, że to skutek szoku kulturowego, typowy przy emigracji, i dał jakieś tabletki, po których mój smutek i łatwość wybuchania płaczem znacznie się zmniejszyły.

Lato miało niepostrzeżenie, dni robiły się krótsze, wieczory były chłodne. Las zmieniał barwy. Pewnego ranka obudziłam się zziębnięta, mimo że za oknem świeciło słońce. Liście drzew miały oszałamiający żółty kolor, podkreślany przez błękit nieba. Drżąc, wyszłam spod

kołdry, wyciągnęłam z bielizniarki skarpety, nałożyłam najcieplejszą bluzę, jaką znalazłam w szafie. Potem, opatulona po sam nos, przygotowywałam śniadanie.

Pomyślałam, że Ewa musi bardziej marznąć niż ja, przecież prawie się nie rusza. Podnosząc ją do pozycji siedzącej, sprawdziłam, czy ma ciepłe dłonie. Były normalne, podobnie jak stopy, ale na wszelki wypadek nałożyłam jej puszyste skarpety. Ewa wpatrywała się we mnie intensywnie, jej usta kilka razy drgnęły, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Co chcesz mi powiedzieć? – zwróciłam się do niej po angielsku, mając nadzieję, że znów usłyszę jej głos, ale nie, nic nie powiedziała. Wpatrywała się we mnie dalej, bez mrugnięcia powieką, aż w jej oczach ukazały się łzy.

Przysunęłam więc stolik, ustawiłam na nim herbatę ze słomką i talerzyk z pokrojonymi kanapkami.

– Zjesz sama?

Czarne oczy wpatrywały się we mnie, aż poczułam dreszcz. Otworzyły się drzwi i do pokoju chorej wszedł Edward. Obdarzył mnie swoim promiennym uśmiechem, skinął głową na przywitanie i usiadł po drugiej stronie łóżka. Ewa już nie patrzyła na mnie. Jej wzrok błędził po kwiecistych wzorach tapety na przeciwległej ścianie. Edward wziął żonę za rękę, coś do niej mówiąc. Żadnej reakcji. Zaczął ją karmić, ale nie żuła, oślinione kawałki chleba wypadały jej z ust. Zmarszczył brwi, znów coś powiedział. Źrenice chorej rozszerzyły się na ułamek sekundy. Włożył jej do ust kolejny kawałek chleba. Bez skutku. Machnął ręką, skrzywił się, wyszedł. Zebrałam porzrzućane szczątki posiłku, wytarłam stolik. Może jej nie smakowało?

– Zrobię ci z czym innym, chcesz? Może z serem?

Nie czekając na odpowiedź, poszłam do kuchni. Gdy wróciłam z kolejną porcją, okazało się, że kubek z herbatą jest pusty. Obejrzałam kołdrę i podłogę. Sucho. Więc wypija sama. Teraz jedzenie. Patrzyłam, jak łapczywie wkłada kawałki chleba do ust i połyka je niemal nie żując. Znów patrzyła na mnie.

– Nie mów, że jadłam.

Głos był cichy, szeleszczący, jak wyschnięta trawa. To trzeci raz,

jak do mnie przemówiła, i za każdym razem było coraz dziwniej. Nie wiedziałam, co robić, więc tylko uśmiechałam się do niej i sprzątałam po śniadaniu.

– Zjadła? – spytał mnie potem Edward.

– Nie – odpowiedziałam bez zastanowienia.

– Masz wolne do kolacji. Obiad podamy przez zgłębnik. – I po chwili dodał z tym swoim uśmiechem, od którego robiło mi się ciepło i słabo: – Odpocznij sobie, ty moje południowe słoneczko, korzystaj z pogody, póki jeszcze jest...

Wieczorem usta Ewy były opuchnięte i poranione, ale patrzyła na mnie z widoczną radością i – chyba – ulgą. Zjadła wszystko, wysłuchiwała kolejnego opowiadania, wydawało mi się, że rozumie jego treść. Gdy kładłam ją do snu, wyszeptwała:

– Dziękuję. Nigdy nic nie mów...

Nie wiedziałam, co mam z tym zrobić. Już raz dla niej tego dnia skłamałam.

Edward, jak zawsze wrażliwy na moje humory i nastroje, zrobił mi prezent, który, jak powiedział, miał ułatwić mi przeżycie jesieni. Karnet do SPA w hotelu nieopodal. Mogłam chodzić tam po ułożeniu Ewy spać albo tuż po obiedzie. No i oczywiście w niedzielę. Pierwszy raz Edward zawiózł mnie tam, prosząc, żebym zapamiętała drogę.

– Musisz sama sobie radzić – stwierdził. – Będziesz brała samochód albo chodziła pieszo, to niedaleko.

Jak dla mnie, wcale nie było „niedaleko”. Jechaliśmy najpierw drogą do kuźni, z jednej strony ograniczoną lesistym zboczem góry, z drugiej ogromnymi drzewami o białych pniach w czarne cętki. Za kuźnią skręciliśmy w prawo, a potem, już za Oliwskim Dworem, w lewo, w piaszczystą drogę. Z prawej strony znów ściana lasu, z lewej rzeka i pożółkłe drzewa ogrodów. Nie mogłam się przyzwyczaić do tej ilości drzew, roślin, owadów, do zimna i do tego, że mężczyzna, którego kocham i pożądam, nie chce mnie dotknąć. SPA jest tuż przy drodze, ale wchodzi w las. Tak naprawdę to nie ma tam nic nadzwyczajnego, poza freskiem na całą ścianę. Czegoś takiego nigdy przedtem nie widziałam. Oszalająca liczba szczegółów odmalowana z fotograficzną dokładnością. Mogłabym się uczyć tutejszej przyrody, tyle na tym

fresku roślin i zwierząt. Jest namalowany tak sprytnie, że wydaje się, iż łąka, którą przedstawia, zaczyna się zaraz za leżakami i można na nią wejść. Na basenie niewiele osób – starsza, chuda kobieta, monstrualnie otyły facet. Edwarda tam znali, dziewczyna z recepcji uśmiechnęła się, zaznaczając coś w skoroszycie. Ja dostałam złotą kartę, na dwadzieścia wejść – tak powiedziała recepcjonistka.

Byłam z Edwardem sam na sam i jak zwykle ogarnęła mnie rozkoszna, ciepła słabość. Gdy siedzieliśmy w jacuzzi, miałam jego ciało na wyciągnięcie ręki. Ujął moją dłoń i pocałował ją, patrząc mi w oczy. Szlag by trafił jego delikatność, dobre wychowanie i cholerną wierność. Przecież powinien wiedzieć, że szaleję z miłości i pożądania. Do pomieszczenia weszła ta stara, chuda kobieta. Patrzyła na nas bezczelnie przez dłuższą chwilę. Nie opuściłam wzroku. Wykrzywiła się tylko szyderczo. Przypominała mi nasze greckie, rozplotkowane staruchy, tylko tamte nigdy w życiu nie rozebrałyby się na basenie. Od wieków siedzą w czerni na krzeselkach przed domami lub w sklepach i obserwują, krzywiąc się pogardliwie na widok młodości, miłości i szczęścia.

Edward również zauważył to bezczelne gapienie się, ale odwrócił głowę, zainteresowany nagle stanem kafelków za swoimi plecami. Wstydził się chyba pokazywać ze mną, ale ja byłam przekorna, przytuliłam się do niego i pocałowałam w policzek. Nie odwzajemnił pocałunku, ale też nie wydał się niezadowolony.

Więcej jednak nie poszedł ze mną. Nie było też jakoś okazji do zabrania samochodu. Chodziłam więc sama, pieszo. Próbowalam rozmawiać z ludźmi. Niewielu ich tam przychodziło, nikt prawie nie mówił po angielsku albo tylko udawali. Rozmawiałam nawet z bezczelną staruchą. Ona, o dziwo, angielski znała dobrze, ale powiedziała dosadnie, że w tym miejscu znajomości się nie nawiązuje, bo tu wszyscy przychodzą odpocząć, a nie rozmawiać.

Nie miałam więc nadal nikogo poza Edwardem. A potem z drzew opadły kolorowe liście, zrobiło się ciemno, mokro i wietrznie. Tęskniłam potwornie – za słońcem, sokiem ze świeżych pomarańczy, gwarem ulicy, nawet za rodzicami. Przypominałam sobie słowa ojca, że Polska to ponury, północny kraj, gdzie słońce nie wychodzi tygodniami

i jest strasznie zimno. Raz przynajmniej miał rację, bo tak właśnie było. Kiedy przyszła zima, mróz był wprost niewyobrażalny, ale było jednak lepiej, bo czasem wychodziło słońce i rozświetlało bajeczną krainę srebrzystych drzew jak z kryształu, białych połaci łąk, gdzie cienie miały niebieską barwę, i zachodów słońca, kiedy cały świat miał kolor różowy. Było to bardzo piękne.

Boże Narodzenie spędziliśmy wspólnie. Musiałam próbować wszystkich dziwacznych potraw, a także dzielić się opłatkiem z matką Edwarda, która wyjątkowo uśmiechnęła się do mnie. W Sylwestra Edward miał dyżur w szpitalu. Przyszła Stefa, przyniosła całą butelkę polskiej wódki i na migi zaprosiła do wypicia. Piłyśmy więc, siedząc przy łóżku Ewy. Na drugi dzień czułam się bardzo źle.

Zimowe dni były rzeczywiście bardzo krótkie. Wydawało mi się czasami, że przywykłam. Pielęgnacja Ewy nie sprawiała mi już żadnych przykrości. Jej teściowa unikała mnie. Upiorny ogrodnik Kristof był dla mnie uprzejmy, nie pokazywał świńskich gestów, nie wygadywał zboczonych sprośności. Odgarniał śnieg z samego rana, a potem znikał. Na szczęście rzadko go widywałam, bo pomimo zapewnień Edwarda, cały czas na jego widok odczuwałam strach. Matka... „pani Dorota” – nauczyłam się w końcu tak ją tytułować – traktowała mnie jak powietrze, ostentacyjnie wychodziła z pomieszczenia, do którego akurat wchodziłam. Istotne informacje przekazywałyśmy sobie za pośrednictwem Edwarda.

Wydawało mi się, że moje dyskretne uwodzicielskie zabiegi odnoszą skutek, minimalny, ale zawsze. Edward wieczorami zabierał mnie do pobliskiej – co znaczyło około dwudziestu minut spaceru – kawiarni, całej urządzonej na czarno. Tylko dwie kanapy, różowa i fioletowa, ożywiały mrok. Stawiał mi ciastka, kawę, drinki. Czasem jechaliśmy do którejś z galerii handlowych i mogłam sobie wybierać ubrania, jakie chciałam, on za wszystko płacił. Nigdy nie miałam takich ciuchów, ale po powrocie do domu i tak by mi się te wszystkie swetry i cieplejsze bluzki nie przydały. Czasem, chcąc go sprowokować, kupowałam seksowną bieliznę, pytając, czy będzie mi w niej dobrze. Chodziliśmy też do kina. Edward był raczej milczący, ale wpatrywał się we mnie głodnym wzrokiem, przytulał, trzymał za rękę.

Raz w tygodniu odwiedzałam bibliotekę, odbierałam pocztę i pisałam do znajomych, zdawkowe, optymistyczne wiadomości. „U mnie wszystko w porządku, jest bardzo zimno, ale pięknie, pozdrawiam, Dymitra”. Również raz w tygodniu dzwoniłam do matki – nie dałaby mi spokoju, gdybym się nie odezwała. Jednak przez dużą część dnia zwyczajnie się nudziłam w wielkim, pustym domu. Mogłam wyjść, mogłam poprosić o pieniądze, mogłam jechać sobie tramwajem do centrum, zwiedzać muzea, chodzić po kawiarniach i sklepach, ale było zbyt zimno, zbyt ciemno, niebezpiecznie. Wypożyczałam więc z biblioteki kolejnego harlequina po angielsku i czytałam, przeżywając wraz z bohaterkami ich miłosne perypetie. Przychodziło mi do głowy, że sama jestem bohaterką takiej książki.

Edward mówił, że nadchodzi wiosna. To prawda, śnieg topniał, ale nadal było ciemno i zimno. Zaczęłam myśleć o wyjeździe, ale wtedy właśnie zaczął mnie w saunie brunet, który przychodził do SPA wraz z żoną i córeczką. Mówił szeptem, niegramatycznie, ale zrozumiałam, że chciałby się ze mną spotkać, bo widzi, że jestem smutna. W drzwiczki szafki wsunął kartkę ze swoim numerem telefonu. Ubawił mnie ten prymitywny podryw pod boki żony, ale humor mi się poprawił. Kartkę zachowałam, licząc, że wzbudzę w Edwardzie zazdrość i skłonię go w końcu do działania. Wieczorem, gdy położyłam już Ewę spać, zapukałam do niego i zażądałam doładowania telefonu.

– Po co, moje słoneczko? Możesz zadzwonić z domowego.

– Chcę być niezależna. Poznałam nowych ludzi, mogą chcieć się ze mną skontaktować.

– Nowych ludzi? Ilu?

– Jednego. Mężczyznę.

Edward zmienił się na twarzy w taki sposób, że wszystkie myśli o wyjeździe zniknęły. Niemalże płakał!

– Jeśli chcesz, moje słońce, to jutro to zrobię. Wiem, że cię zawiodłem, nie mam prawa cię tu trzymać jak w więzieniu, ale wybacz mi... Przepraszam, że się tak zachowuję, jesteś... Jesteś mi tak bliska, nie mogę sobie wyobrazić, że ktoś...

– Eduard, to tylko luźna znajomość, nic bliskiego...

– Nie, nie, nie tłumacz mi się. Ja wiem, jesteś tak młoda, piękna,

pełna życia, nie mogę ci zabraniać...

– Ja chcę, żebyś mi zabraniał! Kocham cię, pragnę, chcę się z tobą kochać! Masz mnie, całą, tylko ty nie chcesz...

Płakałam, wykrzykiwałam cały żal ostatnich sześciu miesięcy, że przecież przyjechałam tu dla niego. Czy nie jest mężczyzną i mnie nie pożąda? Jego żona nawet niczego się nie domyśli, nawet nie zrozumie, o co chodzi, dość już się dla niej poświęcił. Siedział z twarzą ukrytą w dłoniach. Gdy zbierałam się do wyjścia, wyszeptał tylko:

– Może masz rację, może już czas...

Nie zamykałam drzwi na noc i on dobrze o tym wiedział, zapukał jednak cicho i wyszeptał:

– To ja, nie bój się...

Siadł przy mnie, gładził delikatnie, jednym palcem, moje usta, brwi, skrzydełka nosa. Chciałam go objąć, ale mnie powstrzymał:

– Leż, nie ruszaj się, chcę cię poznać...

Włożył dłoń pod kołdrę, przez chwilę dotykał moich piersi przez koszulkę, potem poprzez majtki gładził wzgórek łonowy. Chciałam dotknąć jego penisa, zobaczyć, jak bardzo jest podniecony, ale zdecydowanym ruchem odsunął mnie. Zrozumiałam – to taka erotyczna zabawa, przyjmuję jej reguły, udaję, że śpię.

Dłoń powoli wślizgiwała się pod gumkę majtek. Rozszerzyłam nogi, czekałam, cała mokra i gorąca, jak chyba nigdy do tej pory. Włożył palec w pochwę, śliską od śluzu, potem kilkakrotnie okrążył nim lechtaczkę, a ja przeżyłam orgazm tak silny, że przygryzłam poduszkę, by krzykiem wszystkich nie obudzić. Edward coś szeptał w swoim języku, a potem wstał i wyszedł z pokoju. Zaskoczona i otumaniona zaczęłam się onanizować, by tę rozkosz przeżyć jeszcze raz. I jeszcze...

Na drugi dzień zwijałam się jak w ukropie, radosna i szczęśliwa. Ewa była na wpół przytomna, ale gdy zostawiłam jej kanapki, pokrojone w drobne kosteczki, i poszłam po herbatę, to zdołała wszystko porzucić, zjeść parę kawałków szynki i zlizać masło. Nawet udało mi się usłyszeć hałas poruszonego talerzyka, ale gdy weszłam, leżała w takiej samej pozycji jak przed moim wyjściem. Znów też miała pełno piasku na prześcieradle, jakby wychodziła z łóżka. „Nigdy nie zrozumie natury jej choroby” – myślałam. Edward tłumaczył, że



zdarzają się przebłyski świadomości, ale to tylko pozory, naprawdę nie się pod nimi nie kryje, Ewa od razu zapomina, wraca do swojego stanu. Miałam inne wrażenie, gdy kilkakrotnie udało mi się z nią zamienić kilka zdań, ale cóż ja mogłam wiedzieć o chorobach. Na pewno nie więcej niż lekarz, nawet chirurg plastyczny. Patrzyłam na bladą i wychudzoną Ewę. Musiała być kiedyś piękna, a on ją przecież cały czas kochał. „Mężczyźni mają jednak swoje potrzeby, moja droga” – tak w myślach zwróciłam się do bezwładnego ciała. „Będziemy się tobą opiekować, ile będzie trzeba. Nie skrzywdzę cię”.

Oczywiście karteczkę z telefonem bruneta ze SPA gdzieś zapodziałam, a temat doładowania komórki poszedł w niepamięć. Wieczorem Edward zaprosił mnie do czarnej kawiarni. Dzień był powszedni, więc klientów niewielu. Siedliśmy na różowej kanapie, jednej z dwóch wysp koloru w czarnym wnętrzu. Objął mnie i mówił, a ja słuchałam, podniecona i wniebowzięta.

– Wydaje mi się, że znam cię od zawsze, jesteś taka piękna, radosna, dobra, naprawdę jak południowe słońce. Właściwie pokochałem cię od momentu, w którym cię zobaczyłem, tam, za barem w Perivolos. Myślałem, że jestem człowiekiem z zasadami, przysięgałem przed Bogiem dochować wierności mojej żonie i nie opuścić jej aż do śmierci, w zdrowiu i chorobie przy niej być. Ale już nie potrafię. Miłość do ciebie zniszczyła moje zasady, wszystkie przysięgi, lęk przed Bogiem. Chcę z tobą być, kochać się z tobą, ale cały czas się boję, że mnie odtrącisz...

– Też cię kocham od pierwszego spotkania, przecież przyjechałam do ciebie, zostawiłam swój kraj, rodzinę, przyjaciół. Jak mogę cię teraz odtrącić?

– Nie obiecuj mi nic, dopóki mnie nie poznasz. Mam swoje... dziwactwa.

– Chętnie je poznam. Ale – zreflektowałam się nagle – nie jesteś sadystą, prawda? Ja się boję bólu...

– Nie, moja kochana, bólu na pewno ci nie sprawię.

Piłam kolejnego drinka, szumiało mi w głowie, sama nie wiedziałam, ze szczęścia czy od nadmiaru alkoholu. On nie pił, chociaż przyszliśmy na piechotę. Teraz wracaliśmy, zatrzymując się co chwila

i całując, nawet pod posterunkiem policji. Roztopiający się śnieg chlapał pod butami, latarnie oświetlały wilgotne, poskręcane gałęzie drzew, a Edward sięgał pod wszystkie kurtki, polary i swetry, by ująć mój sutek w dwa palce i delikatnie pieścić. W końcu dotarliśmy do domu i pociągnął mnie do sypialni, mieszczącej się za gabinetem. Byłam tam pierwszy raz. Większą część pomieszczenia zajmowało ogromne, starodawne łoże z kolumnkami i baldachimem.

Rozbierał mnie powoli, ale ręce mu się trzęsły. Sięgnęłam do jego rozporka. Odsunął moją dłoń zdecydowanie. Stałam przed nim naga, a on spytał:

– Czy mogę zawiązać ci oczy?

Zgodziłam się. Zaczynała się jego gra. Materiał opaski był gładki, chłodny i pachniał znajomo. Edward wziął mnie na ręce i położył na łóżku.

– Teraz cię przywiążę, nie mocno, w każdej chwili będziesz mogła się oswobodzić, powiedz, mogę?

Głos mu drżał z podniecenia, a mnie kręciło się w głowie. „Czemu nie, czemu nie, niech w końcu się spełni...” – mówiłam, a może tylko myślałam. Wiązał mnie do kolumnek łóżka, tak że leżałam rozkrzyżowana, otwarta i dostępna. Potem się spełniło. W życiu nie było mi tak dobrze. Z rozkoszy prawie umarłam. Już nawet nie starałam się tłumić swoich krzyków poduszką. Gładkie dłonie ugniatały mi piersi, a to, co wdarło się we mnie, było ogromne, gorące i twarde jak kamień. Edward kochał się zupełnie dziko, strumień gorącej spermy zalał mi brzuch, a za chwilę znów poczułam go w sobie. Wyszedł, teraz ssalam jego penisa, a delikatne palce pieściły mnie między nogami, gładziły uda, wędrowały do środka, drażniły lechtaczkę. Spuścił mi się na piersi i już myślałam, że to koniec, ale nie. Wycierał mnie z nasienia wilgotną, pachnącą kwiatami chusteczką, coś szeptał. A potem niespodziewanie znów we mnie wszedł, tak samo twardy i gotowy jak za pierwszym razem. Nie wiem, ile to trwało, ale w końcu zdjął mi opaskę z oczu. Był ubrany, tylko na policzkach pojawiły mu się rumieńce. Wyzwoliłam się z więzów, położył się obok, przytulił mnie.

– Czy było ci dobrze?

– Yhmmmm...

– Jesteś cudowna. Nie mogę uwierzyć, że spotkałem kogoś takiego jak ty. Moje słońce. Moje południowe słońce. Chodź, pójdziemy do twojej sypialni.

– Nie chcesz, żebym została tutaj?

– Tyle lat spałem sam...

Nie naciskałam. Odprowadził mnie na wieżę.

– Kocham cię, moja księżniczko. Śpij dobrze.

Nie musiał mi tego mówić. Spałam jak zabita.

Następnej nocy zmarła Ewa.

Jeszcze w dzień wydawało się wszystko w porządku. Leżała blada, ale spokojna, oddychała normalnie, posypiała. Jak zwykle, poza rzadkimi okresami pobudzenia. Zresztą, nie wiem. Wszystkie czynności wykonywałam machinalnie, wspominając niesamowitą noc i planując następne („Teraz ja go zwiążę...”), w podbrzuszu czułam echa niesamowitych orgazmów. Nie obchodził mnie cień kobiety w szpitalnym łóżku. Nie darzyłam jej nienawiścią ani sympatią. Teraz nadszedł mój czas. Po obiedzie postanowiłam zrobić się na erotyczne bóstwo, wzięłam długą kąpiel z olejkiem i solami, umalowałam paznokcie u stóp, wyciągnęłam na łóżko całą bieliznę i namyślałam się długo nad wyborem. Edward wrócił z pracy, zjadł kolację wraz z matką, ułożył żonę do snu, a potem cicho wspiął się na moją wieżę i zaproponował przejażdżkę po okolicy i „może jakąś kawę, bo chyba nie będziemy jeszcze spali, prawda?”. Wolałabym od razu zacząć się z nim kochać, ale posłusznie wsiadłam do samochodu. Jeździliśmy po lesie, błądząc bez planu i celu, jak mi się wydawało. Edward opowiadał o Ewie, jak się poznali na studiach, jak szybko zaszła w ciążę i musieli brać czym prędzej ślub, bo dziecko powinno urodzić się w małżeństwie.

– Masz dziecko?

– Nie, urodziło się martwe. Już ci mówiłem, Ewa pracowała w laboratorium, to wszystko strasznie źle działało na jej organizm, już wtedy. Ale to nie zmieniło moich uczuć, bo ją kochałem, ożeniłbym się z nią, nawet gdyby nie była w ciąży. Nadal ją kocham. Może nie powinienem ci tego mówić, ale wydaje mi się, że są różne rodzaje miłości. Do Ewy to głównie szacunek, współczucie i przywiązanie, a do ciebie... Nie, poczekaj, zatrzymajmy się gdzieś, mam dla ciebie prezent,

zapomniałem...

– Przestań, dość prezentów, ja chcę ciebie.

– Musisz go przyjąć, jeśli chcesz mnie, no, weź – wciskał mi do rąk podłużne pudełeczko.

Otworzyłam. W środku był luksusowy, srebrzysty wibrator. Rzuciłam go Edwardowi na kolana.

– Co to ma być?

– To dla naszej przyjemności, pokażę ci, tylko zamknij oczy.

W tym momencie zadzwoniła jego komórka. Westchnął, spojrzął na wyświetlacz, odebrał. Słyszałam jego matkę. Rozłączył się i ruszył.

– Wracamy do domu. Z Ewą jest źle.

Porzucony wibrator schowałam do kieszeni. Wróciliśmy szybko, Edward ruszył przodem. Chciałam biec za nim, ale na drodze stanęła mi pani Dorota z gniewną miną. Pokazała, że mam iść na górę. Poszłam. Nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić, więc położyłam się spać. Jeśli Edward mnie zechce, będzie musiał się tu pofatygować. Zła byłam na Ewę, że akurat tej nocy poczuła się naprawdę źle, ale przecież – w końcu to nie jej wina, że była tak strasznie chora. Byłam ciekawa, ile dostawała odszkodowania, przecież choroba powstała z winy laboratorium. Myślałam też, że nie stało się jednak nic takiego, skoro nikt do tej pory nie wezwał karetki.

Rano zeszłam na dół. Edward i jego matka siedzieli w kuchni. Widać było, że mało spali tej nocy. Edward odsunął mi krzesło i powiedział:

– Nie udało się jej uratować. Zmarła w szpitalu.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, natomiast pani Dorota coś tłumaczyła, co chwila pokazując na mnie.

– Mama ma rację – powiedział Edward. – Na czas pogrzebu i pierwszej żałoby nie powinnaś tu być.

– Przecież mogę się nikomu nie pokazywać.

– Nie, tak nie można, to byłoby bardzo nie w porządku wobec ciebie. Nie wiem, jak mam ci to powiedzieć, przecież ja jeszcze nie mogę uwierzyć, że Ewa nie żyje, ale jestem uczciwym facetem...

– Co ty mówisz?

– Dziś po południu lecisz do siebie, przebukowałam już tamten

bilet, odwiozę cię na lotnisko.

– A co z nami?

– Cicho. Wracasz do siebie, ja przylatuję do Aten za jakiś miesiąc, bo chcę poznać twoich rodziców i oficjalnie poprosić o twoją rękę. Będziesz miała czas na załatwienie wszystkich dokumentów. Chyba że nie chcesz.

– Chcę – rzuciłam mu się na szyję. – Bardzo chcę!

– Kocham cię, moje słońce. Przepraszam, że nie mam pierścionka, ale myślę, że przez ten miesiąc znajdę coś godnego ciebie.

– Eduard, jak ja bardzo cię kocham!

– Biegnij na górę, szybko się spakuj, kup jeszcze jakieś prezenty... Weź – wcisnął mi do ręki portfel – przecież to też twoje pieniądze!

Zrobiłam to, co kazał. Przedzwoniłam do ojca, żeby wyjechał po mnie na lotnisko – nie będę o świcie tłukła się autobusem. Trochę dużo czasu spędzę na lotniskach, najpierw w Warszawie, potem we Frankfurcie. Nie szkodzi. W końcu ojciec odebrał. Nie, nic się nie stało, mam dla nich wspaniałą niespodziankę, oj, tato, nic strasznego, wszystko w porządku, a nawet lepiej niż w porządku. Nie, nie zostaniesz dziadkiem, nie łudź się, jeszcze nie teraz, na pewno. Na razie. Zobaczymy się jutro, powiedz mamie, jeśli z nią jeszcze rozmawiasz, że chciałabym się również z nią zobaczyć.

Pakując walizkę (nie wszystko, przecież tu wrócę, zimowe ciuchy zostawiam, w tej chwili jest u nas ciepło), myślałam sobie, że Ewa odeszła we właściwej chwili, robiąc mi miejsce przy boku Edwarda. Może zamieszkamy w Grecji? Na pewno będzie jeszcze lepiej zarabiał. Ojciec go wciśnie do jakiejś państwowej kliniki. Eduardo otworzy gabinet, jeszcze jak sprzeda to mieszkanie, a ja sprzedam moje – będziemy żyli dostatnio, a przynajmniej będzie mi cieplej. Ślub weźmiemy w tym małym kościółku u stóp Wzgórza Filopappos, mnisi tam tak czadowo śpiewają. W podróż poślubną pojedziemy do Włoch. Albo na Majorkę. Czy kupować jakieś prezenty? Ojcu przywiozę tutejszą wódkę, matce kupię perfumy. Wszystko załatwię na lotnisku, w Warszawie czy gdzie tam będę miała przesiadkę. Niech znają moje serce, nie będę manifestowała żalu do nich, to byłoby małostkowe. Z portfela wyłuskałam kilka setek. Chyba wystarczy? Wezmę jeszcze

parę, przecież pracowałam przez pół roku. A co, jak zechce ściągnąć swoją matkę? Cóż, w Grecji to ja będę górą. Wstrętna pani Dorota będzie mogła sobie sprzątać sama, nie cierpię tej baby.

Zapukał Edward, powiedział, że pora się zbierać, i wziął moją walizkę. Przy drzwiach wyjściowych czekała jego matka, trzymała tacę z dwoma kieliszkami wódki. Edward otworzył bagażnik i powiedział „To taki polski zwyczaj, żeby podróż przebiegła szczęśliwie”. Wzięłam więc kieliszek, uśmiechnięta pani Dorota drugi, stuknęłyśmy się, wypiliśmy. W głowie mi się zakręciło, chyba ze szczęścia...

<sup>1)</sup>*Dimotiko scholeio* – obowiązkowa szkoła podstawowa, do której uczęszczają dzieci od 6. do 12. roku życia.

<sup>2)</sup>*Eniaio Lykeio* (E. L.) – ogólnokształcąca szkoła średnia II stopnia, liceum.

**Przebudzenie Dymitry** Nie mogę się ruszyć, z trudem udaje mi się zamrużyć, ale i tak nic nie widzę. Jestem słaba i otumaniona, nawet strach, jaki mnie ogarnia, jest jakiś przytłumiony. Co się dzieje?

– Miałaś wypadek – słyszę głos Edwarda – ale wszystko będzie dobrze, jestem przy tobie.

– Co...

– Samochód jadący z naprzeciwka nagle wjechał na mój pas ruchu. Dachowaliśmy. Nawet nic poważnego ci się nie stało, tylko wstrząs mózgu i twarz...

– Moja twarz?

– Nie martw się, będziesz jeszcze piękniejsza niż kiedyś. Zespół chirurgów plastycznych już się o to postarał. Dla mnie, to przecież moi koledzy! Pamiętasz coś?

– Nie, tylko jak wychodziłam z domu...

– To przez ten wstrząs mózgu. Jesteś u nas, wszystko będzie dobrze. Stefania zajmuje się tobą, kiedy mnie nie ma. Opatrunki zdejmujemy za kilka dni. A teraz śpij.

Dwa razy nie trzeba mi było tego powtarzać. Byłam faktycznie bardzo senna. W dłoni miałam wenflon i chyba podłączoną kroplówkę.

Następne dni to ciągły sen, przerywany przez Stefanię i Edwarda, którzy prowadzili mnie do łazienki, karmili i przebierali. Nie czułam

bólu, tylko lekkie odrętwienie i szczypanie twarzy, w okolicach kącików oczu, skrzydełek nosa i warg. Mówienie też początkowo sprawiało mi trudność. Czasem zastanawiałam się, co z moją twarzą, jak teraz wyglądam, czy nie zostałam oszpecona, czy moi rodzice wiedzą – ale te myśli jakoś szybko odpływały, nie powodując żadnych emocji, i za chwilę znów zapadałam w sen. Zresztą Edward powiadomił rodziców, przekazał pozdrowienia i mówił, że z twarzą będzie wszystko dobrze. Napomknął też coś o pogrzebie. Faktycznie, Ewa. Umarła, noc przed moim wypadkiem. Też mnie to nie wzruszyło.

Potem Edward stwierdził, że niedługo zdejmie mi opatrunki. Odłączył kroplówkę, a ja byłam coraz przytomniejsza i po raz pierwszy poczułam prawdziwy strach – jak ja teraz wyglądam? Czy będę miała jakieś blizny? Jestem młoda, chcę być piękna, nie przeżyję, jeśli zostałam oszpecona. W dzień zdjęcia opatrunków Edward wygłosił do mnie długą przemowę:

– Za chwilę zdejmę ci bandaż z twarzy, potem dam lusterko i być może początkowo nie spodoba ci się to, co zobaczysz, ale to stan przejściowy. Jeszcze utrzymuje się opuchlizna, blizny trochę odcinają się od twojej ciemnej karnacji. Pamiętaj, to minie. Teraz jesteś piękniejsza niż przedtem, uwierz, zaufaj, bądź spokojna. Wszystko zrobiłem dobrze, dla naszego szczęścia, mój skarbie. Kocham cię.

Opatrunki zdejmował bardzo delikatnie. Potem musiałam przyzwyczać się do światła. Trzymał mnie za rękę i opowiadał, jaka cudowna przyszłość nas czeka, dokąd pojedziemy na wakacje, jak będziemy spędzać weekendy. Mówił o swoich znajomych lekarzach, ich żonach i dzieciach, o imprezach, jakie będziemy dla nich urządzali w naszym wspaniałym domu, o tym, że w ogrodzie postawi murowany grill i namiot, by wszyscy mogli biesiadować...

– A ślub, kochanie? – dopytywałam się. – Opowiedz, jak będzie wyglądał nasz ślub.

– To dopiero będzie niespodzianka! Nie mogę ci teraz opowiedzieć, choć już poczyniłem pewne przygotowania... Ale już niedługo!

W końcu oczy przestały łzawić. Zauważyłam tapetę w różyczki. Pokój Ewy? Odsłonił okno, podał mi lusterko.

Początkowo nie pojmowałam, kogo widzę – faktycznie, twarz z lustra była lekko opuchnięta, czerwone kreseczki w kącikach oczu i ust sprawiały wrażenie jakiegoś rytualnego makijażu. To byłam ja – ale bardziej nie ja, ktoś inny, znajomy... Próbowałam się uśmiechnąć, zrobić jakiś grymas, ale mięśnie nie za bardzo chciały mnie słuchać. Moje – nie moje oczy otworzyły się szeroko, malowało się w nich przerażenie. Wiedziałam już, kto na mnie patrzy z lustra.

Ewa!

Maska udająca Ewę.

Ukradziono mi twarz.

Chcę zdjąć maskę, ale Edward chwyta mnie mocno za rękę. Krzyczę. Stefania przypina mnie pasami do łóżka, daje zastrzyk. Jeszcze przez chwilę się szarpie. Leżę na łóżku Ewy, w pokoju Ewy, moje łóżko nie miało przecież pasów, gdzie są moi rodzice, powinni przy mnie być, to nie może być prawda, to jakiś sen, oddajcie mi moją twarz... Zastrzyk zaczyna działać, wszystko się oddala, strach i wściekłość także. Edward tłumaczy:

– To dla nas, kochanie, unikniemy tyłu komplikacji. Po prostu nagle twój stan się polepszy. Oczywiście nie będziesz mogła mówić w towarzystwie, póki nie nauczysz się polskiego. Powiemy, że masz uszkodzone ośrodki mowy. Wszystko przemyślałem. Jesteś teraz bogatą kobietą, wiesz? Odszkodowanie, renta, patenty, publikacje to wszystko jest twoje, pięć tysięcy euro miesięcznie, w Polsce to bardzo dużo, będziesz miała wszystko. O swoją rodzinę się nie martw. Już cię więcej nie skrzywdzą. Poleciałaś do Grecji i tam zaczęłaś nowe życie, bez nich. Nigdy cię nie znajdą, pewnie nawet nie będą szukać. Nie byli dla ciebie dobrzy. Ja teraz się tobą zaopiekuję. Będę cię kochał, bo teraz jesteś moją żoną. Zawsze cię kochałem, mimo że czasem nie byłaś dla mnie miła. Przyzwyczaisz się do nowego życia, do nowej twarzy, bo teraz jesteś naprawdę piękna, Ewuniu...

Nie miałam siły dalej się szarpać ani krzyżeć. Zasnąłam. Ilekroć środek przestawał działać, Edward pokazywał mi lusterko, ale za każdym razem reagowałam tak samo. Opuchlizna zeszła, blizny zbladły i maska Ewy była coraz bardziej podobna do oryginału, coraz bardziej żywa i plastyczna. Próbowałam ją zdjąć, ale zrastała się z moją twarzą.



Więc pasy, zastrzyk i sen. W pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że z Edwardem musi być coś nie tak, i przypomniały mi się wszystkie oglądane horrory o psychopatach przechowujących zwłoki bliskich. Edward poszedł krok dalej – ożywił swoją zmarłą żonę... Bohaterki horrorów zawsze podejmują próby ucieczki i wszystko kończy się dobrze. Trudno jest jednak uciec, będąc przypiętą pasami albo śpiąc. Jednak spróbowałam. Nie było hollywoodzkiego happy endu, tylko kara i więzienie w ciemnościach.

Zacisnęłam zęby i udawałam, że pogodziłam się ze swoją nową sytuacją, że wręcz mnie ona zadowala. Reagowałam na swoje nowe imię, nie histeryzowałam przy spojrzeniach w lustro, włączałam sobie telewizor, nauczyłam się mówić „dzień dobry” i „kocham cię” po polsku. Dyskretnie wypluwałam leki. Rozpromieniałam się na widok Edwarda, wyciągałam ku niemu ręce. Dobrze, że nie chciał się ze mną kochać, bo tego bym nie zniosła. Nie wiem, skąd brałam tyle siły, myślałam tylko o wydostaniu się z tego przeklętego domu, tej haremowej Wieży Sokoła. W myślach raz po raz przebiegałam przez podjazd, pokonywałam zamykaną na noc bramę i drogę przez las. Pobiegnę od razu na komisariat policji, wiem na szczęście, gdzie jest, mijaliśmy go kilkukrotnie w drodze do czarnej kawiarni. Tam dopiero będę bezpieczna. Te wyobrażenia dodawały mi sił do dalszego udawania, chociaż każde spojrzenie w lustro przyprawiało mnie o dreszcze i słabość.

Zyskiwałam siły i zaufanie, chociaż oczywiście pani Dorota patrzyła na mnie z nienawiścią, ale już trochę jakby mniejszą. Ostatecznie zostałam jej kontem bankowym. Dzięki mnie ma na te swoje zabiegi, kosmetyczki, masaże i sanatoria. Mogłam już wychodzić na powietrze. Śnieg zdążył stopnieć, słońce przygrzewało, drzewa zaczęły się zielenić. Wreszcie nadeszła, według mnie, właściwa pora. Brałam głównie pod uwagę swoje siły, przecież musiałam jakoś wydostać się z domu i z lasu. Najgorsze miało być przejście przez bramę, ale sądziłam, jakoś sobie poradzę. Na pewno sobie poradzę. Na filmach zawsze się udaje. Podobno najlepszą porą na nocne ucieczki jest godzina trzecia, wtedy ludzie śpią najgłębszym snem. Podejrzywałam, że i tak mnie nikt nie usłyszy, dom jest ogromny, ściany grube.

Po kolacji, czułościach Edwarda i wypluciu wieczornej porcji leków leżałam, udając, że śpię. Nasłuchiwałam. Pani Dorota sprawdzała dom. Najpierw mnie, potem drzwi wejściowe i wyjście przez kuchnię. Słyszałam szum wody w jej łazience. Potem zaległa cisza. Nie miałam zegarka, więc musiałam zdać się na własne poczucie upływu czasu. Powoli, starając się nie robić najmniejszego hałasu, przebrałam się w dres. Uchyliłam drzwi od pokoju, przeszłam przez przedpokój, omijając trzeszczące fragmenty parkietu. Strach mieszał się z euforią. Jak na razie szło bardzo dobrze, szczególnie że drzwi na klatkę schodową udało mi się otworzyć również bardzo cicho. Buty stały w korytarzu, w ciemnościach wymacałam swoje adidasy, założyłam je i ruszyłam powoli ku drzwiom wejściowym. Czułam się coraz bezpieczniej, ewentualnego hałasu z klatki schodowej nikt nie usłyszy, toteż zasuwę główną otwierałam już niezbyt ostrożnie, ale ciągle starałam się być cicho.

Byłam na zewnątrz, noc rozjaśniało światło księżyca. Ruszyłam szybkim krokiem przez podjazd, ku ostatniej przeszkodzie oddzielającej mnie od wolności. Byłam już sporo nad ziemią, podciągając się na ozdobnych prętach bramy i usiłując znaleźć oparcie dla stóp, gdy nagle coś szarpnęło mnie za kostkę i znalazłam się na ziemi. Nade mną pochylał się potwór Kristof. Skąd się tu wziął? Przecież wychodził późnym popołudniem. Słyszałam, jak oddawał klucze pani Dorocie. W każdym razie teraz przytrzymał mnie swoimi obrzydliwymi łapami, a ja próbowałam walczyć, wyrywałam się – przecież powinnam być silniejsza od kaleki... Poczulałam uderzenie w skroń i ogarnęła mnie ciemność.

Ocknęłam się na jakimś barłogu, w cuchnącym pleśnią i wilgocią pomieszczeniu, które rozświetlała jedynie słabiutka żarówka. Byłam przywiązana tak jak tamtej nocy z Edwardem, ale znacznie, znacznie mocniej. Nade mną stał nagi potwór z okrwawionym, wzwidzionym członkiem. W jego rękach szarpał się i skowyczał czerwony od ciągle płynącej krwi kłębek sierści.

Dreńczył mnie do rana. Nie chcę o tym pamiętać, nie chcę o tym myśleć. Ale najbardziej przerażające nie było to, co robił, tylko jego opowieść o mojej najwspanialszej w życiu nocy miłosnej, pierwszej

nocy z Edwardem, spędzonej w jedwabnych pętach na jego łóżku...

Po nieskończeniu długim czasie odszedł i wrócił z Edwardem, oburzonym i rozżalonym. Jak mogłam go tak zawieść? Jak mogłam okazać się tak wyrachowana i fałszywa? Zdradziłam go i odtąd wszystkie moje przywileje zostają cofnięte. Moje miejsce będzie w piwnicy. W ciemnościach. Stąd nie ucieknę, zasuwamy i kłódki są na zewnątrz.

Czasami jeszcze walczę. Usiłuję znaleźć jakiś ostrzejszy załomek muru i przeciąć sobie żyły, tłukę głową o ściany, jednak wtedy przez większość czasu jestem krępowana pasami i muszę załatwiać się pod siebie. Zwiększają mi też dawki leków, potwór zaś przychodzi napawać się moim strachem i poniżeniem. Nawet mnie już nie gwałci, patrzy tylko, onanizuje się i odchodzi. Raz na jakiś czas Stefania myje mnie, przebiera, zmienia materace. Gdzieś mnie przenoszą, ale nic z tego nie pamiętam, dostaję bardzo silny zastrzyk, śpię po nim jak kamień i potem długo nie mogę dojść do siebie. Pewnie wtedy przychodzi ktoś z sądu, sprawdzić, czy żona Edwarda, biedna, chora Ewa, jeszcze żyje. Edwarda nie widziałam już od dawna, ostatni raz był na początku mojego pobytu w piwnicy, wtedy gdy nazwał mnie niewdzięcznicą.

A moja rodzina, do której przecież miałam wrócić? Czy mnie szukają, niepokoją się, nie śpią po nocach, poruszają niebo i ziemię? Ale i tak nikt mnie tu nie znajdzie. Nie na darmo wyśmiewałam się z ulotek matki i nie przestrzegałam zaleceń w nich zawartych. Nie mają mojego adresu, nie znają nazwiska Edwarda. Nie wiedzą nic o moim życiu tutaj, bo serwowałam im same ogólniki i kłamstwa. Nikt nie wie o mnie całej prawdy, oszukałam wszystkich, najbardziej samą siebie. Teraz jestem sama i nie ma dla mnie żadnej nadziei.

Nie chce mi się już wspominać, wolę spać. Oczy zamykają się same, mdlący, osłabiający letarg pełźnie od stóp i dłoni ku głowie, muszę naprawdę się starać, by nie zanurzyć się w sen. Jestem coraz słabsza. To chyba przez te leki, ale także przez minimalne porcje jedzenia. Czy Edward chce mnie zagłodzić? Znów słyszę jakieś szmery w ciemności. Wyciągam rękę, natrafiam na ciepłe, miękkie futro. Cofam ją z obrzydzeniem – szczur, mój boże, szczur... Nagle rozlega się głośne mruczenie.

– *Gato* – szepczę po grecku – *gato*, kocie, jak tyś się tu dostał?

Miękki, ciepły i mrużący kłębek przytula się do mego boku. Nie znam się na kotach, koty z Pireusu i Perivolos nigdy nie tuliły się do człowieka, zawsze tylko z daleka obserwowały, okrągłymi, skupionymi oczami, a gdy nikogo nie było w pobliżu, ostrożnie podchodziły do misek i szybko jadły, by za chwilę bezszelestnie zniknąć. Były podobno nosicielami pasożytów i nie wolno było ich dotykać, żeby się nie zarazić. Ale teraz mi wszystko jedno, mogę nawet się zarazić jakąś kocią glistą, mogę na to umrzeć, bardzo dobrze. Głaszczę więc niespodziewanego gościa, a on mruży coraz głośniejsze. Pachnie lasem, świeżym, wilgotnym powietrzem, skoszoną trawą. To pewnie on wyjadał moje posiłki. Ciekawe, jak tu się dostaje, jak stąd wychodzi? Czy ma dom, jakiegoś właściciela? Jest wolny. Ja nie jestem. Chodzi, gdzie chce, ja jestem uwięziona. Wtulam twarz w jego futro i płaczę. Odsuwa się, odpycha mnie łapkami, chyba nie lubi takich poufałości. Znika. Będę na niego czekać, jest jak promyk nadziei w tych ciemnościach...

## **Część II. POTWÓR**



**Monstrualne memuary, czyli Pamiętnik Potwora**

Panuje teraz taki

obyczaj, oczywiście przywleczony z krajów bardziej rozwiniętych, w których niepełnosprawnych już dawno nie zrzuca się ze skały, a wręcz ratuje im się marny żywot z zaangażowaniem niewyobrażalnych środków finansowych. Chwała za to cywilizacji, ale czasem przegina w tym humanizmie. Warzywa leżą potem w ortopedycznych łózkach wartości samochodu, sparaliżowane, głuche i ślepe. Kupa ludzi skacze naokoło nich, przewijając je, kąpiąc i rehabilitując – oczywiście najczęściej nie są to ich rodzice, rodziców należy odciążać, wystarczająco już się namęczyli, z mozołem płodząc istoty, które w naturalny sposób nigdy by na ten świat nie przyszły. Matka natura unicestwiłaby je już w początkach życia płodowego. Ale do rzeczy – ten obyczaj, o którym chciałem wam powiedzieć, to umieszczanie przy takich bezsensownie istniejących warzywach zeszycika ze zdjęciami i obrazkami, w którym można przeczytać: „Hej, jestem Piotruś, jak chcesz mi sprawić przyjemność, zaśpiewaj mi piosenkę o piesku” i tym podobne pierdoły. Napatrzyłem się tego. Wpisałbym tam inne teksty, ale wolę robić co innego. Na przykład zapisać własny zeszycik, o wiele bardziej ciekawy. Opowiem wam, moi drodzy, nieistniejący słuchacze o kolejnym etapie mojego życia. Zacznijmy od początku.

Zostałem powołany na świat wbrew naturze. Sam z siebie nigdy bym nie powstał, w najlepszym razie skończyłbym jako zbiór komórek wydalony z łona matki. Opiekunowie, których nigdy nie nazwę rodzicami, znaleźli sposób, by się mnie pozbyć.

Początkowo nawet byłem zadowolony – dom pomocy społecznej to piękne żerowisko dla takich drapieżników jak ja. Personel traktuje cię jak głupka, wystarczy siedzieć cicho i wyręczać ich w pracy, a zyskuje się całkowity spokój. Robisz, co chcesz. Starłem się miarkować, ale cóż, bezkarność rozleniwia, zmniejsza czujność, nadmiar stawy, nawet tej duchowej, sprzyja ospałości. Obżarty drapieżnik przestaje być uważny. Wpadłem, ale delikatnie – nikt mi nic nie zrobił, ostatecznie byłem głupkiem i żadne wyniki testów nie mogły zmienić tego ich przekonania. Klapy na oczach, władza stereotypu. Przecież tylko głupki trafiają do domów pomocy, biedne, chore dzieci, nie? W papierach napisane, że głupi. A co miało być napisane, żebym mógł tu trafić? Udławili się własnym kłamstwem, naginaniem przepisów. Wiem, że

chcieli dobrze. No to mają za swoje. Mają mnie. Zostałem przeniesiony do tak zwanego mieszkania chronionego, pod bardziej czujny i inteligentny nadzór, z dala od smacznych, bezbronnych warzywek.

Próbowali też mnie leczyć, jakiś psychiatra mnie oglądał. Oczywiście nie zainteresowały go głębie mojej psychiki, tylko mięso. Moje intrygujące zewnątrz. Sprowadził drugiego doktora, ten kolejnego i wszyscy ślinili się nade mną, mało nie walili konia z naukowego podeksycowania. Poszedłem pod nóż, nawet nikt się mnie o zdanie nie pytał. No ale jest lepiej, dużo lepiej. Mogę swobodnie chodzić, jeszcze niezbyt daleko, ale nie jestem zależny od wózka. Rękami mogę robić nieco więcej interesujących rzeczy. A ponadto zyskałem swojego człowieka. Przyjaciela.

Coraz lepiej potrafię używać ludzi. Nie mam już w sobie dziecinnej pychy, jaka mnie kiedyś cechowała. Jestem bardziej pokorny i ostrożniejszy, już nigdy nie dam sobie wmówić, że jestem wszechmocny. Powoli sączyłem światło w umysł doktora Edwarda Rzeszczyńskiego. Trudno było, bo jak każdy porządny lekarz traktował pacjenta przedmiotowo, nie wdawał się w zbędne dyskusje, patrzył tylko na blizny pooperacyjne i biegł dalej. Ale byłem bardzo cierpliwy i wdzięczny. Kochałem jak pies. Dopytywałem się o szczegóły. Płakałem nawet, gdy byłem już zdrowy, prosiłem, bym mógł być jego doświadczalnym królikiem. Dopiąłem swego. Przygarnął mnie, bezpańskiego gargulca, zaprosił pod swój dach, wymyślił pracę, która miała mi dawać wrażenie, że jestem do czegośkolwiek potrzebny. Nadzór pełniła jego matka, która jest jędzą i lubi rozkazywać. Pod tym względem była podobna do niektórych opiekunek – najlepiej się czują, kiedy mają kogoś, kogo bezkarnie mogą traktować jak niewolnika. Spełniałem jej rozkazy, podobnie jak pielęgniarce Stefy. Polecenia starej były proste i zawsze źle je wykonywałem. Więcej czasu zajmowało mi udawanie, że słucham złośliwych napomnień i że się tym przejmuję, niż rzeczywista praca. Stefa pracowała kiedyś w domu pomocy, była tępą jak kilo gwoździ i lubiła sobie robić jaja z kaleki. Wygadywała sprośności, łapała mnie w kroku i takie tam. Nic mnie to nie obchodziło, póki miałem spokój.

Dostałem w suterenie pokój na narzędzia ogrodnicze, kosiarkę

i inne sprzęty. Byłem jak nożycoreki imiennik naszego doktora. Oglądaliście ten film z Johnym Deppem? Mogłem sobie siedzieć spokojnie w swojej piwnicznej izbie, nie była taka zła, prawdziwe mieszkanie, tylko okna trochę wysoko i w czasie deszczu woda wlewała się przez próg. Drobiazgi. Miałem łazienkę, kuchnię, starą wersalkę i inne graty. Poznosiłem tam swoje rzeczy, szczególnie te, których trzymanie w mieszkaniu chronionym byłoby nierozsądne. Znów skompletowałem sobie instrumentarium, a także kilka fantastycznych gazetek ze zdjęciami igraszek. Marzył mi się komputer, koniecznie z mobilnym internetem. Myślałem, że w końcu uda mi się go zdobyć. Właściwie jedynej rzeczy, jakiej żałowałem po rozstaniu się z opiekunami, był właśnie internet.

Kupowałem sobie króliki, te podrośnięte, bo były tańsze, a do moich celów nadawały się doskonale. Robiłem im sztuczne pochwy, to znaczy nacinałem skórę na grzbiecie czy gdziekolwiek, robiłem z niej milutką, ciepłą i wilgotną kieszonkę i jazda. Słuchałem krzyków zwierzęcia. Potem patrzyłem, jak kica do jakiegoś kąta i powoli zdycha. Czasem, jak było bardziej odporne, rąbałem je dwa razy. Od dawna o tym marzyłem, a jeszcze bardziej, by coś takiego zrobić człowiekowi.

Nikt mi w moich igraszkach nie przeszkadzał. Pewnie nawet nie wiedzieli, że siedzę w tej swojej kanciapie. A piski królików? Cóż, naokoło był las i łąka, różne dziwne odgłosy stamtąd dochodziły. Potem, dla urozmaicenia, brałem szczeniaki z ogłoszeń. Ludzie wciskali mi je do rąk i szybko uciekali, bojąc się, że się rozmyślę. Nikt potem się nie dowiadywał o losy psów.

Polowałem jednak na grubszą zwierzynę, jak już wiecie. Chciałem ponacinać człowieka w wielu miejscach i w każde zdrowo go wyruchać i żeby żył i czuł przez cały czas. Mógłby to być mężczyzna, ale lepiej kobieta albo dziecko. Nawet bym się z kimś podzielił swoją zdobyczą, czemu nie, jakby mi pomógł w polowaniu? Może doktor? Coś miał w oczach, taki chłód. Gdyby go tak odpowiednio podejść, porozmawiać? Już kiedyś miałem swojego doktora, ale wtedy łapałem go na dzieci. Zużył się, podobnie jak wielu innych ludzi po zetknięciu ze mną. Moi opiekunowie nazywali mnie szatanem, ale nie bardzo rozumieli to, co mówią. Być może jestem jego synem, to takie marzenie,

młodzi ludzie mają różne marzenia. Ja mam właśnie takie, spotkać swojego prawdziwego ojca, rogatego kozła, otoczonego kręgiem pływających nagich kobiet. Ale, ale, pan doktor...

Więc to zimne spojrzenie, silna kontrola emocji i chłód. No i żona pana doktora, zagalopowałem się w swojej narracji, zapomniałem o pięknej Ewie, dla niej przecież przychodziła świntucha Stefa. Ewa była w stanie roślinnym. Przeważnie leżała albo spała. Pierwszy raz zobaczyłem ją dopiero po kilku miesiącach przychodzenia do tego domu. Przedtem wiedziałem, że jest chora i nie rusza się z pokoju, do którego, jak i do reszty mieszkania, wstępu nie miałem. No, ale oczywiście, Stefa... Nie byłaby sobą, emerytowaną salową z domu pomocy, żeby się głupkiem nie wyręczyć przy wynoszeniu pampersów. Wtedy zobaczyłem Ewę i zakochałem się, naprawdę. Była tak cudownie bezbronna i tak piękna, że nic, tylko rżnąć. Najpierw w cipkę, potem w dupkę, a potem... Coś zawsze by mi przyszło do głowy. Ewie się nie spodobałem, oczywiście. Jak otworzyła te swoje cudne, ciemne oczy i zobaczyła mnie, to wrzeszczała strasznie. Jak na roślinę, to była całkiem bystra. Stefa kazała mi spierdalać. Potem już więcej mnie nie wołała, ale specjalnie spacerowałem przed oknami mojej śpiącej królowny, w nadziei, że mnie dostrzeże i zaszczyci swoim przerażeniem. Och, wyobrażałem sobie też ją z amputowanymi kończynami – cudowny, nagi, bezbronny kadłub. Czy doktor potrafi amputować ręce i nogi? Na pewno, przecież jest chirurgiem. Takiego współnika mieć, takiego mistrza...

Wziąłem go „na medycynę”. Pytałem o operacje i o możliwość plastyki twarzy. Rozmawialiśmy o moim schorzeniu, genetyce, przypadku i przeznaczeniu. Byłem dobrym rozmówcą, sporo wiedziałem i mimo młodego wieku wiele przeszedłem. Moim wielkim atutem było to, że opiekunowie się mnie kompletnie wyrzekli. Nie miał kto wprowadzać mnie w dorosłość, nie było przy mnie ojca. Chciałem, by doktor poczuł się jak ojciec albo dużo starszy brat.

W końcu mu się zwierzyłem ze swoich problemów seksualnych. Czy to nienormalne, że wiedząc, iż żadna kobieta mnie nie zechce, wybieram to, co jest dla mnie dostępne? Dzięki doktorowi również onanizm idzie mi o niebo lepiej. Nie chodziło jednak o masturbację,



tylko o – tu zająknąłem się i zamilkłem, zawstydzony i przestraszony.

– No, o co chodziło – dopytywał się pan doktor. – Powiedz, nie wstydz się, jestem lekarzem.

– Pan na pewno wie, bo przecież byłem z tego powodu u psychiatry, który potem dzwonił do pana, dzięki niemu poznaliśmy się przecież...

– Nie, nie – uspokajał doktor. – Tajemnica lekarska obowiązuje nas wszystkich, coś tam może napomknął, ale dokładnie, to nie.

– O tego – przełknąłem ślinę – leżącego. Ja z nim współżyłem.

– A on się oczywiście zgodził? – spytał doktor po długiej chwili milczenia.

– Nikt by się nie zgodził ze mną. On był... no, nieświadomy, ale nie wiem... Bo miałem wrażenie, że jest mu przyjemnie.

– Tak?

– Wiem, że z jednej strony to zrobiłem bardzo źle, ale z drugiej... Przecież on też może miał jakieś swoje potrzeby i zaspokoiliśmy się nawzajem?

– Wiesz co? Nie rób tego więcej. Z nikim, kto wyraźnie ci nie powie, że chce to z tobą robić.

Doktor był taki jak trzeba, poważny i ojcowski, ale chyba... Chyba dostrzegłem światło w jego zimnych oczach.

Zostawiłem temat na jakiś czas, do następnego sprzyjającego, intymnego momentu. Co sobie wyobrażał pan doktor? Czy scenę, jak potwór wykorzystuje innego potwora, czy swoją bezradną, piękną żonę, która być może „też ma jakieś swoje potrzeby”? Kto go tam wie. Coś w każdym razie sobie kombinował, bo za jakiś tydzień podszedł do mnie i zaprosił na werandę. Był poważny i trochę zażenowany.

– Myślałem o tym wszystkim. Plastyka twarzy może trochę polepszyć twój wygląd, ale do końca nie, na przykład asymetrii oczu nie zmienimy. Natura przesunęła ci oś symetrii, kolego, i to w obrębie całego ciała, kości czaszki to za delikatna sprawa, żeby je rozkuwać, przesunąć i liczyć na to, że się nie uszkodzi zawartości. Natomiast seks... Są kobiety, które marzą o takich jak ty, ale nie licz na uczucie... To, przepraszam za to, co teraz powiem, rodzaj zboczenia, nazywa się dysmorfofilia. Może, gdybyś dobrze poszukał, to znalazłbyś taką, której

sam twój widok sprawiłby rozkosz.

Staralem się okazać zdziwienie, chociaż Ameryki to pan doktor nie odkrył. Sam to już dawno wiedziałem i korzystałem, kiedy mogłem. Nie o to jednak chodziło. Doktor kontynuował:

– Są też prostytutki. Na Zachodzie nawet specjalizują się w usługach dla osób niepełnosprawnych, ale sądzę, że u nas, za odpowiednią opłatą, też by się jakaś zgodziła...

– Ale przecież mnie nawet nikt nie wpuści do agencji towarzyskiej, nie mówiąc o tym, że mnie nie stać...

– Coś się pomyśli – doktor mrugnął do mnie porozumiewawczo. – Coś się pomyśli...

„Kropla draży kamień nie siłą, lecz częstym padaniem”. Łacinę też miałem przez moment na tym moim indywidualnym nauczaniu, które skończyło się w momencie mojego zamieszkania w domu pomocy, bo po co znacznie upośledzonemu matura? Nie miałem wielkiego żalu o odcięcie mi dostępu do edukacji. Poza tym w tamtej chwili pochłaniała mnie obserwacja doktora. Co robi? Domyślałem się co...

Spełniły się moje przewidywania. Podjechał pod mieszkanie o zmroku, zwolnił mnie u wychowawcy „na konsultacje w klinice”, przepaszając, że tak późno, zapakował do samochodu i zawiózł do burdelu. Willa z dyskretnym logo, przedstawiającym panienkę w cylindrze, stała w ciemnej, cichej uliczce. Zadzwoił domofonem, rzucił „Jesteśmy już” i wrota sezamu się otworzyły. Poprowadził mnie schodami na pierwsze piętro, gdzie w jednym z pokoi czekała na mnie jakaś młoda dupcia w samonośnych pończochach i z jedwabną, czarną opaską na oczach.

– Chyba, jak cię nie będzie widzieć, to będziesz czuł się swobodniej. Lepiej też jej zbyt nie dotykaj, ręce jeszcze masz mało precyzyjne. Tu masz prysznic, dobrze się umyj. Prezerwatywę ci nałożę, tylko się nadstaw. No, to na razie, zaczekam na zewnątrz...

Akurat, na zewnątrz. Słyszałem, jak trzaskają drzwi od sąsiedniego pokoju. Na ścianie przy łóżku było duże lustro. Fajna sprawa.

Spisaliśmy się dobrze, ja i dupcia. Ja byłem odpowiednio onieśmielony, ona udawała, że się nie boi. Poszło szybko. Wyobrażałem sobie rozkoszny i bezbronny tors, naznaczony licznymi bliznami, które

ja zrobiłem. Było nieźle, ale wolę króliki.

Od tamtego razu doktor woził mnie co najmniej raz w miesiącu do tego burdelu, pewnie bywał tam wcześniej. Zawsze do pokoju z lustrem. Czasami była ta sama dupa co za pierwszym razem, czasami inne. Powolutku urozmaicałem nasze przedstawienia. Ściągałem na przykład w trakcie stosunku opaskę z oczu dziwki, a ona udawała, że się przestraszyła. Przecież już wiedziały, że co jakiś czas przychodzi potwór ze sponsorem, nie wierzę, by żyły w nieświadomości. Gdyby się naprawdę bały, widziałbym to, ale cóż, z prawdziwych uczuć mogłem liczyć tylko na obrzydzenie. Poza tym kazałem się wiązać, szczególnie lubiłem mieć ręce skute z tyłu. Kazałem się bić po pośladkach, ale delikatnie. Tryskałem też widowiskowo spermą na cycki kurew. Miał pan doktor uciechę za tym lusterkiem, oj, miał... Kosztowało go pewnie, jak za zboże. Mógłbym już dawno sam chodzić na te dziwki, znał mnie tam chyba każdy, ale nie – doktor chodził ze mną, eskortował, pomagał. Tu go miałem.

Czasami, udając ogromne skrępowanie, zwierzałem mu się z moich kolejnych grzesznych fantazji. Delikatnie, by nie przerazić. Na początek mały anal, potem może fisting. Kobieta związana. Kobieta pijąca mocz. Dwie kobiety w lateksach, przykute do belki sufitowej. Nie, nie realizowaliśmy wszystkich wizji, ale akceptował je w milczeniu, przełykając tylko ślinę. Kropla draży kamień...

Na zewnątrz także stawałem się coraz śmielszy. Straszylem kobitki, które zapuszczały się w moje rewiry, to znaczy włąziły na dziedziniec i chciały z bliska obejrzeć niezwykły dom. Wychodziłem wtedy zza jakiegoś rogu z rozpiętym rozporkiem i sprzętem gotowym do działania. Ale wiały! Jedna kiedyś wpadła na matkę doktora, ostrzegając ją krzykiem przed zboczeńcem. Pani Dorota opieprzyła babę z góry do dołu za łażenie po cudzych posesjach. Jakaś inna przedzwoniła na policję. To już zaniepokoiło doktora. Przeprowadził ze mną poważną rozmowę. Nie wolno straszyć ludzi. Chyba chcę, żeby mnie akceptowali, prawda? Muszę hamować swój popęd, nie jestem przecież ekshibicjonistą. To, co robię, to głupota, jeśli jeszcze raz się to powtórzy, będziemy musieli się rozstać, i tak dalej. Nie był przekonujący. Kogo by podziwiał przez lustro, gdybyśmy się

rozstali?

Wyprawy do agencji – to była pierwsza i najmocniejsza nić, na jakiej uwiązałem marionetkę doktora. Przydałoby się jeszcze kilka innych, może nieco słabszych. Rozpocząłem internetową żeglugę, utrudnioną bardzo, gdyż musiałem korzystać z komputera w bibliotece. Czytelnicy patrzyli na mnie niechętnie, bibliotekarka zaś cały czas podglądała, co mam na monitorze. Nic zdrożnego przecież, jak zwykle strony instytutów naukowych, ale przywykłem do intymności, jeśli chodzi o sieć. Dużo lepiej było w kawiarence w kinie Krewetka – długie, ciemne pomieszczenie, parawany pomiędzy stanowiskami. Tam dużo dowiedziałem się o Ewie i niemal żałowałem, że tak piękna i inteligentna osoba skończyła jak byle warzywo. Nasiliłem też moje wizyty w domu doktora, ściślej w jego mieszkaniu.

Klucze do kanciapy miałem już wtedy swoje, ale tylko ja o tym wiedziałem. Zawsze prosiłem panią Dorotę, by otworzyła mi suterene. Nigdy nie chciało jej się schodzić, więc brałem cały pęk kluczy, wiszący w przedpokoju. Posiadając już po cztery palce u rąk i przeciwstawny kciuk, swobodnie zdjąłem ten od werandy z kółka i na to miejsce włożyłem podobny. Weranda była trzecim, poza głównym i drzwiami z podjazdem dla wózka w kuchni, wejściem do domu. Dalsza droga prowadziła do pokoi doktora Edwarda, które zamykał, gdy wychodził. Nie chciał, żeby mamusia albo Stefa grzebały mu w bieliźnie? A może miał coś do ukrycia? W drodze powrotnej dorobiłem klucz w budce na rynku. Facet na mnie nawet nie spojrzął, pochylając się nad szlifierką. Na drugi dzień znów zamieniłem klucze. Teraz mogłem, niemal niepostrzeżenie, dostawać się na tajne salony mojego doktora. Chodziłem tam rzadko, tylko gdy starej nie było w domu, a Stefa gapiała się w telewizor w pokoju Ewy. Szukałem czegoś ciekawego, nie tych pornosów sado-maso w szafce nocnej, na pewno nie tego. Spokojnie, metodycznie przeszukiwałem segregator po segregatorze, dopóki nie minął kolejny odcinek ulubionego serialu Stefanii. Potem wychodziłem i wracałem przy następnej sprzyjającej okazji, znajdując coraz to ciekawsze rzeczy.

Ewa była ubezwłasnowolniona, co znaczyło, że wszystkim zarządza jej mąż, który podjął się roli prawnego opiekuna. Pan życia

i śmierci. Oraz bardzo dużej forsy, jak wynikało z dokumentów odkrytych przy którejś z następnych wizyt. Jednorazowe odszkodowanie za wypadek przy pracy. W dolarach amerykańskich, podobnie jak dożywotnia renta. Tantiemy z praw autorskich do wyników badań i publikacji. Dochody z patentów. I śmiesznie mała renta z ZUS, bo nie napracowała się kobyłka za mocno, za młoda była, żeby więcej dostać. Na szczęście miała o wiele więcej. To znaczy doktor Edward miał. Mógł sobie chodzić ze mną na dziwki nawet codziennie. Teraz też zrozumiałem, czemu nie oddał jej do jakiegoś hospicjum czy innego domu opieki. Forsa uciekłaby mu sprzed nosa, przynajmniej jej część. Trafiłem też na rozliczenie dla sądu – no, oczywiście, rozliczył tylko ZUS i dożywocie w dolarach, całej reszty nie. Stefie, według rozliczeń, płacił dobrą średnią krajową. Akurat! Mieli jakieś swoje tajne rozliczenia, więc i jej, i jemu się opłacało. Mnie też zatrudnił jako pomoc domową. Ale jaja... Dużo mi płacił w tym rozliczeniu, bardzo dużo. Wyjazdy rehabilitacyjne? Sprzęt ortopedyczny? Wózek akumulatorowy? Wolne żarty, przecież Ewa nawet nosa nie wyściubiła z tego swojego pokoju. Nigdy nie widziałem jej na dworze. Miałem zatem drugą nitkę, na której mogłem uwiesić doktorka, przecież ten cały kwit to jedna wielka bzdura, porównując go z wyciągiem z konta bankowego.

Trzecia nić, póki co nie sprawdzona, to leki. Cała apteka psychotropów, również w ampułkach. Same potężne zamulacze. Znam się na tym, nie na darmo siedziałem w tym domu pomocy. Tisercin na przykład. Albo depakine – niby przeciwpadaczkowy, ale stosowany „na wszystko”, wtedy gdy lekarz nie potrafi zdiagnozować psychola. Thioridazin, stary, dobry ogłupiacz. Haloperidol, „halopopierdołem” przez zawodowych wariatów zwany. Same rarytasy. I to wszystko dla biednej Ewy, która ani ręką, ani nogą? Nie do wiary, przecież takie zapasy wystarczają dla dwudziestoosobowego stada furiatów na kilka miesięcy. Zakręciłem się przy Stefanii, dałem się pomacać po jajkach, zajrzałem jej przez ramię do kieliszka z lekami. No, było tych pigułek od cholery. Byłaby więc piękna Ewa świadomie usypiana? Ale po co? Krzyczy? Biega po domu? Ucieka? Co by się stało, gdyby jej odstawić te proszki? Może pan doktor ma jakiś interes w tym, by tak leżała?

Uznałem, że kwestia leków jest zbyt skomplikowana, by sobie nią zawracać głowę. Nie przeszkadzało mi, że Ewa leży. Gorzej, że marniała w oczach. Nie chciała jeść i Stefa straszyla ją, zgadnijcie kim... A ja się wtedy pojawiałem, dżin z okrutnej baśni, i Ewa jadła. Potem wymiotowała, chyba naumyślnie, ale na to nic już nie mogliśmy poradzić. Co by było, gdyby Ewa umarła? Była młoda, ale bardzo słaba, leki obciążły jej wątrobę, serce, nerki. Za co wtedy byśmy chodzili z doktorem na dziwki?

Fajną sprawą był też album ze zdjęciami. Oczywiście jakieś wspólne wycieczki, imprezy, ślub. To było mało ciekawe, chociaż piękna Ewa, gdy szła do ołtarza, ewidentnie była w ciąży. Zdjęcia już z okresu choroby – na początku było zdecydowanie lepiej, siedziała na wózku, uśmiechała się, na pewno był z nią kontakt, nie to co teraz. Potem już nie było Ewy, tylko Edward na tle słynnych zabytków różnych krajów Europy, niekiedy razem z mamusią. Żona już się nie liczyła.

Napomykałem doktorowi o Ewie, oczywiście w kontekście tego, jakim jest wspaniałym człowiekiem, szlachetnym, opiekuńczym, nie takim jak moi rodzice, którzy pozbyli się kłopotu, a przecież ja jestem sprawny, samodzielny... Doktor tylko wzdychał, nie podchwytyjąc tematu. W końcu stwierdził, że jestem za mało doświadczony życiowo, by zrozumieć istotę sakramentu małżeństwa. Zapomniałbym powiedzieć – z całym zamiłowaniem do zboczeń sado-maso, podglądactwa i burdeli, doktor często napomykał o religii, choć nie zauważyłem, by chodził do kościoła. Sakrament – też mi wytłumaczenie, szczególnie gdy już miałem wiedzę o dochodach Ewy i rozliczeniowych matactwach doktorka. Niech mu będzie, że sakrament, nie sprzeczałem się.

Nadeszło lato i ustały moje wizyty u doktora – państwo wyjechali, to znaczy matka z synem, żonę zostawiając na łasce i niełasce Stefanii. W początkach sierpnia mieli wrócić, bo zbliżał się termin kontroli z sądu. Taka wizytacja co parę miesięcy, sprawdzająca, jak się czuje ubezwłasnowolniona, czy krzywda jej się nie dzieje, jakie ma warunki. Jak dla mnie, sztuka dla sztuki, zwłaszcza że inspekcje były zapowiadane. Wszystko można było przez ten czas zainscenizować, no chyba że delikwent by zmarł, to ożywić byłoby go trudno, ale każdą

inną rzecz na pewno. Inspekcja przyszła i wyszła, a Edward, wypoczęty i opalony, zabrał mnie na dziwki i zaproponował beztrzesko, żebyśmy przeszli na ty. Na co się nie zgodziłem, bo „byłoby mi niezręcznie, zawsze zostanie dla mnie kimś, komu zawdzięczam nowe życie”. Duma doktora została mile połączona, a dziwka zerżnięta w każdy otwór. Pewnie dostanie coś ekstra za takie wysiłki. W drodze powrotnej zwierzył mi się, że zaprosił do Polski pewną młodą Greczynkę. Nie pytałem po co, na pewno miał swoje powody. Więcej dowiedziałem się od pani Doroty, która zrzędziła, że „jakaś czarna zdzira robiła słodkie oczy do Edzia i teraz ma przyjechać, nie wiadomo po co”. Niby miała pomagać przy sprzątanii, ale co taka gówniara z gołym brzuchem może umieć? Tylko jeść będzie za darmo i się wylegiwać, za ciężką krwawicę Edwarda, ale cóż, mężczyzna to mężczyzna, nic się nie poradzi, nawet jak to własny syn. Ale ona, pani Dorotka, weźmie ją do galopu... Tak mówiła do Stefki, która z pogodnym uśmiechem głupiej krowy odpowiadała: „No, chłop to chłop, zamoczyć se musi, co będzie po kurwach latał. No i nasza Ewcia coraz słabsza...”. Tu pani Dorotka obruszyła się nie na żarty, szurnęła krzesłem i wypadła z kuchni. Bardzo byłem ciekaw tego nowego, egzotycznego króliczka, wszedłem na greckie sex-stronki, żeby sobie zobaczyć, czego się mogę spodziewać. Greczynki były przeważnie śniade, ciemnookie i ciemnowłose, trochę za tłuste, jak na mój gust.

Przy okazji kolejnej wyprawy na dziwki dowiedziałem się, że pan doktor nie może. Nieśmiało zaproponowałem mu ruchanko w trójkącie. Na co on, że już dawno stwierdził, iż seks z kobietą jest przereklamowany, niehigieniczny i w gruncie rzeczy obrzydliwy. Oczywiście – zastrzegł – to jego pogląd, nie muszę się z nim zgodzić. On sobie woli popatrzeć, jest to czystsze i przyjemniejsze. Fajnie, tym lepiej dla mnie, na moje wyczyny może patrzeć do oporu, tylko nie wiem, czy zechciałby obserwować wszystkie rodzaje moich igraszek.

W końcu przywiózł tę lalunię. Wcale nie była za tłusta. Zapoznałem się z nią dość blisko i odczułem radosny, podniecający dreszczyk, kiedy wyrywała się i uciekała z moich ślicznych, nowych rączek. Doktor wkurzył się na serio, bo cizia zabarykadowała się w pokoju, a potem chciała wracać do domu i to już następnego dnia po

przyjeździe... Wszystko przeze mnie? Niemożliwe. Bardzo pogniewaliśmy się na siebie z doktorem – on zabronił mi przychodzić do pałacu, ja dałem mu jasno do zrozumienia, że wiem, iż gapi się na mnie przez lustro w burdelu. On wspomniał, że za friko mam zrobioną piekielnie drogą operację, ja – że stać go na wiele więcej za kasę, którą doi na lewo z żony. Ostatecznie rozstaliśmy się w wielkim gniewie, ale wydawało mi się, że ja miałem ostatnie słowo. Po dwóch tygodniach zadzwonił, jak gdyby nic się nie stało, powiedział, że dziewczyna zostaje, ale nie mam się do niej zbliżać. Nawet patrzeć nie powinienem w jej stronę. Na zgodę poszliśmy wiadomo gdzie. Po drodze spytał, czy uważam, że Dymitra jest podobna do Ewy, na co odparłem, że trochę. Zastanawiałem się, co kombinuje, i z daleka obserwowałem zagraniczną truskaweczkę.

Coś tam w domu usiłowała robić, jednak w żaden sposób nie mogła zadowolić pani Doroty, która wygadywała straszne rzeczy, korzystając z tego, że panienka ni w ząb nie rozumie po polsku. Nazywała ją kocmołuchem, zdziłą, kretynką, kozim pomiotem, ścierą, szmatą, debilką, ladacznicą, śmieciem nieudacznym, gułą kropkowaną, idiotką, brudasem, leserką, darmożjadem, szambiarką, klempą, lewusem, bździągwą, kapuścianym łbem, lampucera, dziwką, ścierwem, cichodajką. Ani jednego przekleństwa, bo pani Dorotka była bardzo kulturalną i wykształconą osobą, miała bogaty zasób słownictwa. Zapisywałem sobie w pamięci te wszystkie czupiradła, koczkodany, wysztafirowane lafiryndy, flądry i inną zoologię. Potrafiła siedzieć w kuchni, spoglądać w okno i spokojnym głosem komentować poczynania dziewczyny. Brzmiało to mniej więcej tak: „O, lezie tu ta krowa, tyłkiem kręci. Boże, daj mi cierpliwość do tego flejtucha, zaraz znów coś zepsuje, dwie lewe ręce, że też ziemia taką nosi, przecież toto się tylko nadaje do domu publicznego, takie pomiotło nie wiadomo skąd, coś ty, mój synu, sobie wymyślił, co ci do głowy przyszło, żeby mi taką padlinę do domu wprowadzić, czym ja ci, synku, zawiniłam, powiedz, czym... Patrz, no patrz, zaraz mnie diabli wezmą, jak ona tę miotełkę do kurzu trzyma”.

Stefa śmiała się z samego faktu, że można przy kimś bezkarnie takie rzeczy wygadywać, ale sama nie dokuczała Greczynce, która



w gruncie rzeczy sprzątała dość dobrze i nie trzeba było po niej poprawiać. Trzeba też przyznać, że siedziała przy Ewie cierpliwie, czytała jej coś tam po angielsku, wiem, bo podsłuchałem pod oknem. Nadal się zastanawiałem, jak doktor jej użyje, bo przecież na darmo jej tu nie sprowadził. Poza tym nudziło mnie już ustawiczne schodzenie jej z oczu, o czym nie omieszkałem poinformować mojego dobroczyńcy. Przypomniałem mu też, że znam angielski nie gorzej od niego i nie będzie mógł jej okłamywać, że jestem upośledzony umysłowo, bo upośledzeni nie mówią płynnie w obcych językach. Oczywiście udawaliśmy obaj, że to takie żarty, ale doktor wiedział, że zaczyna się robić poważnie. To znaczy, że mogę mu zagrozić. Bardzo dobrze, teraz chodziło tylko o to, żeby utrzymać go na tej cienkiej granicy strachu, rozkoszy i poczucia mocy. Był już prawie mój.

Stopniowo wprowadzałem w życie moje pomysły, bardzo delikatnie – na przykład zażyczyłem sobie do burdelu wideo ze zwierzętami i krwią, które oglądałem podczas stosunku. Potem zaprosiłem doktora do środka – co się ma biedny chować za tym lustrem, niech popatrzy z bliska. Zgodził się, reagował też na moje propozycje zagładania w ruchane otworki. Znalazł, na moje życzenie, agencję, gdzie dziewczyny pozwalały się dusić, biczować i piły mocz. Do burdelu z lustrem już nie było po co wracać.

Zaczęliśmy trochę szaleć z panem doktorem. On oczywiście tylko patrzył i płacił, ja myślałem i działałem. Kupowaliśmy menelom wódkę, żeby się dla nas chlastali, dawałem im także różne inne zadania, mniej lub bardziej frywolne, takie malutkie igraszki z kropelką krwi, szczególnie jak natrafiliśmy na parkę.

Staliśmy się poniekąd słynni i kiedy nasz samochód pojawiał się w pobliżu siedlisk bezdomnych, to część lumpów uciekała w popłochu, a część wręcz nas przywoływała, wykazując niekiedy dużą inwencję w wymyślaniu rozrywek. Skończyliśmy, kiedy podczas zajęć ruchowych w kanale ciepłowniczym któryś z aktorów urwał niechcący kurek z gorącą parą. Niosła gwiazda porno zginęła na miejscu, dwóch jej partnerów zostało niemal śmiertelnie poparzonych. To doktor zadzwonił na pogotowie. Ale dopiero wtedy, jak sobie trochę popatrzyłem i posłuchałem krzyków.

Na jedno nie chciał się zgodzić – żebym bawił się z Ewą. Powiedział, że mogę zrobić, co zechcę, podać go na policję, do sądu, do gazet, ale do jego żony nie mam się zbliżać. Chyba jednak bał się, że mogę to zrobić, gdyż podarował mi Dymitrę.

To, że była na niego napalona jak suka z cieczką, było jasne od samego początku. Po co by przyjeżdżała do naszego zimnego i dziadowskiego kraju, siedziała w pałacu jako służąca, zносиła panią Dorotę, od której waliło niemal namacalną nienawiścią, sama, w kompletnie obcym środowisku, za darmo? Patrzyła na doktora Edwarda maślanymi oczkami – czułem zapach jej soków z kilku metrów – i nie wiedziała, głupia, naiwna cipka, że jej ukochany jest obrzydliwym zbokiem, lubiącym patrzeć na deformacje, strach, krew i cierpienie. I na pewno nigdy, przenigdy jej nie zerznie jak facet kobietę, bo dla niego jest to czynność przereklamowana i niehigieniczna.

Kiedy wśród bezdomnych po wypadku zrobiło się niebezpiecznie, a ja zacząłem domagać się Ewy, doktor musiał popracować nad grecką truskaweczką. Woził ją po knajpach, trochę podmacywał, żeby była gotowa, kiedy przyjdzie czas.

Nie sądzicie, że przez cały czas rozmyślałem tylko o zabawach. Bycie kimś takim jak ja wymusza ciągle kształcenie się, rozmyślanie, dociekania – nie tak łatwo być potworem. Tak naprawdę moje wszystkie działania to poszukiwanie pobratymców, osobników tego samego gatunku, znajdujących przyjemność w podobnych rozrywkach – i mogących znieść samych siebie. Cóż na przykład takiemu monstrum jak ja przysłoby ze stłumienia wszystkich swoich potrzeb i popędów? I tak nie zyskałbym akceptacji, nawet ludzie, którzy powołali mnie na ten świat, nie mogli mnie znieść. Muszę żyć sam ze sobą, więc niech mam coś z tego życia. Inni, zamiast cieszyć się z tego, że mają ciała, które nie zwracają uwagi, a jeśli już, to tylko i wyłącznie pozytywną – podziw, pożądanie, wrażenia estetyczne – starają się uczynić swoją egzystencję jeszcze bardziej interesującą. Na przykład takie sporty ekstremalne albo wyprawy w niebezpieczne krainy. Nie zdają sobie sprawy, że jeśli uszkodzą ciało, to znajdą się w świecie kalek, maskaronów, monstrów – w moim świecie, w którym nie ma miejsca na proste, dostępne powszechnie radości. Czasem też nieszczęśni

poszukiwacze wrażeń przekraczają granicę, którą tylko potwór może przekroczyć, a ich delikatne sumienia nie wytrzymują. Poczucie winy jest tak silne, że pcha do samobójstwa. Tak jak tamtego doktora, co lubił dzieci. Jedynie potwór prawdziwy – nieważne, jakie ma ciało – może znieść najwyższą formę rozrywki: tworzenie potworów z innych ludzi albo, w konsekwencji, unicestwienie ich. Ja z samotności kreowałem teraz potwora z doktora Edwarda. Chciałem się przekonać, czy będzie on w stanie zduplikować moje dzieło, czy będzie tak odporny jak ja, czy nie zużyje się, nie pęknie. Gdyby nas było więcej, w końcu rządilibyśmy tym światem, jak wampiry z filmów. Nawiasem mówiąc, nie smakuje mi krew, ani zwierzęca, ani ludzka.

Jak widzicie, nie rozmyślałem tylko o rozrywkach. Dużo czytam, interesuję się chirurgią plastyczną i urazową, medycyną sądową, seksuologią, weterynarią. Na cześć greckiego ciasteczka szlifuję swój angielski oraz poznaję Grecję, ten piękny, starożytny kraj – być może kiedyś będę ją mógł zadziwić. Oczywiście, jak zawsze pasjonuje mnie zjawisko internetu i to, co można z tym zrobić. Oraz majsterkowanie, bardzo ułatwione – dzięki przebytym operacjom dłoni, ale jeszcze nie tak, jakbym chciał. Po wieloma względami jestem normalnym dwudziestolatkiem. Pod wieloma innymi jestem o wiele ciekawszy od przeciętnego młodzieńca w moim wieku.

Satanizm nie pasjonuje mnie nadmiernie, taki sobie kierunek filozoficzny, wolę rozważania teologiczne na temat diabła, piekła, demonów. No i filmy. Bardzo lubię filmy, można mnie nazwać kinomanem. Gdy patrzę na ruchome obrazy, to prawie tak, jakbym przechodził do innej rzeczywistości, przy niektórych scenach mam ochotę wskoczyć w ekran.

Jeśli już tak dogłębnie chcecie poznać moje zajęcia i zainteresowania, to opowiem wam jeszcze o ćwiczeniach fizycznych i rehabilitacji, ale spójrzcie prawdzie w oczy. To was wcale nie interesuje. Wy pragniecie się dowiedzieć, co dalej z Greczynką, łakniecie opisów mojego kolejnego dzieła. Czyżbym obudził w was potwora? Nie, to taki żart, przecież każdy lubi sobie poczytać o figlach, igraszkach i zabawach, których sam nigdy by nie wprowadził w czyn...

Więc jakoś tak wczesną wiosną, już w okresie roztopów, doktor

powiedział, że dziś Greczynka będzie moja. Urządzimy to w sypialni doktora, bo tam ma łóżko z zagłówkami i baldachimem. Ona będzie przywiązana, z opaską na oczach. Ja zaś, jeśli mam ochotę ją rznąć, to muszę mieć ręce związane z tyłu albo przykute w górze, do poprzeczki baldachimu, a w ustach knebel. Inaczej być nie może, ona nie ma prawa się dowiedzieć, że to nie Edward się z nią zabawia. Zgodziłem się, cóż, nie zawsze można mieć wszystko od razu, czasem trzeba iść na ustępstwa. Siedziałem sobie w sąsiadującym z sypialnią pokoju, pełniącym rolę biura, w wygodnym fotelu, ale po ciemku. Drzwi do sypialni były uchylone, zawiasy dobrze nasmarowane, żeby skrzywienie nie wystraszyło naszego gołąbka. Czekałem, słodkie to było czekanie.

W końcu przyszli, była już całkowicie urobiona, chętna i gorąca. Jak doktor chce, to się jednak potrafi postarać, żeby kobieta była szczęśliwa. Wszedłem, gdy leżała naga i rozkrzyżowana na łóżku, całkowicie bezbronna. Och, jaka szkoda, że zgodziłem się na kajdanki i knebel, tak bym chciał usłyszeć choćby malutki odgłos świadczący o przerażeniu! Słuchałem jednak orgazmicznych jęków i okrzyków najszczęśliwszej kobiety pod słońcem. Było to interesujące, natomiast specjalnie nie wzmagało mojej rozkoszy. Pracowaliśmy z doktorem zespołowo, to znaczy on rękami i ustami, ja fiutem. Mimo że nie wszystko było tak, jakbym chciał, udało mi się spuścić ze trzy razy, ale tylko dlatego, że wyobrażałem sobie wyraz jej oczu, gdyby opaska zsunęła się niechcący.

Potem poszedłem znów do sąsiedniego pokoju i przez uchylone drzwi słuchałem jej zachwytów, westchnień i wyznań. Miała ogromną ochotę zostać na całą noc, ale jakoś udało się doktorowi wyekspediować ją na górę.

Później mieliśmy poważną rozmowę. Stwierdził, że zbyt dużo ryzykujemy i nie będzie można często się z Dymitrami tak zabawiać. Nie, żebym się strasznie napalał – już mówiłem, nie było to w moim guście – ale spytałem, jak on teraz zamierza zadowalać rozpaloną do białości młodą dupę. A poza tym chyba ma świadomość, że nie jestem do końca usatysfakcjonowany, miała mi zastąpić Ewę, a tu co? Ani bezradności, ani strachu, zdrowa, napalona dziewczucha, myśląca, że rżnie się ze swoim ukochanym. Właściwie – ciągnąłem – to ja zrobiłem doktorowi

przysługę, a nie on mnie. Ja osobiście nadal nie jestem usatysfakcjonowany i ciągle pragnę Ewy.

Edward bardzo się zdenerwował. Powiedział, że doskonale poradzi sobie beze mnie, oddana, kochająca kobieta potrafi obejść się bez seksu, poza tym są różne gadzety i umilacze. Roześmiałem się tylko na takie słowa, bo doktor na chirurgii to się może znał, ale na kobietach, na ludziach, to wcale. Takie są skutki traktowania po macoszemu psychologii na studiach medycznych. Zdenerwował się jeszcze bardziej, mówił, że jestem niewdzięczny, że tyle dla mnie zrobił i że jeśli będę się zachowywał w ten sposób, to nasza znajomość się skończy. Głupi, naiwny człowieczek, na chwilę zapomniał, do kogo należy. Zaprzedał mi się przecież dużo wcześniej, wtedy, gdy zaczął pomagać zaspokajać moje potrzeby seksualne. Teraz nie ma wyjścia: albo przeważy w nim natura potwora, albo...

Oczywiście uprzedziłem, że taka postawa może przynieść nieciekawe skutki. Wspomniałem o nierozliczonych dochodach Ewy – machnął ręką, nieważne, najwyżej sąd pozbawi go funkcji opiekuna. Nikt też nie uwierzy w to, co taki pokurcz jak ja będzie opowiadał. Niech nie zapominam, że w papierach mam upośledzenie znaczne, takich osób w ogóle nie bierze się pod uwagę. Wszystko sobie przemyślał, zaplanował i najwyraźniej chciał się mnie pozbyć! Kazał mi się wynosić. Powiedziałem, że pożałuje. Nie wziął tego poważnie. Wsadził mnie do samochodu i odwiózł do mieszkania. O świcie byłem już z powrotem, krążyłem wokół i nasłuchiwałem odgłosów domu. Wszyscy spali, okna były ciemne. Drzwi wejściowe sam oliwiłem. Nie zaskrzypią. Nikt się nie obudzi, a jakby nawet? To działa w dwie strony. Kto oskarży takiego pokurcza jak ja? Przecież w papierach mam upośledzenie znaczne... Wszedłem bez problemu, przecież dawno już miałem klucze od wszystkich pomieszczeń, nie mówiłem wam? To ze zwykłej ostrożności.

Przyduśliłem usta Ewy poduszką, żeby mi nie urządziła alarmu.

– Witaj, kochanie.

Miło było patrzeć jej w oczy, gdy zapaliłem nocną lampkę.

– To ja, twój wielbiciel. Mam dla ciebie propozycję...

Ach, te cudowne, przerażone czarne oczęta.

– Czy zechcesz zostać moją kochanką? Jedno mrugnięcie na tak, dwa na nie.

Oczywiście rzesy trzepoczą jak miękkie ćmy, nie, nie, nie.

– A może chcesz umrzeć?

Tak.

– Zrobimy na złość Edwardowi? Pozbawimy go kasy?

Tak.

– Moja droga, wiem, że jesteś bardziej sprawna, niż się wszystkim wydaje. Masz dość, próbujesz się zagłodzić. Jeśli zostawię ci truciznę, to czy będziesz w stanie ją wziąć?

Tak.

– Twoje serce zatrzyma się po prostu, już i tak jesteś wycieńczona. Zrobisz to do północy, jeśli nie, to jednak zostaniesz moją kochanką. Już jutro o świcie. A teraz wezmę poduszkę i sobie pójdę. Czy będziesz krzyczeć?

Nie.

– Mądra dziewczynka, mądra Ewa... Masz rację, co to za życie, prochy i te wszystkie potwory naokoło. Bądź szczęśliwa.

– Dziękuję.

Naprawdę dzielna kobieta. Tabletki, które jej zostawiłem, spowodują zatrzymanie akcji serca. Skąd wiem? Nie mówiłem wam, że farmakologią też się interesuję?

Zaszyłem się w swojej piwnicznej izbie – znalazłem już jakiś czas temu małe, zupełnie ciemne pomieszczenie obok kotłowni. Lubię tam leżeć. Nie dociera do mnie żaden dźwięk. W ciszy dobrze mi się myśli. Nie byłem do końca z siebie zadowolony. Jeśli Ewa wybierze śmierć, to dla doktora będzie to dotkliwy cios, szczególnie finansowy, ale w sumie straci tylko rentę, wszystko inne odziedziczy. Miałem wrażenie, że znów zostałem oszukany. Przykre uczucie, nikomu nie życzę. Zasnąłem, miałem przecież bardzo ciężką noc, nawet oka nie zmrużyłem, by nie zaspać na pierwszy tramwaj, którym przyjechałem w okolice pałacu.

Gdy się obudziłem, najpierw skorzystałem z łazienki – muszę wyglądać świeżo; gdybym jeszcze do swojego wyglądu dodał smród niemytego ciała, chyba bym sam ze sobą nie wytrzymał. Potem rozsiadłem się w moich apartamentach i nasłuchiwałem. Był już

wieczór. Słyszałem, jak doktor zabiera gdzieś Dymitrę – byli bardzo radośni, szczęśliwi, śmieli się. To znaczy, że Ewa jeszcze żyje. Może jednak zostanie moją kochanką?

Stwierdziłem, że wracam do mieszkania. Gdy byłem już na drodze, widziałem samochód doktora wjeżdżający na posesję.

Rano nie działo się nic. Doktor nie poinformował wychowawców, że nie mam więcej do niego przychodzić, więc wybrałem się do pałacu.

Samochód stał przed domem. Niezwykłe. Zadzwoiłem do drzwi wejściowych, otworzył mi doktor. Był wymięty, rozczochrany i miał czerwone oczy, w których malowała się wściekłość. Rzucił mnie na balustradę schodów, ręce mu się trzęsły, oddychał zbyt szybko i płytko. Histeria?

– Maczałeś w tym swoje paluchy, co?

– W czym? – w moim głosie było tylko zaciekawienie.

– Ewa umarła! Jeśli to ty...

– Ja? Po co?

– Nie wiem, kurwa!

Oho ho, idzie na ostro, Edward nigdy nie przeklina.

– Porozmawiajmy spokojnie. To nie ja, zapewniam cię, nie miałem szans.

Powoli dowiedziałem się rzeczy zadziwiających, doktor wyznawał mi wszystko, trzęsąc się na starej wersalce w mojej suterenie. Było dużo lepiej, niż myślałem.

Ewa musiała zażyć tabletki już po południu, trochę czasu minęło, zanim przedostały się do krwi. Gdy wieczorem zauważyłem samochód, już nie żyła. Ten fakt odkryła pani Dorota i zaraz zadzwoniła po syna, który romansował z Dymitrą gdzieś na krańcach Doliny Radości. Nie zawołali pogotowia ani policji. Odwołali tylko Stefę. Ewa nadal leży w swoim pokoju. Bez sensu? No tak, nie chodziło tylko o rentę. Mieli rozdzielność majątkową. Pani Dorota tak sobie zażyczyła, gdyż w momencie ślubu Ewa nie miała nic, a oni byli bogaci. Zmieniło się, prawda? Tuż przed wypadkiem Ewa zmieniła testament – wszystko zapisała jakiejś fundacji. Teraz pani Dorota się awanturuje, chciałaby przeciągnąć jak najdłużej wpływy z dochodu Ewy. Każe synowi myśleć, ale co z tego, jak Ewa nie żyje, ostatecznie i nieodwołalnie. Już i tak

przesadził z czasem powiadomienia o zgonie. Doktor był bezradny, niezdolny do działania, z jednej strony obowiązki, z drugiej matka, no i jeszcze śmierć żony. Biedny chłopiec, za dużo na niego spadło. Tylko pani Dorota wydawała mi się właściwą partnerką do rozmowy, gdyż w głowie zaświtał mi wspólny plan, dzięki któremu miałbym jeszcze władzę nad nią. Poszliśmy na górę.

Początkowo nie chciała w ogóle mnie słuchać. Ciągle byłem dla niej kaleką na posyłki, jednak gdy kilka razy powtórzyłem magiczne słowo „pieniądze”, w końcu skupiła uwagę. No, nie obyło się bez narzekań. Oberwało się Edwardowi, że ożenił się z taką hardą i niewdzięczną dziewczyną, która rozmyślnie pozbawiła go pieniędzy, oberwało się mnie, Dymitrze i Stefanii, że wyciągamy forszę z ich kieszeni, chociaż i tak wszystko musi robić pani Dorota, oberwało się w końcu nieżywej Ewie, bo jak śmiała umrzeć bez pozwolenia. Ale w końcu zaczęła mnie słuchać – głupia, wredna baba, największy potwór z nas wszystkich.

Skoro Ewa nie żyje, trzeba stworzyć nową – jest Dymitra, zakochana i chętna. Parę cięć skalpelem i jest jak Ewa, nawet teraz istnieje pewne podobieństwo. Doktor gorliwie kiwał głową. Bąknął, że podobieństwo do Ewy dostrzegł już w Grecji. Co sobie wtedy kombinował, nie wiem, ale w tej chwili to nie było ważne.

Ewie zrobimy pogrzeb w piwnicy, za naszego życia nikt tam nie zajrzy. Stopniowo zacznie wracać do zdrowia, będzie mogła wychodzić, spotykać się z kuratorem, tylko niech nic nie mówi, nie nauczy się przecież polskiego. I tak będzie duża poprawa. Stefanię się zwolni już dziś, po co nam ona. Ja mogę pogrzebać Ewę, jak chcą, oczywiście, bo jak nie, to sobie idę. Niech Edward przekona Dymitrę – jak go kocha, to może się zgodzi. To co, mam zacząć kopać? Milczeli i trawili pomysł. Poszedłem sobie, niech sami się męczą.

Oczywiście zrobili głupio. Nie chciało mi się już wnikać, kto o czym zdecydował. Nie obchodziło mnie to, gdyż zapanował porządek, o wiele lepszy od poprzedniego.

Ewę w końcu dane mi było pogrzebać pięć dni po jej śmierci. Dobrze, że Edwardowi przyszło do głowy wyłączyć ogrzewanie w jej pokoju. Smutny miała pogrzeb, nikt nie przyszedł. Zarówno mąż, jak



i teściowa wymazali ją z pamięci w tym samym momencie, gdy pod osłoną ciemności wyciągałem ciało z domu. Zastanawiałem się, czy to jeszcze ludzkie mechanizmy obronne, czy może już stali się potworami.

Jednak jej życie po śmierci przeciągnęło się nieco. Jak mówiłem, dzięki szczątkowej przytomności umysłu doktor wyłączył ogrzewanie. Miałem więc przyjemność obcować cieleśnie z jego niezbyt nadpsutą małżonką. Była zimna, bierna i całkowicie bezradna. Spełniłem też swoje fantazje o kadłubie i amputacjach. Było miło, ale jednak to nie to. Brakowało mi strachu i bólu w jej oczach. Jeśli jednak następnym razem będę miał okazję do igraszek z trupem, to skorzystam, trzeba umieć cieszyć się chwilą, tym, co przynosi los. Nie wolno marudzić i grymasić.

W końcu jednak trzeba było zakopać Ewę, woń stawała się przykra. Dymitra zaś była już po drobnej korekcie swojej urody, tylko zdaje się nie odbyło się to za jej zgodą. Chyba doktor nawet z nią nie porozmawiał, postanowił postawić ją przed faktem dokonanym. Na razie leżała w łóżku Ewy, zamulona jej prochami, w przekonaniu, że miała wypadek samochodowy i znajduje się pod czułą opieką ukochanego. Coś tam wykombinowali, że wraca do domu, do Grecji i po drodze... Do końca nikt jej nie szukał, więc tę akurat rzecz wymyślili dobrze.

Natomiast cała reszta ich planu była do niczego. Akurat byłem pod oknem i usłyszałem ten wrzask, gdy Dymitra zobaczyła po raz pierwszy swoją nową twarz. Wcale nie chciała być Ewą. W ruch poszły zastrzyki uspokajające i pasy. Pojawiła się Stefa, bardzo wprawna w takich akcjach. Chyba było jej obojętne, kim się zajmuje, bo nawet nie spytała o blizny, bandaże i nagły dobrostan Ewy, którą przed kilkoma dniami widziała w stanie niemal agonialnym.

W tamtym okresie grecka brzoskwinka Dymitra zyskała mój niechętny podziw.

Prawdę mówiąc, do tej pory była tylko mięsem, smacznym, wywołującym ślinotok, ale mięsem. Jednak w perspektywie utraty tożsamości wykazała daleko idący spryt i odwagę. Opanowała się na tyle, by zostać uwolniona z pasów i zacząć poruszać się po domu. Reagowała na imię „Ewa”, wypytywała doktora o ewentualne problemy związane z jej cudownym ozdrowieniem. W tym czasie nadal nie byłem wpuszczany na pokoje. Niech żałują, ja bym na pewno coś zauważył, na

przykład, że unika patrzenia w lustro. Zaczęła wychodzić na zewnątrz, łapała pierwsze wiosenne promyki słońca. Zbliżała się pora kontroli z sądu, a nowa Ewa nie była przestraszona tą perspektywą. Doktor był szczęśliwy, pani Dorota również – wydawało się, że wszyscy będą żyli długo i szczęśliwie, chociaż sielanka trwała dopiero parę tygodni. Doktor wieczorem profilaktycznie podawał nowej Ewie środki nasenne, ale musiała je jakoś zmyślnie wypluwać, gdyż pewnej nocy próbowała się wymknąć. Przygotowała się dobrze, ale cóż, nikt nie przewidział, że nocuję w swojej piwniczce, przecież zamknąłem ją i oddałem klucze. Usłyszałem szczęknięcie zamka w drzwiach wejściowych i z ciekawości wyjrzałem, któż to chodzi po nocy, gdy potwory oddają się igraszkom ze świeżym zwierzęciem.

To była Dymitra-Ewa, już w połowie podjazdu. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie dać jej uciec, a potem patrzeć na to całe zamieszanie, gdy wyczyny doktora i pani Doroty wyjdą na jaw. Ale nie, stwierdziłem, że wolę obserwować stan psychiczny dzielnego dziewczęcia, gdy poniesie porażkę. Ruszyłem za nią, nie śpiesząc się specjalnie. Na pewno nie miała kluczy. Zanim pokona wysokie ogrodzenie, nawet ja, na swoich niepewnych, dwupalczastych stopach, zdołałem ją dogonić. Na wszelki wypadek za pasek wsadziłem młotek, gdyby okazała się skora do przemocy. Młotek, zauważcie, nie był narzędziem przypadkowym, pod pewnymi względami jestem tradycjonalistą, kontynuatorem dzieł niegdyś rozpoczętych i nieukończonych. Być może zdarzy się okazja do ćwiczeń.

Poruszałem się bezszelestnie, miękko, cicho – nie na darmo ćwiczyłem takie rzeczy. Miałem też siłę w rękach – bez trudu ściągnąłem ją z płotu za kostkę i powaliłem na ziemię. Wbrew moim nadziejom nie zaczęła krzyczeć, podziwiałem jej opanowanie. Walczyła w milczeniu. Podrapała mi twarz, ale w końcu ogłuszyłem ją narzędziem Skorpiona i zawlokłem do cichego, piwnicznego pomieszczenia przy kotłowni.

Obecność prawdziwej Ewy pod ziemią dodała smaku moim poczynaniom. Miałem tym razem wszystko – najpierw uległość i bezradność zwiotczącego omdleniem ciała, potem przerażenie w oczach i tłumione przez knebel piski. Skalpelem operowałem

delikatnie, by na stałe nie uszkodzić cennego mięsa, tylko troszeczkę, do pierwszych, drobniutkich kropelek krwi na cudownym śniadym brzuszku. Wyglądało jak zadrapanie kolcem jakiejś rośliny, nic wielkiego, ale za to jaki popłoch na widok błyszczącej stali! Zabawialiśmy się tak do rana, a mój angielski był coraz lepszy. Pokazałem jej, co najbardziej chciałbym z nią robić. Niestety, królik nie przeżył. Opowiedziałem o pomysłach pana doktora i o upojnej nocy, którą dzięki niemu mieliśmy okazję wspólnie spędzić. Chwaliłem przy tym jej silne orgazmy. Była cudowną słuchaczką, nie odezwała się ani słowem – nie, to żart oczywiście, zakneblowałem ją dobrze, ręce i nogi rozkrzyżowałem, tak jak to urządził doktor tamtej pamiętnej nocy. Nie miała szans się uwolnić. Pierwszy raz w życiu byłem niemal usatysfakcjonowany. Przez moment zawahałem się – przecież gdybym ją zabił, to nic by się nie stało, uciekła i tyle, mnie tu nie było. Dałem sobie jednak czas. Nie można zużywać tak szybko drogocennego materiału ludzkiego.

No właśnie, czynnik zużycia, bardzo indywidualna sprawa – poszedłem pod okna doktora, by sprawić mu niespodziankę tuż po przebudzeniu. Posłusznie zszedł do piwnicy, jeszcze w piżamie. Staliśmy nad rozkosznie rozkrzyżowaną i zakneblowaną Ewą-Dymitrą, a ja się zastanawiałem, co doktor z tym fantem zrobi. Zaskoczył mnie – krzyczał na dziewczynę jak na niewdzięczną, niewierną żonę, mi zaś podziękował za pomoc w odkryciu niecznych zamiarów połowicy. Nie widział więzów, knebla, zaschniętej krwi na podbrzuszu. Mam wrażenie, że wtedy właśnie oszalał, by widzieć tylko to, co chciał zobaczyć, to, co mógł znieść.

Została już w tej piwnicy, mniej tam było szans ucieczki – grube drewniane drzwi, zamykane z zewnątrz na zasuwę i kłódkę, brak okien. Jakaś prymitywna wentylacja w postaci dziur w ścianach jednak była, więc się nie udusi. Na drodze ewentualnej ucieczki byłem jeszcze ja.

Mniej więcej w tym okresie zauważyłem kolejną ciekawską babinę – szwędającą się po naszej posesji. Szła śmiało, uważnie oglądając okna od pokoju Ewy, potem przypatrując się piwnicznemu świetlikom. Coś mi się w niej nie spodobało, zbyt sprężyste ruchy jak na wiek wypisany na twarzy, zbyt duży spokój i systematyczność w oglądaniu budynku.

Postanowiłem ją przepłoszyć i pokazałem się jej w całej krasie. Nic z tych rzeczy, żadnych strachów, pisków i odwrotu. Oczy miała zimne, zrugła mnie tak wulgarnie, że nawet Stefa by jej pozazdrościła, i zmusiła do kapitulacji groźbą telefonu na policję. Dziwna istota – jak do tej pory wszystkie ciekawskie staruchy wiały przede mną, aż się kurzyło.

Było też trochę zamieszania, bo przyjechali sąsiedzi z pierwszego piętra, przewietrzyć mieszkanie na wiosnę. Małżeństwo prawników z Warszawy. Kiedyś tam zdążyli się zaprzyjaźnić z doktorem i jego mamusią, więc od razu wprosilili się na kawę. Pani Dorota skłamała, że Ewa śpi, ale koniecznie chcieli ją zobaczyć, jakoś udało się przełożyć wizytę na następny dzień i pod osłoną nocy wtaszczyć na górę umytą, ubraną i kompletnie zamuloną prochami Ewę-Dymitrę. Wtedy mogliśmy już zaprosić gości. Przyszli, wypili kawę, zjedli ciastka, poszli do pokoju Ewy, powzdychali nad jej stanem, pani mecenas podarowała jej jakieś drogie perfumy. Na mnie patrzyli, jak na jakieś dziwaczne zwierzę, bo akurat grabiłem trawnik przy podjeździe. Edward wyjaśnił, że jestem upośledzony, a on mi daje zajęcie. Potem poszli. Rzeczywiście chyba tylko wywietrzyli mieszkanie, gdyż tego samego dnia pojechali.

Przez cały czas pilnie analizowałem ewolucję stosunku mieszkańców domu do mnie. Ewa-Dymitra bała się mnie straszliwie, z randki na randkę coraz bardziej. Byłem ciekaw, czy człowiek może umrzeć ze strachu, ale w tym przypadku nie mogłem się rozwinąć. Była, niestety, potrzebna do jeszcze innych, poza moimi eksperymentami, celów. W końcu przestałem jej nawet dotykać, mówiłem tylko, o czym marzę, i spuszczałem się na jej bezradne, spięte pasami ciało.

Pani Dorota dalej traktowała mnie jak przygłupa, a całą sytuację jako coś zupełnie naturalnego, bez czego obejść się nie można, chociaż trochę zawracania głowy z tym jest. To ona była najbardziej zbliżona do ideału potwora – kompletnie bezrefleksyjna, ustawiająca się w centrum znanego jej wszechświata, nieomylna. Jeśli to, co służy jej dobru jest niezgodne z prawem ludzkim czy boskim, tym gorzej dla prawa. Istoty ludzkie stworzone są po to, by jej służyły. Dymitra gnijąca w piwnicy oddaje dług, jaki zaciągnęła, sprzątając salon pani Doroty, konsumując przyrządzone przez nią obiady, oddychając tym samym powietrzem,

dotykając jej syna. Pani Dorota musi mieć pieniądze, to chyba jasne. Ja jestem obowiązany (z tych samych powodów, co Dymitra, tylko ja miałem zaszczyt zamiatać podjazd i kosić trawnik) do przenoszenia bezwładnej kukły z piwniczki na parter i z powrotem, obojętnie, co o tym myślę.

Stefa była również niezłym potworem. Póki dostawała pieniądze, było jej wszystko jedno. „Osrana dupa jest osrana dupa – mawiała. – Jedna od drugiej się nie różni, każde gówno śmierdzi”. Całe życie się zajmowała obsranymi dupami, nie miała poczucia, że coś jest nie tak. Pomagała mi nosić Dymitrę, myła ją, obrządzała piwniczkę, przynosiła jedzenie, wszystko ze sprawnością i tępotą automatu, zawsze uśmiechnięta, głośna, rubaszna.

Najgorzej znosił całą sytuację doktor. Chodził jak zombie, wykonywał machinalnie swoją pracę, aż dziw, że nie popełnił dotąd żadnego błędu w sztuce. Ignorował niewygodne dla siebie fragmenty rzeczywistości, pewnie nawet podłączony do wykrywacza kłamstw nie wykazałby żadnej reakcji na pytanie: „Czy w twojej piwnicy więzisz kobietę?”. Dymitra dla niego nie istniała. Czasami, raz w miesiącu, przy okazji odwiedzin kuratora czy jakiejś wizyty dawnego znajomego konstatawał z zaskoczeniem, że ciągle ma żonę. Współczuł jej, gładził po matowych, suchych włosach, czule przemawiał do bezwładnego, zatrutego farmakologią ciała. Z drugiej strony, wypisywał na te leki recepty – jak automat, z wzrokiem zamglonym, nieobecny. Jestem przekonany, że nie pamiętał potem, co wypisał.

Tak wyglądały nasze układy, gdy pojawiła się policja. Na szczęście otworzyła im pani Dorota i odpowiednio potraktowała. Przynieśli wezwania na przesłuchanie, cwaniaczki, myśleli, że ktoś ich wpuści do środka i będą mogli troszkę powęszyć. Niedoczekanie, nie wiedzą, na kogo trafili. Potem doktor pojechał któregoś dnia na komendę, pani Dorotka i Stefa również. Z tego, co udało mi się z nich wyciągnąć, zeznania były spójne – Greczynka wyjechała, ostatnio widziano ją na lotnisku Rębiechowo, potem się nie odzywała. Nic nas to nie obchodzi. Doktor przedłożył wszystkie dokumenty, żeby im się odechciało przesłuchiwać Ewę, a choćby nawet, to co? I tak by spała, biedulka. Mnie też jakoś nikt nie chciał słuchać. Kto by tam słuchał

głupka ze znacznym stopniem niepełnosprawności, prawda? Było, minęło. Jednak pojawienie się policji i fakt, że ktoś szuka Dymitry, wprowadził do naszej małej rodziny potworów pewien niepokój. Oczywiście nie rozmawialiśmy na ten temat, wszystko szło ustalonym trybem, ale coś się zmieniło. Teraz do piwnicy schodziła głównie Stefa, zanosząc posiłki i wynosząc wiadro z nieczystościami. Nikt jej nie musiał wydawać poleceń, sama przygotowywała jakieś zupy mleczne i kanapki. Dopominała się tylko czasem o recepty albo wołała mnie do pomocy w przenoszeniu Ewy-Dymitry do jej pokoju, gdy szykowały się jakieś odwiedziny.

Doktor coraz bardziej zamykał się w sobie, siedział godzinami w swoim pokoju bibliotecznym, patrzył szklanym wzrokiem przed siebie. Trzeba mu było przypominać, by coś zjadł czy też położył się spać. Popęd seksualny zanikł u niego całkowicie. Od śmierci Ewy nie byliśmy ani razu w burdelu, nie jeździliśmy szukać po zaułkach chętnych do igraszek meneli, nawet filmy i gazetki w sypialni pokrył kurz. Edward przypominał mechaniczną zabawkę, której rozkręciła się sprężyna albo wyczerpała bateryjka. Poszarzał i schudł. Pani Dorota za to kwitła, chodziła na spacerki z kijkami, zawierała nowe znajomości, udzielała się towarzysko, wiecznie jakieś kawki, spotkania, wyjścia do kawiarni, na gimnastykę. Absolutnie nie przeszkadzał jej trup synowej w piwnicy i dogorywająca zastępczyni. Wydawało się też, że nie dostrzega, jak męczy się jej syn.

Ja zaś zaczynałem się tym wszystkim nudzić. Coraz rzadziej przyjeżdżałem do nawiedzonego pałacu, nie przesiadywałem w swojej suterenie, nie odwiedzałem Dymitry. Jej przerażenie przerodziło się w obojętność. Nawet wyzwolona z pasów leżała na swoim materacu. Często, ku rozpacz i wściekłości Stefy, załatwiała się pod siebie. Poza tym strasznie wychudła i śmierdziała. Zastanawiałem się, czy jej trochę nie pobudzić do życia jakimś skalpelem, ale właściwie po co? Moja chwilowa rodzina zużyła się. Może poszukam sobie nowej? Powiedziałem dyrektorowi domu pomocy, że nie będę już jeździł do doktora, bo czuję się zmęczony i dla mnie to za daleko, nie ma dojazdu, dwa kilometry muszę iść, stopy mnie potem strasznie bołą. Czy mogę zająć się trawnikami wokół naszego domu? Od tego czasu nie widziałem

doktora Edwarda ani żadnego innego mieszkańca pałacu w dolinie.

W tym miejscu, drodzy czytelnicy mojego zeszytka, rozstaniemy się. Być może jeszcze coś dla was napiszę – o tym, czy znalazłem nową rodzinę, jak wyglądają moje igraszki, czy spełniłem marzenie o żywym, bezradnym kadłubie i amputacjach...

Do zobaczenia.

Jeśli chcecie zrobić mi przyjemność, bądźcie naiwni, nieostrożni, litościwi. Pochylcie się nad nieszczęściem kaleki. Zaproście mnie do domu, zapoznajcie z waszymi dziećmi, posadźcie przy swoim stole, podzielcie się opłatkiem.

A potem bójcie się, proszę was, niech wasze oczy rozszerzy przerażenie, jakiego jeszcze nigdy nie czuliście. Tylko nie walczycie za mocno, jestem przecież słaby. Nie zużywajcie się też za szybko, waszego strachu i krwi musi mi starczyć na długo.

Dziękuję.

Wasz Krzysztof.

### **Część III. KOCIARA**



**Zimowy dzień Kociary**    Kiedy budzi się, przez moment nie wie, gdzie jest, bo sny prowadzą ją zbyt głęboko w przeszłość. Dziś

zaskoczył ją biały sufit w sypialni i srebrne światło księżyca za oknem. Spodziewała się półmroku baraku, duchoty i upału, a obudziła się w zimie. To nie był miły sen. Krzyczała w nim na kogoś, ale on i tak znalazł się tam, gdzie absolutnie nie powinien być. Na jej oczach kula trafiła go precyzyjnie ponad kamizelką i wyleciała plecami wraz z fontanną krwi. Ciepłe krople spadły jej na twarz i dłonie. Potem (nadal we śnie) leżała na swojej pryczy i płacząc, powtarzała: „Po cholere wyglądał, po cholere wyglądał”, a później znów krzyczała i znowu ciepłe krople krwi... Budzi się, twarz ma mokrą, przeciera oczy ręką, patrzy – to nie krew, to tylko łzy i pot, a biały sufit to jej sypialnia. Upomina się surowo, bo w rzeczywistości nigdy nie widziała takiego postrzału, a krew miała na rękach tylko podczas opatrywania ran i przenoszenia zwłok. Płakała, owszem, ale nigdy nie oskarżała siebie. Stało się „śpij kolego w ciemnym grobie, niech się Polska przyśni tobie...”. To wojna, a oni są żołnierzami. Bywa. Jeszcze leżąc, robi kilka ćwiczeń, ostrożnie, by nie obudzić kotów. I tak się budzą, chociaż tylko po to, by przewrócić się na drugi bok, ziewnąć, przeciągnąć się.

Podczas ćwiczeń próbuje sprowadzić się na ziemię, wypełznąć z męczącego snu, który, chociaż przestała go śnić, nadal w niej jest. Więc powtarza sobie, że to zespół stresu pourazowego, że „uporczywe, przykre wspomnienia i koszmarne sny związane z urazem, zubożenie, apatia, drażliwość, wybuchy gniewu, nadmierna czujność i podejrzliwość” to teraz jej nieodłączni towarzysze, dokładnie tak, jak było napisane w książkach, jak mówili na wykładach, jak tłumaczyli w klinice. Ponadto są z nią jeszcze lęk i depresja, tak to jest i tak ma być, można o nich mówić jak o przyjaciółach z dużej litery. „Przyszli do mnie wczoraj Lęk z Depresją, zasiedzieli się trochę, właściwie to chciałam, żeby sobie już poszli, ale nie wiedziałam, jak im to powiedzieć... Dlatego, panie doktorze, znów śniła mi się krew i strzały, pomimo że żyję higienicznie i biorę leki”. „To tylko zapętlone ślady pamięciowe, pomyśl mocno o czym innym, zsiadaj z karuzeli, zanim się dobrze rozkręci”. „Tak jest, panie doktorze, zaraz to zrobię, pomyślę o czymś normalnym, co pierwsze przyjdzie mi na myśl”. O, choćby o ślubie w katedrze, który odbył się dawno, nie pamięta dokładnie kiedy, ale była wtedy zupełnie kimś innym niż w tej chwili. Wspomnienie ma



barwy kolorowej fotografii ORWO, wpadające w żółć. Nie pamięta sukni panny młodej (nie pamięta żadnej z widzianych kiedykolwiek sukni), ale dziewczyna była w dość zaawansowanej ciąży. Pan młody był wysoki i strasznie dzieciakowaty. Pomyślała wtedy, że długo zachowa chłopięcy wygląd. Więcej się nad nimi nie zastanawiała, chociaż wspomnienie wracało od czasu do czasu, nie wiadomo z jakich przyczyn zapisane w jej pamięci na zawsze.

Ma kilkadziesiąt takich pozbawionych przyczyny wspomnień, wypływających z głębin dzieciństwa i czasu przed wojnami. Gdy powracają, ma wrażenie, że pojawia się w jej głowie obca osoba, ale rozum mówi, że to przecież ona – dziecko, ona – młoda dziewczyna, kobieta, której kontynuacją jest ona – tu i teraz. Rozum tłumaczy, ale uczucia nie wierzą, podejrzliwe i ostrożne jak półdzikie koty.

W czasie wojen narodziła się na nowo, a może przeciwnie, zginęła, tylko nie wie o tym, ucepiona jako elementał do żywej rzeczywistości jednego miejsca. Nie, elementalem bywa w realistycznych snach, nie do odróżnienia od jawy, dopóki nie pojawi się diabeł i okaże się, że nie można nawet drgnąć czy jęknąć, trzeba znieść to, co diabeł ma do powiedzenia czy do zrobienia. Tak naprawdę, to żyje. Wie, że ma PTSD, depresję i wygląda jak stara kobieta. Przetrawiły stres bojowy „to uporczywie powracające obrazy i dźwięki, wybudzenia w nocy, rozdrażnienie, poczucie winy”. A potem to wszystko może przejść w „trwale zmiany osobowości, oschłość, chłód emocjonalny, rozchwianie, labilność”. Znow cytata z podręcznika psychiatrii wojskowej. Prawda. Gdy otwiera usta, by coś powiedzieć, zawsze zastanawia się, co usłyszy. Chciałaby mówić miękko, ciepło, wyrozumiale, żeby sam głos dodawał otuchy, otulał jak puchowa kołderka. Kiedyś (chyba) tak mówiła. Teraz ze zdziwieniem przysłuchuje się zimnym, niskim dźwiękom, słowom ostrym jak noże, rozrywającym psychę jak pociski ciało, niszczącym stalową prawdą. Przecież w środku jest inna. Do kotów przecież potrafi szeptać pieśzcotliwe słowa, takie jakimi matki obdarzają dzieci, a kochankowie siebie nawzajem: moja śliczna puszunia-milunia, moja cudna biała łapeczka, kosmate uszczko, brzuszio-tłustusio, potrafi pielęgnować, kochać, głaskać, oswajać... Gdy mówi głośno do ludzi, potrafi tylko

ranić. Czasem rozumieją coś poprzez ból. Nie obchodzą jej. Mogliby wszyscy zginąć w wybuchu jakiegoś tajemniczego, kosmicznego promieniowania. Na całym świecie zostałyby tylko ona i zwierzęta. Niczego by jej wtedy nie brakowało do szczęścia, nic by nie przeszkadzało.

Na razie jednak, zanim przyjdzie długo wyczekiwana kosmiczna katastrofa, musi istnieć. Musi żyć, wbrew temu, czego czasami pragnie. Stara się nie myśleć, nie wspominać, trwać tylko, odbierać wrażenia zmysłowe, spotykać ludzi, którzy rozumieją czas wojen. Słuchać lekarzy, zażywać leki. Zrobić czasem coś dobrego. Ćwiczyć umysł i ciało. Dbać o siebie. Jeść, spać, sprzątać. Nie tęsknić za wojną.

Dziś wypłynęło wspomnienie tamtego ślubu w tonacji ochry. Pozwala mu wirować swobodnie, wywoływać ciągi skojarzeń. Ona sama nigdy nie była panną młodą. Widzi siebie w białej, koronkowej sukni. Przestań, kobieto, przestań, odetchnij głęboko, żadnej białej sukni, jesteś poganką, nie chodzisz do kościoła, obok ciebie nie stoi żaden mężczyzna, masz pięćdziesiąt cztery lata, wyglądasz na siedemdziesiąt, jesteś chora psychicznie, obcujesz tylko z kotami i facetami, którym wojna wyrwała serce, tak jak tobie. Nie ma żadnych wirujących wspomnień, jest tu i teraz, śnieg za szybą, za śniegiem bezlistny las, nad lasem szare niebo. Marznące stopy. W nogach łóżka śpi rudy kot, do twoich pleców przytulają się dwa inne, ciepłutkie, szare futerka. Okrągłutkie boczki unoszą się i opadają w spokojnym oddechu. Po południu masz rozmowę na Skypie z Olkiem, bo odeszła od niego żona, zabierając córeczkę. Został z rodzicami, uwięziony na czwartym piętrze w bloku bez windy. Jak się stamtąd wydostanie bez nóg? Nogi zostały na skalistej drodze, rozniesione na strzępy przez wybuch miny, a Olek nie chce już żyć.

A jej wojna zabrała w sumie niewiele, zostawiła nienaruszone ciało, wszystkie zmysły i intelekt. I myślenie ostre, szybkie i wielowątkowe. Podniesiesz więc to darowane ciało z łóżka, by, wbrew sobie, zadbać o nie.

Ślub powraca natrętnie, gdy myje twarz. To wbrew jakiegokolwiek logice, wciąż wracać myślą do jednego momentu, tak mało znaczącego i obojętnego. Co się dzieje w neuronach, że powstaje jakaś idiotyczna

pętla? Intuicja. Tak, to intuicja chce coś powiedzieć, wyraża się w sposób symboliczny i niejawny. Jeśli nie powie jaśniej, to trudno. Bez sensu, bez sensu, tak sobie powtarza, smarując się pod pachami kulkowym dezodorantem. Potem próbuje medytacji uważności: „Myję zęby, wychodzę z łazienki, biorę puszkę, otwieram ją, wsypuję żarcie do miseczek, najpierw do różowej, potem do niebieskiej...”. Koty zakłębiły się pod jej nogami, wpychając łebki pod sypane prosto z puszeki granulki karmy, mokry buras z białym krawatem śmignął przez otwarte okno. Ślub poszedł w niepamięć, bo nie ma Mratawoja. Znów się włóczy, wczoraj wrócił po pięciu godzinach. To już kolejny raz, kiedy przepada na tak długo. Jak na włóczkę jest wyjątkowo tłusty, wręcz zapasiony. Nie można tego tłumaczyć zimową szatą. Nie biegnie do misek od razu po wejściu do domu. Zakreśli się, zwiedzi kąty i po chwili znów chce wyjść, ale siedzi już w pobliżu, przybiega na wołanie po niespełna minucie. Wędrówki są bardzo regularne – wychodzi zaraz po szóstej, wraca około południa. Jakby do pracy szedł czy co?

Ciężkie chmury zwiastują śnieg, który za chwilę może zasypać ślady. Wkłada więc buty, narzuca goretexową czerwoną kurtkę i idzie tropić ryżego włóczykija. Początkowo jest nawet łatwo – jedne ślady odrywają się od bezładnej płataniny udeptanego przez koty śniegu i biegną do furtki, potem ścieżką. Nagle zbaczają pod jakimś płotem, na szczęście bez drutu kolczastego. Rozgląda się i wchodzi na cudzą działkę, po kolana w śniegu, a ślady skubańca idą w krzaki malin, które trzeba, z szacunku dla cudzej pracy, okrążyć, potem przeleźć przez następne ogrodzenie, tym razem z drutem kolczastym, ale co jej tam, takie byle jakie zasieki, potem skurczybyk wchodzi do szklarni, by walnąć tam kupe, no jasne, w śniegu srał nie będzie, zagrzebać przecież trzeba. Kolejny płot, spod śniegu sterczą zeschnięte badyle nawłoci, bardzo zaniedbana działka, można na przelaj, z szarobrunatnych, zeschniętych kwiatostanów sypie się biały puch. Kot okrążył rozpadającą się drewnianą altanę, skoczył za czymś w bok i wrócił na szlak. Przelazł pod furtką, szorując brzuchem po śniegu, z powrotem na główną aleję Rodzinnego Ogrodu Działkowego „Stoczniowiec”. Po czym udał się główną bramą na parking i zniknął. Ślady urwały się na środku pustego placu, pokrytego nieskalaną warstwą bieli. „Porwali go kosmici” –

pomyślała. Teraz jej kochany Mratawojczyk leci, zahibernowany we wnętrzu bezzałogowej sondy, w kierunku Aldebarana, gdzie za kilka lat świetlnych złowrodzy Obcy będą robić mu wiwisekcję. No nie, bez przesady. Po prostu rozmyślił się i zawrócił po własnych śladach, żeby, Boże broń, nie pomoczyć sobie łapek ponad konieczną miarę. Złośliwie to uczynił, po to tylko, by swoją ludzką matkę z rańca przegonić przez płoty i chaszczę. A teraz nadal nie wiadomo, dokąd polazł, bo śnieg zaczyna padać i za chwilę zasypie wszystko, jakby przewracał kartkę w bloku pod nowe rysunki łap, kopyt i pazurków.

Klnie półgłosem i wraca alejką do swojego ceglanego domku, odgradzonego od reszty świata wysokim, nieregulaminowym murem. Ciągłe kłamanie, nawet sama przed sobą, zwała na czas wojny wszystkie swoje świry – przecież tak prawdę mówiąc, depresję miała od urodzenia. Zawsze kłuło ją jakieś wspomnienie bez znaczenia, rozczulała wyimaginowana historia, przerażało każde zagrożenie jej delikatnego „ja”. Powinna być artystką albo poetką, a nie włączyć się po nowoczesnych polach walki. To opowiedz teraz, jak tam przeżyłaś, z tym swoim ego, wybijałym jak blada, piwniczna roślina? Och, przeżyłam doskonale, bo groziła mi tylko śmierć fizyczna, a nie krzywe spojrzenia i nieuprzejmość baby w urzędzie. Jesteś starą wariatką, wiesz o tym? Wiem, na to mam rentę. Dopiero jak wróciłam z mojego krwawego raję, to zobaczyłam, że codzienność jest nie do zniesienia, trzeba być ustepliwym, łagodnym, dostosowywać się do setek konwenansów, umów społecznych, być empatycznym, działać zgodnie ze stereotypem...

Koniec widzenia i miłej pogawędki z samą sobą. Z okna sypialni widzi zwieńczenie muru, szkło i drut kolczasty, zamaskowany pomiędzy stylizowanymi na dziewiętnasty wiek spadami, pokrytymi dachówką. Taka mała, militarystyczno-paranoidalna inwencja budowlana Iwanka.

Z Iwankiem to było tak: jeśli punkt oporu ostrzeliwał się zbyt energicznie, to pierwsze okrążenie nie przystępowało do ataku, a drugie w ogóle się nie ruszało, bo po co, skoro były śmigłowce i ostrzał z powietrza. Potem tylko wpaść, zabrać rannych, broń i amunicję, trupy zostawić. Śmigłowcem latał zazwyczaj Iwanko, dziki ukraiński lotczyk, wiozący swoją załogę prosto nad cel, traktujący ich życie i zdrowie,

jakby byli worami z piachem. Liczył się lot i atak. Śpiewał sobie wtedy pod nosem wojenne pieśni. Po rosyjsku, bo czy to jego wina, że Donbas to teraz Ukraina, a nie Matuszka Rossija? Na ziemi śpiewała czasami razem z Iwankiem, bo to przecież nie jej wina, że komuniści mieli najpiękniejsze piosenki. Ale wtedy, siedząc w drugim okrążeniu i widząc, jak maszyna zapala się, trafiona z jakiejś cholernej ręcznej wyrzutni, którą szmaciany łeb nie wiadomo skąd wytrzasnął, której w ogóle nie miał prawa mieć, nie wiedziała, że to właśnie on stara się podprowadzić płonąca ważkę jak najbliżej ich pozycji, nie myślała, że jego załoga jest już martwa. Pałac się żywcem, włókł skorupę helikoptera, byle dalej od źródła ostrzału. Nie myślała o Iwanku, kiedy biegła w stronę palącej się na piasku, przechylonej na jedną stronę maszyny, nie myślała, wyszarpując zza sterów bezwładną kukłę z pełgającymi po mundurze językami ognia i posypując ją pustynnym piachem: kombinezon, twarz i strzępy tego, co wisiało u lewego barku, podczas gdy ktoś ciągle wzywał MEDEVAC, mimo że właśnie lądowali obok. Dopiero wracając na pozycje, wrzeszcząc na spanikowanego szeregowca, który nie mógł się odessać od walkie-talkie i ciągle wołał pomocy, aż w końcu wykurwiła mu w pysk, dopiero wtedy pamięć podsunęła jej widok naszywki z ukraińską flagą na rękawie zmasakrowanego pilota.

Odwiedziła go w szpitalu. Ból oparzelin przytłumił świadomość kalectwa. Pilot miał pół twarzy przysłonięte opatrunkiem żelowym i amputowaną lewą rękę. Ledwo ją poznał. Potem wysłali go na rehabilitację, a ona odprowadzała go do samolotu. Popychała wózek, na którym siedział. Nie oglądał się – może nie mógł, a może i nie chciał.

– Iwanko, żinka u тебя jest?

– Niet.

– A rebionak?

– Nie znaju.

– Dom ty uże postroił?

– Niet.

– To teraz będziesz miał na to czas.

– Wot, durna, katora mnie zachoczet, takowo uroda?

– Zachoczet, zachoczet, u тебя tiepier wojennyje dieńgi...

Zachciała. Na imię miała Wasylena. Jej poprzedni mąż zapił się na śmierć, a na wsi nawet jednoręki chłop się przyda. Urodziła mu syna, zaś Iwanko jeździł traktorem jak szaleniec, orząc pola swoje i sąsiadów. Pił nawet nieco mniej, niż standardy ukraińskiej wsi przewidywały, żony nie tłukł. Przestał nucić bojowe pieśni. Budził się w środku nocy z krzykiem, kiedy po raz kolejny jego śmigłowiec zaczynał płonąć. I czasem uciekał z domu. Do kumpli z wojny. Wasylena czekała cierpliwie, bo w gruncie rzeczy dobry człowiek był z tego Iwanka.

Do Gdańska przyjechał przez Lwów i Przemyśl, bo powiedział, że wszystko już ma, tylko domu nie postawił, a właśnie dom stawiać było trzeba. Właściwie nie dom – tylko mur, koło jej działek hotel zaczęli budować i przestraszyła się ewentualnych spojrzeń, komentarzy, czegokolwiek, co naruszałoby jej samotność. Postawili więc mur trojgiem rąk, na dwa metry wysoki, kamiennie-ceglany, z gustownymi niby-wieżyczkami po rogach i spadzistym szczytem, pokrytym dachówką. Wieczorami pili wódkę i śpiewali, nie rozmawiając wiele. Iwanko uważał za niezbędne zaopatrzyć mur w zasieki, o mało co, a przybrałby całą górę koncentriną. Tłumaczyła mu, że koty mogą się pokaleczyć, to wykuł dla nich bramki. Obok, w zaroślach jacyś dwaj rastamani rozbili namiot, jarali trawę i rzucali kamieniami w koty, więc razem z Iwankiem zrobili z nimi porządek. Trzymając ich pod bronią, polewali wodą ze szlauchu, a na koniec obcięli im dredy do samej skóry, dali kopa w dupę i wysłali do domu. To była bardzo wesoła impreza – do tej pory uśmiecha się na jej wspomnienie. Potem Iwanko pojechał. Żyje. Syn mu rośnie. Nie jest źle, żeby to każdemu tak się wiodło.

Wzdycha, myśląc o innych, ale zaraz przestaje. Nie wolno mieć takich myśli. Lepiej zrobić kilka ćwiczeń, odgarnąć śnieg z samochodu, spakować torbę na basen. Właściwie hotel zbudowany po drugiej stronie drogi miał kilka zalet. Po pierwsze zniknęło stado śmierdzących kóz, które poprzedni lokatorzy budynku hodowali na parterze. Następnie usunięto wraki terenówek, a w zamian pojawił się basen. Centrum SPA, tak to się nazywało, miało pięć gwiazdek i było potwornie drogie, ale co tam, też ma „wojennyje dieńgi”. Chodziła sobie popływać i na saunę. Mało ludzi tam bywało, leciała przyjemna, relaksacyjna muzyczka i był zarabisty fresk, z taką masą szczegółów, że mogła patrzeć na niego

godzinami. Trochę ją wkurzało, że byli na nim ludzie, ale zwierząt było więcej, na szczęście.

Goście, bardzo nieliczni, przepadali gdzieś w zakamarkach saun i solariów, rzadko dzielili z kimś basen. Większość przychodziła popołudniami. Witali się uprzejmie, a potem ignorowali. Prywatność była bardzo szanowana, nikt nie nagabywał europościa w jacuzzi ani serialowej aktorki wyciągniętej w słońcu sztucznej plaży. Jedynymi osobami, jakie tu zapoznała, były pięcioletnia Aurelia oraz jej matka. I ojciec, ale o niego mniejsza.

No tak, dzieci. Mratawoj wrócił, wskoczył na fotel, od niechcienia nasyczał na Młodego, który nawinał mu się pod oko, i zabierał się właśnie do drzemki. Nie popuści mu, muszą poważnie pogadać. Wzięła w obydwie dłonie rudy pyszczek i spojrzała kotu głęboko w żółte ślepia:

– Gdzie ty się szwendasz, łajzo jedna?

– Nie powiem.

– Żreć ci tam dają przynajmniej?

– Dobrze. Brzuch pełny, miska pusta.

– Co tam masz takiego ciekawego, czego ci tu brakuje?

– Ciemność. Zapach zaznaczenia. Nieszczęście.

– Jakie nieszczęście?

– Nie powiem – ziewnął Mratawoj rozziewając i odmówił dalszej współpracy.

Gdzieś czytała, w jakimś opowiadaniu fantastycznym, że w niebie nawet zwierzęta będą umiały mówić, co niekoniecznie okaże się interesujące. Święta racja. Takie koty na przykład mówiły nie dość, że bez sensu, to jeszcze tylko tyle, ile uważały za stosowne, żadna siła nie mogła z nich wyciągnąć większej liczby informacji. Poza tym zwracały uwagę na żarcie, zapachy, odgłosy i ruch, absolutnie nie na słowa.

Czasem wyłapały jakąś emocję. Skarżyć za to potrafiły świetnie – niech no kotu jakaś przykrość się przytrafiła, leciał do niej i rozpaczał, nastawiał łepkę do głaskania, ugniatał łapkami kolana, sama słodycz.

Psy były bardziej komunikatywne, ale rozmów z nimi nie mogła znieść – zbyt zależne od człowieka, wpatrzone w niego z miłością i oddaniem, skłonne do poświęceń, ślepo wykonujące rozkazy, cierpiące, gdy pana nie ma w pobliżu. Dlatego wybrała koty, tych małych, eleganckich

egoistów. Choć to dzięki psom pojęła mowę zwierząt, jakkolwiek szalenie by to nie zabrzmiało, ale przecież, ostatecznie, jest chora psychicznie.

Z psami to było tak: cztery owczarki belgijskie w oddziale saperów, zmyślne, karne stworzenia, wykrywające ładunki wybuchowe. Najczęściej stały na wartowniach przy bramach baz. Miały kamizelki przeciwołamkowe, każdy swoją, z własnym imieniem i nazwą bazy, i czerwono-czarne buciki na rzepy, żeby nie pokaleczyły sobie łap o skały, żwir i kamienie. Ich związek z żołnierzami-przewodnikami był wręcz magiczny, nadnaturalny. Pies i jego pan rozumieli się niemal bez słów, spędzali ze sobą większość doby, przedkładali swoje wzajemne towarzystwo nad obcowanie z własnymi gatunkami. Och, oczywiście, były boksy dla psów i łóżka dla ludzi, była siłownia, gdzie przewodnicy mogli poćwiczyć albo pograć w ping-ponga, mieli oni też inne, poza wyszukiwaniem z psem, zadania. Jednak zawsze ciągnęło ich do swoich zwierząt – zajrzeć do klatki, pobawić się piłeczką albo aporcikiem, pójść na spacer, wyszczotkować. Nic ich nie obchodziły przezwiska, jakie padały pod ich adresem – „psie wojsko”, „szariki”, jakieś sugestie zoofilii, kawały o kozojebcach. Relacja ze zwierzęciem rekompensowała wszystko. Przyglądając się przewodnikom, młodym łepkom, zazdrościła im tej mistycznej, jak się wydawało, relacji. Potem żarty ucichły, wszyscy się przyzwyczaili, poza tym owczarki były przesympatyczne i bardzo proludzkie, pomagały przetrwać chwile nudy i monotonię życia w bazie, chętnie pokazywały różne sztuczki, wykonywały komendy, bawiły się.

Więc nie zdziwiła się wcale, gdy po przybyciu do bazy na wezwanie „zginął żołnierz” ujrzała przewodnika tulącego poszarpane zwłoki swojego psa i zalewającego się łzami. Pies saper też myli się tylko raz. Dostał odłamkiem w gardło i nie wiadomo, gdzie jeszcze, został z niego krwawy strzęp, z pozlepianą sierścią, resztkami kamizelki i jednym brązowym okiem, które nie widziało już nic, strzęp, pokryty wszechobecnym, szarym pyłem. Ukłękła obok, objęła chłopaka, razem z nim głaskała przyjaciela, zamknęła delikatnie wciąż otwarte oko. Płakała nad psią miłością i ufnością, bo przecież pies nie wiedział, że integralną częścią jego pracy jest możliwość śmierci. On się po prostu



bawił ze swoim panem. Oto prawdziwa ofiara tej wojny, bardziej niewinna od każdego człowieka, obojętnie, wojskowego czy cywila. Owinęli ciało w plandekę, usiedli obok, powoli schodzili się inni. Ze strzepów rozmów wywnioskowała, że Brawo nie zginął na służbie, tylko zbyt daleko pobiegł za piłką, którą w niesprawdzony teren rzucił mu przewodnik. Na chwilę obydwaj utracili saperską czujność. Teraz Brawo nie żyje, a jego pan ma takie poczucie winy, że za chwilę sam poleci w pole i wywali się na kolejnym „ajdku”<sup>11</sup>, by towarzyszyć swemu psu na niebiańskim poligonie. Do jej zadań należy przeciwdziałanie takim nierozsądnym zachowaniom cennych zasobów ludzkich, ale, do kurwy nędzy, sama ma ochotę się zabić. Sięga do swego wewnętrznego dziecka, które mówi „zróbmy mu pogrzeb”, i już wie. We czworo niosą ciało Brawa, za nimi tworzy się cichy kondukt. Składają je pod hesko<sup>21</sup>, a każdy kładzie na nim kamień. Ktoś przynosi dwie listwy związane na krzyż, ktoś wstążkę koloru khaki i wiąże ją na poziomej poprzeczce. Tak oto pochowali towarzysza broni, świadomie bluźniąc obydwu religiom – krzyż przystoi człowiekowi ochrzczoneму, zielona wstążka przystoi człowiekowi bohaterskiemu, a pies to tylko nieczyste zwierzę. Do całkowitego bluźnierstwa brakuje jeszcze duchownego.

Staje nad kopcem kamieni i wygłasza pogrzebową mowę. Żołnierze, pozostałe trzy psy i ich przewodnicy stoją na baczność i słuchają.

– Oto słowa anonimowego człowieka, niosące pociechę i nadzieję: „Jedna z części nieba nazywana jest Tęczowym Mostem. Kiedy odchodzi zwierzę, które było szczególnie kochane przez kogoś, kto pozostał na tym świecie, idzie na Tęczowy Most. Są tam łąki i wzgórza, na których wszyscy nasi mali przyjaciele mogą bawić się i biegać razem. Mają tam dużo jedzenia, wody i słońca, jest im ciepło i przytulnie. Wszystkie zwierzęta, które były chore i stare, stają się młode i pełne zdrowia; te które były ranne lub okaleczone, są znów całe i silne, takie, jakimi je pamiętamy, marząc o czasach i dniach, które przeminęły. Zwierzęta są szczęśliwe i zadowolone, z jednym małym wyjątkiem: każde z nich tęskni do tej jedynej, ukochanej osoby, która pozostała po tamtej stronie. Biegają i bawią się razem, lecz przychodzi taki dzień, gdy jedno z nich nagle zatrzymuje się i spogląda w dal. Jego lśniące oczy są

skupione, jego ciało drży. Nagle opuszcza grupę, pędząc ponad zieloną trawą, a jego nogi poruszają się wciąż prędzej i prędzej. To ty zostałeś dostrzeżony, a kiedy ty i twój najlepszy przyjaciel wreszcie się spotykacie, obejmujecie się w radosnym połączeniu, by nigdy już się nie rozłączyć. Deszcz szczęśliwych pocałunków pada na twoją twarz, twoje ręce znów pieszczą ukochany łeb; patrzysz znów w ufne oczy swego przyjaciela, który na tak długo opuścił twe życie, ale nigdy nie opuścił twego serca. A potem przekraczacie Tęczowy Most – już razem”. Nie martwcie się więc, spotkacie Brawa przy Tęczowym Moście, pięknego i wesołego, jak jeszcze przed kilkoma godzinami. Przywita was radośnie, a potem pójdziecie już razem, do swoich bliskich i towarzyszy broni. Brawo będzie waszym przewodnikiem. Zachowajmy go w naszych sercach i w naszej pamięci.

Podchodzi do przewodników i obejmuje ich, najdłużej tego osieroconego. Potem przytula psy i nagle słyszy szept, głos dziecka, rozlegający się w jej umyśle:

– Dziękuję, alfa-matko.

Rozgląda się wokół, zaś Delta, owczarek, przy którym akurat przysiadła, patrzy jej w oczy, wywiesza język i ponownie szepcze w jej myślach:

– To ja, alfa-matko, Delta, dziękuję ci.

Nie dała po sobie poznać, że wariuje od słońca i stresu, nadal dodawała otuchy pozostałym uczestnikom pogrzebu, a potem wracała trzęsącym się po bezdrożach humvee, myśląc o sukcesie, jaki niewątpliwie odniosła, prawidłowo reagując na sytuację kryzysową. Obrzeżem świadomości lustrowała teren przed pojazdem, wypatrując „czegoś nietypowego, czegoś podejrzanego, czegoś świeżego”, podobnie jak reszta załogi. Nie myślała o dzieciennym głosie, wyrzuciła go daleko poza siebie. Aż do momentu, kiedy tubylczy kundel, przygarnięty przez żołnierzy, postanowił zabawić ją rozmową. Nazywał się „Piesek Leszek” i miał nawet swoją budę z tabliczką. Duży, brudnobiały, sympatyczny i jak się zdawało, nieco przygłupi. Lazł za nią i nadawał:

– Rano miska, konserwa, dobre było, potem srałem i szeregowy-człowiek-co-pachnie-wódką kopnął mnie w bok, a ja go

kocham, potem spałem, cień, chłodno, dobrze, potem miska, woda, dobrze...

Wariuje, jak nic wariuje. Trzeba się dostosować, wykorzystać chorobę jako atut, uznać za normę, żyć z tym albo lecieć do domu. Nie ma domu, nie chce odlatywać. Niech będzie jak w bajkach. Odwróciła się do Pieska Leszka i... co teraz, gadać do niego na głos? Wokół pełno ludzi. Przykucnęła przy zwierzaku, potargała go za ucho.

– No, pieseczku, pokaż, który to ci tego kopa sprzedał...

– Już alfa-matko, za moim ogonem idź, pokażę.

Pokazał. Przystanął, jakby nigdy nic, przy niechlujnym szeregowcu (czyżby pies rozpoznawał stopnie wojskowe?), usprawiedliwiającym pewnie swój wygląd brakiem możliwości zakupu artykułów higienicznych typu nożyk do maszynki.

– Szeregowy – spojrzała na naszywkę – Lamparski, chciałabym porozmawiać, póki co poza raportem...

Spojrzał na nią spode łba, szukał szarży, nie znalazł i zaczął już kombinować, jak wywinąć się z rozmowy z cywilem, a jednocześnie nie zrobić nic głupiego. Znała ten wyraz twarzy.

– Szeregowy, frustrację i stres wyładowujemy na siłowni, nie na zwierzęciu...

– A bo srał...

– ...ani też w spożywaniu napojów wysokokowych, nie wiadomo, skąd wziętych, bez specjalnych okazji i przepustki. I albo szeregowy będzie rozmawiał z psychologiem, albo dalej się wygłupiał i stanie się bydlakiem, niezdolnym do normalnego funkcjonowania.

– To nie tak, ja służby nie miałem, a kolega urodziny...

– Zamknąć się, ja nie jestem żandarmeria. Nie chlać. Umyć się i ogarnąć, to na początek. Dziękuję za rozmowę.

Zostawiła żołnierza z obwisłą szczęką. Szczera prawdę Leszek powiedział, niestety. Ryzykowała, była pewna, że to urojenia, że sobie to udowodni i zacznie ignorować dziecięce psie głosy. Czyli co? Piesek Leszek dalej lał za nią.

– Miska, woda, cień, dobrze, teraz szeregowy-człowiek-pachnie-strachem, kocham go, kocham ludzi, dziękuję, alfa-matko, będzie konserwa...

– Wiesz co, Leszek – odwróciła się do psa – przestań męczyć i spierdalaj z mojej głowy...

– Już spierdalam, alfa-matko.

Pies posłusznie powlókł się w przeciwnym kierunku.

Tak to właśnie było, wtedy przyjęła ten dar z niedowierzaniem i lękiem, wręcz panicznym strachem o całość swojej psychiki. Do tej pory nie wierzy, bo przecież nie można gadać ze zwierzętami, ale skoro takiego dostała świra, to sobie gada. Tylko ten cholerny Mratawoj nie chce powiedzieć, na jakie nieszczęście się natknął. Leży centralnie na poduszce, zwinięty w precel, i odsypia. Albo udaje. Młody, ocierając się o jej nogę, mruknął coś przymilnie. Brzmiało jak „jeść”.

– Ty żarłoku jeden – pogłaskała czarno-białego kocurka po grzbiecie, wzięła torbę i wyszła. Uśmiecha się pod nosem i zamyka futra w domku. W myślach robi przegląd torby: „Kostium, kosmetyki, książka, klapki, okulary, portfel, rękawica do masażu, woda”.

Z przyzwyczajenia robi listy rzeczy – kiedyś, przed wojnami, potrafiła zapomnieć wszystkiego, ale na pustyni zapomnieć czegokolwiek to śmierć. Zatrzymała się w połowie drogi. Jeszcze raz: „Kostium, kosmetyki, książka, klapki, okulary, rękawica do masażu, woda”. A jeśli nie wzięła okularów? Trzeba sprawdzić. Grzebie w sportowej torbie, nie może znaleźć pugilaresu, ogarnia ją osłabiający lęk, uderzenie słabości. Rzuca pod nosem przekleństwo, patrzy w białe niebo, głęboko oddycha. „No i chuj – myśli. – Nie ma to nie ma”. Co się z nią porobiło, przeżywać taką duperele! Jakby przyszło co do czego, to chyba by umarła. Kiedyś powiedziała sobie, że nie będzie innym mówić o rzeczach, których nie doznała, ale i tak najpierw robiła wykłady o radzeniu sobie z paniką w sytuacji bojowej, a dopiero potem przeżyła pierwszy ostrzał. Chociaż, usprawiedliwiała się wtedy, narażała swoje zdrowie, przynajmniej zdrowie, w czeluściach bunkrów Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego, łącząc po ciemku z wariatami po zaminowanych korytarzach. Wariaci byli ludźmi wojny, czort wie jakiej. Jeden krzyczał przez sen. Drugi nie rozstawał się z krótką bronią. Trzeci z czwartym wysadzali co się dało, ciągnęli trały przez zalane korytarze, rozbrajali miny. Pili potwornie, a ich przeszłość liczyła zaledwie parę lat. Przedtem była czarna dziura milczenia i tajemnicy. W labiryntach

bunkrów, sześćdziesiąt metrów pod ziemią, w ciszy i ciemności szukali ukojenia. Kiedy wyczerpały się wszystkie baterie, a nafta wylała się i wsiąkała w ciuchy w plecaku, poczuła pierwszy raz w życiu potęgę strachu. W podłodze bunkrów były dziury – zwrotnice, odprowadzenia wody i zwyczajne wyrwy, dzieło czasu albo saperów, zaś pod podłogą była druga część elipsoidalnego betonowego kręgu, wysokości trzech metrów. Wpadasz, łamiesz nogę. Nikt cię nie wyniesie na powierzchnię, nie ma jak. Ich drogę wytyczały symboliczne groby. W gęstej ciemności pojęła, co to znaczy, że dusza komuś ucieka w pięty, bo cała była w swoich stopach. Kończyła się na wysokości kolan, nad nimi nie było nic. Do kolan było osłabiające, mrowiące przerażenie, ale i uważność. Szła, wspinała się po metalowych, pokrytych rdzą drabinkach, potem znowu szła i znowu się wspinała, ku światu na górze i światłu. Potem dowiedziała się, że nieźle działa pod stresem. Kwestia uważności, zdaje się.

A teraz co, brak okularów i płacz na końcu nosa, bliska omdlenia. No, znalazły się jednak. Oddycha głęboko, aż kolczasta kula tłumionego płaczu znika z gardła, i rusza w stronę hotelu. Na drzwiach wieńce bożonarodzeniowe. Na parkingu widzi samochód Iwony z dziecięcym fotelikiem z tyłu. Bagażowy w uniformie koloru czerwonego wina otwiera przed nią drzwi. Bierze klucz do szafki w recepcji, przebiera się w kostium kąpielowy i zajmuje leżankę obok Iwony. W basenie jej mąż, Franciszek, autor naściennego malowidła, które pyszni się na całej ścianie, uczy pływać złotowłosą Aurelię, która piszczy, chlapie, a na jej widok krzyczy: „Dzień dobry, ciocia-kocia!”. Aurelię lubi, wyjątkowo, bo zazwyczaj takich normalnych, tłustych i szczęśliwych bachorów nie cierpi. No, ale Aurelia kocha koty i zdaje się, że rozumie, co mówią. Iwonę, jej matkę, toleruje, bo kobieta, choć młoda, jest dość chłodna, mało ciekawska i zdystansowana. Franciszka nie cierpi. On jej też, więc nie wyłazi z basenu, gapi się na nią tylko, kiedy myśli, że ona tego nie widzi. Po co się gapi, przecież nie uwiedzie mu żony, co on chce zobaczyć, niech lepiej uważa na dziecko. Iwona właśnie rozważa wady i zalety przedszkola.

– ...gdyby nie to, że Aurelkę już obowiązuje zerówka w szkole, to nigdy bym jej do przedszkola nie posłała, przecież te opiekunki tam

sobie z niczym nie radzą, a z drugiej strony to jednak piosenek i wierszyków się małeńka uczy, już tak grzecznie siedzi w kółeczku i słucha, będzie jej potem łatwiej.

– Z czym opiekunki sobie nie radzą?

– Ostatnio Oliwia wyrwała Aurelce lale, aż mała się przewróciła, a panie nawet nie zareagowały...

– Wiesz, to takie normalne dziecięce zachowania, nad czym tu szaty drzeć...

– Ale mogły coś zrobić, wytłumaczyć, że tak nie wolno...

Z jednej strony bardzo rozsądna kobieta z tej Iwony, ale macierzyństwo jej wali na dekiel, mimo wszystko. Co się stanie, jeśli dzieci trochę sobie powalczą? Przekonają się tylko, że istnieją słabsi i silniejsi, nauczą się zachowania w takich sytuacjach i będą wiedzieć, kiedy atakować, a kiedy sobie odpuścić. Bo przecież prędzej czy później trafią na silniejszego, a matki w pobliżu nie będzie. Przypomina jej się inna dziewczynka, czarnooka, czarnowłosa, w czerwonej sukience, o skórze pomarszczonej jak u staruchy, wysuszonej upałem, odwodnieniem i wiatrem. Dziewczynka siedziała obok trupa ojca i patrzyła na dziwne stwory w hełmach, kamizelkach i nakolannikach, obciążone śmiercionośnym sprzętem, bełkoczące coś w nieznanym języku. Patrzyła uważnie, nie płakała, nawet gdy jeden z potworów wziął ją na ręce i zaniósł w zupełnie inny świat.

Aurelia też by pewnie tak patrzyła, pomimo że żyje pod ochroną pokojowej cywilizacji. Kiedy umarła Pani Otis, łaciata koteczka, nie wiedziała, co odpowiedzieć na pytanie małej o „kotka-krówkę”. Plotła coś, że kotek-krówka poszedł do nieba, o, tam jest, na tej chmurce, macha do ciebie łapką, będzie się bawił z kolegami przy Tęczowym Moście, pomachaj kotkowi... Aurelia spojrzała na nią z oburzeniem: „Ciocia, to ty nie wiesz, że do nieba idzie tylko dusza? Powiedz mi zaraz, gdzie jest ciało!”. Nie było rady. Pokazała małej grób Pani Otis, zastanawiając się, co powiedzą na to jej rodzice. Może nie chcieliby swojej córki tak szybko konfrontować ze śmiercią? Aurelia bez jednej łzy złożyła nazrywane kwiaty na kopczyku ziemi pod murem i wygłosiła krzepiącą mowę do swojego pluszowego misia i licznie zebranych kotów. Koty wyraziły swoją sympatię dla Aurelii i pocieszyły, że nie są

smutne nic a nic, bo już się przyzwyczały, że jeden z nich zniknął z tego świata i pachnie pod ziemią, nie nadając się do jedzenia. Aurelia odpowiedziała, że to bardzo dobrze, iż się nie martwią i nie będą go jadły. Z tego wynikało, że umysłowa aberracja polegająca na rozumieniu mowy zwierząt jest powszechniejsza niż się uprzednio wydawało i nie stanowi wyniku traumy wojennej. Dziewczynce rozmowy z kotami wydawały się czymś normalnym, jej rodzice zaś kładli te rewelacje na karb dziecięcej wyobraźni i swoistej zabawy tematycznej. Nie wyprowadzała ich z błędu.

Właśnie Aurelia wyszła z basenu i dopomina się, żeby iść w odwiedzinę do kotków. Tłumaczą jej, że ciocia-kocia musi popływać i iść do sauny, przecież niedawno przyszła. Dziewczynka dąsa się, ale bierze piłeczkę i wraca do wody.

W saunie panuje pustynny upał, ale jest ciemno, szumi niewidzialny strumień i śpiewają europejskie ptaki, przez co żar staje się jakby bardziej do zniesienia. Na prawdziwej pustyni montowali w starach jakieś chałupniczo klecone wentylatory, ale i tak guzik to dawało, z gorąca można było zdechnąć. Miała wrażenie, że oddycha ogniem. Mundury szyto chyba z rozżarzonej blachy, w Polsce nazywały się letnie, ale tu... Ktoś mówił, że za szybko pojechali, bez przygotowania, bez zaplecza, dobrze, że Amerykańcy ich wspomogli, bez tego poginęliby chyba, roztopili się jak ołowiane żołnierzyki, rozstawione na pozycjach przez pierdolonych polityków, którzy nawet w poborze nie służyli.

Narasta w niej wściekłość, więc znów oddycha powoli, wchodzi pod prysznic, włącza funkcję „spring rain”, lodowata woda wywala zgniłe myśli z głowy. Czy nie może przestać myśleć tamtymi obrazami i emocjami? Czy nigdy nie przestanie? Wchodzi do sanarium, tu nie jest tak gorąco. Myśli o kotach, wyobraża je sobie polujące na motyle, na słonecznej łące. Obraz zakłóca wspomnienie trupa Pieska Leszka i niechlujny szeregowy Lamparski na helipadzie<sup>31</sup>, tuż przed odlotem, odesłany do kraju przedterminowo z powodu zaburzeń przystosowawczych, potem zwolniony ze służby ze względu na stan zdrowia. Szeregowy ma zdrowo obitą mordę. Gotowa jest z całą powagą i żarliwością przysięgać, że sam sobie ją otłukł, waląc w ataku szału

łbem o pancerz rośka<sup>41</sup>. Wszyscy są w stanie potwierdzić jej słowa, szczególnie ci, co Leszka dokarmiali i postawili mu budę. Leszek jest razem z Brawo za Tęczowym Mostem, a szeregowy chleje, może się skurwiel zapije na śmierć. Dosyć, dosyć, wróćmy na łąkę do motyli i szczęśliwych kotów.

Idzie z powrotem do basenu i natrafia na scenę małżeńską – Franciszkowi za chwilę „skończy się światło” (cokolwiek to znaczy), a Iwona chętnie pojechałaby do galerii na zakupy. Mają jeden samochód i mokre dziecko. Bierze Iwonę na bok:

– Jak chcesz, to ja wezmę małą, osuszę i dam coś do jedzenia, ty go zawieź do tego jego światła i lataj po sklepach, mnie się dziś donikąd nie śpieszy.

Iwona przekazuje dobrą nowinę mężowi, jak w głuchym telefonie, ten mierzy nadgorliwą pomocnicę złym wzrokiem, ale światło ważniejsze. Poza tym na basen wchodzi młoda grecka boginka. Pojawia się od jakiegoś czasu, próbowała z nimi pogadać. Iwona z angielskim słabo, a jej się po prostu nie chce. Dowiedziały się tyle, że pochodzi z Pireusu, a tutaj pracuje jako pomoc przy chorej osobie. Kompletny idiotyzm, żeby przyjeżdżać do Polski ze strefy euro, opiekować się jakimiś staruchami. Franciszek gapi się na boginkę i tylko macha ręką w niemym przyzwoleniu. Aurelia aż piszczy z radości. Opatulają dziecko w skafander, potem jeszcze w kocyk i biegiem do domku. Koty wylatują przez otwarte drzwi z uniesionymi ogonami. Aurelia woła, żeby wracały, bo chce się z nimi bawić. Młodziaki słuchają jej, gonitwy za myszką na wędce to dla nich niezwykła radość, podobnie jak zawijanie w gazety czy nakrywanie pudełkiem. Starsze idą swoją drogą, przecież nie będą nikogo słuchać ani się wygłupiać przy zabawie. Na razie trzeba wysuszyć włosy. Dziewczynka nastawia się pod ciepły podmuch z suszarki, a ona po raz kolejny zastanawia się, skąd dziecko dwojga śniadych brunetów ma złoto-rude włosy i różową cerę ze skłonnością do piegów. Mała już sucha, dostaje wędkę z myszką na sznureczku i różdżkę z piórkami, koty aż przebierają łapami, żeby się dorwać do zabawek. Przygotowuje kawę dla siebie i sok dla Aurelii, mimo woli słuchając jej monologu.

– Ja mam na imię Aurelka, ty masz na imię Młody Pingwinek, a ty



Kuleczka, a ty Puszek. Mama ma na imię Iwona, tata Franek, miś Puchatek, Ciocia-kocia... Ciocia, jak ty masz na imię?

Nie odpowiada.

– Ciocia-kocia, jak masz na imię?!

– Zapomniałam.

– Ciocia-kocia!!!

– No dobra, Helena.

Nie cierpi swojego imienia, naprawdę. Wydaje jej się wiejskie, dla grubej, prostej dziewczuchy. Na darmo wspomina Troję i Parysa, widzi tylko tęgą, przasną babę w pasiastej zapasce, z grabiami i krową w tle. Znosi Jelenę, Elenę, Helen, nawet Zołzę czy Kociarę. Byle nie Helenkę.

– Wiesz co, Aurelia, ale najbardziej chciałabym mieć na imię Ciocia-kocia...

– Ciocia ma na imię Helena, ty masz na imię Mratawoj...

– Masz tu dobry soczek, napij się.

Czasem chodzi do hospicjum opowiadać bajki dzieciom. Dzieci są blade, słabe i dotknięte piętnem śmierci. Mają dorosłe, przerażone oczy i czasami się śmieją. Tylko takie dzieci może znieść, dzieci, które nie są zapowiedzią radosnej przyszłości, nie są nadzieją. Więc czemu tak chętnie patrzy na tę tłuściutką królową, kochaną i pieszczoną? Czemu jej mówi, jak ma na imię? Mratawoj udeptuje małej kolana, coś do niej mówi. Usta Aurelii wyginają się w podkówkę, w oczach stają łzy.

– Ciocia, a Mratawoj mnie straszy!

– Spadaj, skacino<sup>51</sup> głupia – krzyczy, a kot z radością gna pod wannę, gdzie go nie sięgnie karząca ręka sprawiedliwości ani nawet kij od miotły. Przytula dziewczynkę, kołysze ją w ramionach.

– Co ci ten rudy głupek powiedział?

– Że jedna pani idzie niedługo pachnieć pod ziemię!

– E tam, to nic takiego pachnieć pod ziemią...

– Nie będzie żyła, jak kotek-krówka?

– Nie, poperfumowała się tylko i zejdzie do piwnicy po dzemik albo ogórki.

– Ale Mratawoj...

– Kotki są głupiutkie, nie znają tylu wyrazów co mądre dziewczynki. Nie można w ogóle słuchać kotków, jak mówią takie

bzdurki. O, zobacz, głupiutki mały kotek chce się z tobą bawić, pomachaj mu sznureczkiem...

Machają sznureczkiem, rzucają kulkami z gazety, srebrzysto-marmurkowy Juliusz z wiosennego miotu biega za nimi jak szalony, dołącza się Młody. Aurelia się śmieje. Katastrofa zażegnana, ale Mratawoj oberwie. Albo się nauczy, co komu wolno mówić, albo wypad z chaty.

Przyjeżdża Iwona, przywozi owocową herbatę za pilnowanie córki. Siedzą jeszcze chwilę, kobieta kurczowo ścisną palce lewej dłoni prawą, w końcu nie wytrzymuje:

- Widziałaś, jak on się gapi na tę Penelopę?
- Kto? Na jaką Penelopę? Co ty gadasz?
- Franciszek, mój mąż, gapi się na tę młodą Greczynkę!
- A, na Dymitrę. Chłopy zawsze gapią się na młode dupy.
- Ale nie tak!
- No i co robi poza gapieniem się? Namaluje ją?
- Niech ja zobaczę, że znowu maluje akty! Zawsze, jak pojawiają się jakieś gołe baby, to są kłopoty, to już sprawdzone.
- To zrób mu wjazd do pracowni.
- Nie, tak nie mogę, nie rozumiesz.
- Faktycznie. Nawet mi się nie chce rozumieć. Co to, do własnego męża nie możesz wejść? Głupota jakaś.
- Tak jakoś się ustaliło w środowisku, że żony do pracowni nie przychodzą.
- A, pier... Chrzań środowisko. Wpadnij, zrób striptiz, zaszalej...
- Weź!...
- Zresztą, nie martw się. Boginka jest obstawiona starszym palantem, to on jej kupił karnet na SPA. Nordycki blondyn, typ Redforda, kasa wali po oczach. Widziałabyś jego furkę. Niech się Franio pogapi.

Iwona, nieco spokojniejsza, zapinała kurteczkę Aurelii, a dziecko, zachwycone, wyśpiewywało zasłyszane słowa:

- Młode dupy, młode dupy, młode duuuupyyyy!
- „Pięknie, kurwa, pięknie – pomyślała. – Niewiele lepsza jestem od Mratawoja”.

Pomyślała o blond palancie od Dymitry. Lat ma może czterdzieści, może mniej, nigdy z takim typem urody nie można dobrze trafić z wiekiem. Jest niemiły. Dlaczego? Bo ma białe oczy, jak pies husky. Takie oczy mają upiory i sadyści. Jak ten starszy sierżant z amerykańskiej ODA<sup>61</sup>, co podrzucał im jeńców. Jeniec w czasie wojny rzecz normalna, nawet trochę poobtłukiwany. Wsadzali ich do ancla, karmili i czekali, aż Amerykańcy się wykulają i zadecydują, co dalej z nimi zrobić. Ale ten sierżant o białych oczach przywoził jeńców wyjątkowo obitych. Można by nawet powiedzieć, że skatowanych – mieli połamane palce, ściągnięte paznokcie, krwiaki na jądrach, ślady po przypalaniu petami. Jeden nawet zszedł. Pomimo opieki lekarskiej, musiał mieć jakiś wewnętrzny krwotok. Reszta dochodziła do siebie i potem przepadała w więzieniach, a nieliczni wracali do swych wiosek. Starszy sierżant ODA miał ksywkę „Gestapowiec”. Ksywka, jak to ksywka, nie wiadomo, skąd się wzięła, kto ją wymyślił i puścił w obieg, ale do żołnierza w nieoznakowanym kombinezonie pasowała jak ulał – aryjska uroda i esesmańskie obyczaje. Przez Gestapowca musiała odbyć makabryczny lot z trupem na noszach do amerykańskiej bazy. Polskie wojsko nie mogło mieć u siebie zgonu tubylca, przecież misja była stabilizacyjna. Polecieli z lekarzem, ładnie to wyglądało, pełna pomoc zapewniona, ciul, że psycholog nie znał ani słowa po arabsku, a denat pewnie tylko parę zdań po angielsku. Dali mu coś, żeby stężenie szybko nie nastąpiło, zrobili alarm radiowy, że im już się techniczne możliwości kończą, a jeniec potrzebuje natychmiast czegoś tam, czego na pewno w szpitaliku w bazie nie mieli. Siedząc obok trupa, podawała przez radio jego teoretyczne tętno i ciśnienie, lekarz zaś teoretycznie zajmował się rannym, który teoretycznie przestał oddychać w momencie, gdy helikopter dotknął ziemi. Biegła obok noszy, a potem wybuchnęła szlochem, jak w amerykańskich filmach: „Robiliśmy, co w naszej mocy...”. Amerykanie łyknęli, a nawet jeśli nie, to nie dali po sobie poznać.

No i właśnie palant od Greczynki ma oczy jak Gestapowiec. Pewnie to stereotyp, ale nie lubi takich skurwieli. Zaraz, co ta mała mówiła? Że zajmuje się chorą kobietą? A patrzyła na palanta z wielkim uczuciem. Kij im w oko.

Pora na obiad, którego, jak zwykle, nie chce jej się robić. Nie chce się też jechać do restauracji, a myśl o zadzwonieniu po pizzę wzbudza przerażenie. Jeszcze jeden irracjonalny lęk – przed porozumiewaniem się przez telefon. Co jest w tej lodówce, poza żarciem dla kotów? Chleb, smalec, pomidory. To co zwykle, żadnej niespodzianki. „Jutro – obiecuje sobie. – Jutro z samego rana pojadę do hipermarketu i zrobię zakupy na cały miesiąc”. I zaraz zaczyna wyśmiewać samą siebie: „Dopiero jutro? Dlaczego nie dzisiaj? Czego się znowu boisz? Wsiadaj w samochód i jedź. Nikt nie będzie strzelał”. „Nie, nie mogę postępować wbrew sobie, lekarz zabronił”. „To żryj smalec, też wbrew sobie”. Zaczęła rozważać, co jest bardziej wbrew – brak obiadu czy kolejny dzień chleba ze smalcem. Chleb też spleśniał. Cholera.

Odpala wóz. Kupiła go sobie na kredyt, jeszcze s płaca, ładny, srebrny meraś, odpala pomimo mrozu od razu. Jedzie w ciemnościach obok Oliwskiego Dworu i kuźni wodnej, potem Spacerową przez las. Na parkingu przed centrum handlowym niewiele samochodów.

W zoologicznym kupuje obroże dla kotów, trochę myszek i suszoną rybę dla Mratawoja, jako narzędzie przekupstwa. Ach, prawda, miała mu wdęczyć za to, że wystraszył Aurelię. Dobra, rybki będą dla kogo innego. Siada przy stoliku cukierni, bierze kawałek tortu bezowego i kawę, zastanawia się nad tortillą w McDonalddie. Ale mi obiad... Kupuje jakieś cholernie drogie i cholernie dobre wędliny, dziwną czekoladę z liśćmi mięty, bierze wózek i idzie na halę. Ilościowy obłęd, masa towaru. Przy regałach z wodą mineralną uderza ją wspomnienie rzeki i wyniesionego przez prąd na brzeg wzdętego krowiego truchła, sztywne nogi sterczą ku rozpalonemu niebu. Obok kobieta w czerni nabiera wodę do plastikowego kanistra. Szybko odgania tę wizję, by w dziale dziecięcym dać się zaskoczyć jeszcze gorszej.

Pojechała z sajopsami<sup>21</sup>, co raczej rzadko jej się zdarzało, bo nie darzyli się zbyt dużą sympatią. Ona nazywała ich „politrukami” i złośliwie wypytywała, ile to już ryz papieru bohatersko zużyli. Oni zaś czuli, że część roboty, należącej przecież do nich, wojskowych psychologów, została oddana bezmyślnymi decyzjami rządzących cywilnej babie. Nazywali ją „czarownicą” i nabijali się z niekonwencjonalnych metod działania, nie za bardzo jednak, bo więcej czasu spędziła na misjach niż

większość z nich. Za szczególny przedmiot żartów obrała sobie ich godło, pajaka na zielonym tle wspinającego się po mieczu pomiędzy błyskawicami. Podkreślała debilizm stawonoga, który lezie po metalowym, naostrzonym płaskowniku w czasie burzy, i śmiertelnie poważnie dociekała, czy się z nim utożsamiają, a jeśli tak, to w jakim aspekcie. No, ale czasami jeździła, szczególnie gdy w grupie nie było kobiet, a jechali do szkoły, gdzie uczyły się dziewczęta. Akurat jechali, wioząc plecaczki. Identyczne jak te, które miała przed nosem. Różowe w błękitne kwiatki.

Ucieka przed wspomnieniem, pchając wózek w stronę kas, ale, niestety, chociaż kolejka jest niezbyt długa, to wózki wyładowane po brzegi. Święta idą przecież.

Pomimo wysiłków widzi więc gromadę chłopców wybiegających im na spotkanie i roześmiane dziewczynki w białych chustach, wychylające się przez okno baraku. Wzięła karton z plecaczkami i poszła do nich, kobieta w mundurze, ale włosy miała dobrze ukryte pod hełmem i dłonie osłonięte do połowy, tak aby nie widać było nadgarstków. Podobno było to całkowicie niewskazane z punktu widzenia sajopsów, ale jej było wygodnie. Stojąc w kolejce do kasy słyszy strzały, pada na ziemię, osłaniając ciałem najbliższą stojącą dziewczynkę. Nie, stop, jest tu i teraz, kurczowo ściska rączkę wózka, poci się. Cholerne „intruzywne wspomnienia”.

Wtedy nic się ani jej, ani dziewczynkom nie stało. Oberwali za to chłopcy na boisku, nauczyciel i jeden sajops, niegroźnie. Znów zamieszanie, wzywanie pomocy, droga do szpitala. Zapomniane plecaczki walają się w szarym pyłe, w zjeżdżalni świeże dziury po kulach. Spotkała się potem z rannym i czuła swoim niekonwencjonalnym szóstym zmysłem jego wyrzuty sumienia i wątpliwości. Wypowiedziała je głośno, wysłuchała obronnych bluzgów i prób zepchnięcia przynajmniej części winy na nią, bo przecież też tam była. Przepchnęli w końcu tę winę dalej od siebie, jak śmierdzące krowie truchło znad brzegów rzeki Hilla, wyciągnęli praktyczne wnioski ze zdarzenia. Szepnęła mu na pożegnanie: „Teraz musisz być prawdziwym skurwysynem, jak chcesz przeżyć...”. Wydawało się, że zrozumiał, chociaż ona sama nie pojęła znaczenia swoich słów –

powiedziały się nie wiadomo dlaczego.

Jest już przy kasie, płaci, ładuje zakupy do bagażnika. Znowu pada śnieg. Wraca, a jazda leśną drogą jest jak sen, niemal bezgłówna. Układa zakupy w lodówce, w szafkach, koty zaglądnają ciekawsko do siatek. Opierdala Mratawoja za straszenie Aurelii. On udaje, że nie słyszy. Zjada kawałek tej piekielnie drogiej kiełbasy, dzieląc się z kotami, chociaż dla nich to niezdrowo, zażywa leki i kładzie się spać. Koty udeptują koldrę, poduszki, ją samą. Głaszcz je, przytula twarz do ciepłych, pachnących zimną futer. W ostatnim przeblýsku świadomości kojarzy nagle, że palant o białych oczach to dzieciakowaty pan młody z jej porannej wizji. Ale o tym pomyśli jutro, jutro...

Zasypia głąbokim, chemicznym snem.

Mratawoj cicho wstaje i wydostając się przez kocia klapkę w drzwiach, biegnie sprawdzić, czy kobieta z pokoju pachnącego strachem już umarła, czy może jeszcze podzieli się z nim jedzeniem.

<sup>1]</sup> Ajdek (ang. IED – Improvised Explosive Device) – improwizowany ładunek wybuchowy, czyli mina domowej roboty.

<sup>2]</sup> Hesco – bariera HESCO lub HESCO Bastion to rodzaj gabionu, używany do fortyfikacji wojskowych oraz kontrolowania powodzi.

<sup>3]</sup> Helipad – lądowisko dla helikopterów.

<sup>4]</sup> Rosiek (slang.) – Kołowy Transporter Opancerzony „Rosomak”.

<sup>5]</sup> Skacina (skotyna, ukr.) – bydłę.

<sup>6]</sup> ODA (Operational Detachment Alpha) – dwunastoosobowa jednostka specjalna amerykańskich wojsk lądowych. W Iraku i Afganistanie zadania jednostek ODA to zatrzymywanie osób podejrzanych o terroryzm.

<sup>7]</sup> Sajopsi (slang., Psychological Operations – PSYOPS) – Grupa Wsparcia Psychologicznego dla żołnierzy Polskich Sił Zadaniowych, zajmująca się polityką psychologiczno-informacyjną, polegającą na rozpoznaniu zwyczajów, problemów i potrzeb miejscowej ludności, a następnie opracowaniu metod wytworzenia pozytywnego nastawienia wobec wojska.

**Wiosna, przybywają różni goście**      Wiosna przyszła opornie i niechętnie. Nieustępliwa zima stulecia nie miała zamiaru odpuścić. Są

jednak przebiśniegi, za moment będą krokusy, koty linieją. W domu sprząta ich kłaki bez przerwy, w ogrodzie przesadza funkcie, ale róż jeszcze nie odwinęła. Czuje się lepiej. Grzebanie w ziemi ją uspokaja, nie przychodzą tak często wspomnienia, śpi dobrze, nawet zmniejszyła dawki prochów. Wieczorami słyhać lament kotki w rui. Trzeba będzie złapać i wysterylizować, po co mają się rodzić kolejne kociaki, wystarczająco dużo kręci ich się po Oliwie. Przy kolejnych wrzaskach bierze transporter i wychodzi, tak jak wychodzili na działania wyprzedzające. Zawsze w ciemności, zawsze w czerni, po cichu, w dwóch pierścieniach, zacieśniających się wokół punktu. Jak stado wilków. Niepotrzebnie chodziła ze stadem, teraz jej go brakuje. Idzie sama, czerń jest bardziej dla ukrycia się przed ludźmi niż przed kotami. One i tak ją widzą. Kocica rozpacza, wije się jej tuż pod nogami, prosi. Szybko daje się przekonać do wejścia do kontenerka, zresztą znały się już trochę wcześniej – nie na darmo urządziła stołówkę dla bezdomniaków. Przez całą noc kocica zamknięta w transporterze śpiewa miłosne pieśni do zdziwionych kastratów.

Nie wszyscy jednak jej słuchają. Mratawoj rozmawia z Juliuszem. Ma do niego macierzyński stosunek – tak kocurom czasem robi się po kastracji. Ukazuje mu wizje wspaniałego, pachnącego jedzenia, tłustego masła i zakazanego mleka. Sam nie przeje wszystkiego, a trzeba się śpieszyć, bo właścicielka misek, których zresztą zupełnie nie potrafi obronić, za chwilę będzie nieżywa – Mratawoj to czuje, po zapachu i subtelnych wibracjach, wydzielanych przez każde jeszcze żywe stworzenie. Juliuszowi się nie chce, woli własną miskę, pełną suchego żarcia, i ciepłą poduszkę, tak dobrze już udeptaną, że szkoda ją opuszczać. Mratawoj się wścieka, strzela Juliusza pazurzastą łapą między uszy i wygania na dwór. Zrezygnowany, zdominowany młodziak wlecze się posłusznie za tłustym tyranem. Po dojściu na miejsce okazuje się, że właścicielka jedzenia właśnie umiera. Wibracje jej życia oddalają się gdzieś w przestrzeń. Koty instynktownie próbują je złapać, w pościgu przebiegają przez ciało, ale nie udaje im się, życie ucieka. Za chwilę zacznie pachnieć śmiercią. Trzeba więc jeść, nieżywe istoty nie jedzą, miska nie będzie więcej napełniana. Mratawoj ściąga plasterki szynki z kanapek, pokrojonych w małe kosteczki, Juliusz

zlizuje z nich masło. Po uczcie wychodzą, jak weszli, przez dziurę w ścianie pod oknem, zakrytą uchylającą się na zawiaskach perforowaną blachą. To tylko trochę trudniejsze niż sforsowanie kociej klapki.

Z samego rana rujkująca śpiewaczka zostaje zapakowana na tylne siedzenie i jadą do weterynarza. Po dwóch godzinach kocica jest już do odbioru, trzeźwa, wściekła i wysterylizowana. Na tylnym siedzeniu stoją doniczki z perukowcem i klonem czerwonym, więc pacjentka zasiada na przednim fotelu, kontener przypięty zostaje elegancko pasami. W domu zamieszka w klatce, ubrana w kaftan pooperacyjny, bo zdecydowana jest rozlizać sobie szew, który jej założyli na brzuchu, i nie daje sobie wytłumaczyć, że jak to robi, to wyleżą jej flaki. „Koty są jednak beznadziejnie durne” – myśli Kociara. „Ale za to jakie śliczne” – dodaje po chwili, patrząc na swoje stado, zbierające się na południowe karmienie.

Sprawdza, czy kocica nie wylazła z kaftanika, podaje jej wodę i pożywienie, przy okazji kilka ogonów załapuje się na koryto poza kolejką. Teraz pora na posadzenie drzew. Perukowiec pójdzie do najbardziej słonecznego kąta, a klon nad skalniak, jako zwieńczenie kompozycji, którą podejrziała w jakimś czasopiśmie ogrodniczym. Idzie z donicą i łopatką, nagle na grządce widzi niedbale rozgrzebaną ziemię, przeszywa ją dreszcz („coś nowego, coś świeżego, coś nietypowego”, uwaga, ajdek), ale po chwili zdaje sobie sprawę, że to któryś z kotów oddał się ulubionej kociej czynności i wyrył dziurę w niedawno wypielonej ziemi. Kurwa, kompletna tragedia, przerazić się kociego gówna...

Na trawniku leży martwa mysz. Koty straciły nią zainteresowanie. Bierze trupa za ogon i wyrzuca na kompost. Sprawdza obecność, koty rozleniwione popołudniowym ciepłem zalegają na parapecie, ławce, krzesłach w salonie na dole. Pacjentka śpi w klatce. Mratawoja znów nie ma. Nie, właśnie wraca przez kocią bramkę w murze. A kto za nim? Juliusz, podrostek, miziak nad miziaki... Czyżby chodzili do tej samej stołówki?

Słyszy natarczywe pukanie w zewnętrzną bramę i przechodzi ją fala zimnego osłabienia. Strach. Obcy na bramie, trzeba, by pies go obwąchał, czy nie ma na sobie kilku kilogramów środków



wybuchowych, którymi za chwilę w imię Boga wywali siebie i nas w powietrze. Trzeba obcego przeszukać, czy nie wnosi broni pod tymi wszystkimi luźnymi szmatami. Obcy, który za chwilę może mieć do niej pretensje o to, że żyje, mieszka, przebywa, hoduje, dokarmia... Umrzeć, nie być, nie istnieć, udawać, że jestem w sklepie, wyjechałam, nikogo tu nie ma.

– Czy ktoś jest w środku? Policja – męski głos, ale z nutą śmiechu.

Ktoś sobie robi jaja, ale na wszelki wypadek odsuwa okienko w furtce, jak w drzwiach celi. Faktycznie, policja. Bez mundurów, ale za to z legitymacją, więc otwiera, zaprasza do środka. Dwóch, jeden starszy, siwy, o niebieskich oczach, z notatnikiem, drugi młody, brunet, z czarną aktówką. Nieoznakowany radiowóz zaparkowali koło SPA. Pewnie są z Komendy Miejskiej.

– ...z wydziału dochodzeniowo-śledczego Komendy Miejskiej Policji.

Ładnie. Nie dosłyszała nazwisk i stopni. Chcą może kawy?

– A możemy herbaty?

– Jakiej?

– A może ma pani owocową?

– A może mam. A co byście jeszcze chcieli?

– Chodzi nam o osobę, którą mogła pani poznać w tym ośrodku naprzeciwno...

– Wezwania nie mogliście mi przesłać?

– My tak wolimy osobiście...

– Wiosna się zrobiła i samochód służbowy był wolny? – zapytała z niewinną miną zidiociałej staruszki. – Nie ma to, jak mieszkać w atrakcyjnym miejscu. Kwity żeście przynajmniej ze sobą wzięli?

– Wzięliśmy – skrzywił się siwy – ale pani tak od razu brutalnie, między oczy prawdę wali, że aż się boję.

– Maciek Szarek nadal takie modne buty nosi? – spytała, wspominając pewnego młodego gliniarza, którego kiedyś przeciągnęła po okolicznych górkach w zupełnie nieodpowiednim obuwiu.

– Naczelnik? – teatralnie zadziwił się młodszy policjant. – Naczelnik nosi tylko i wyłącznie obuwie służbowe! Najbardziej niemodne na świecie.

„I nic więcej? Nawet gaci?” chciała spytać, ale się powstrzymała. Postawiła kubeczki z herbatą.

– No dobrze, to o co chodzi?

– Prowadzimy dochodzenie w sprawie zaginięcia obywatelki Grecji i mamy informacje, że korzystała z tego ośrodka. Zaginiona nazywa się – spojrzął w notatnik – Dymitra Papadopulos.

Wyciągnęła dowód z portfela i położyła przed młodym.

– Poznałam ją kiedyś. Możecie zacząć pisać.

Młody wypełniał rubryki protokołu drukowanym pismem.

Zauważyła ze zdziwieniem, że pisał piórem. Złożyła zeznanie, sprytnie omijając kwestię swojej renty i jej przyczyn. Jeszcze jej tylko biegłego psychologa brakowało.

Młody pisał wytrwale. Nawet nie miała problemów z odczytaniem go. Podpisała pełną formułą, aż siwy skomentował:

– Patrz, młody, i zapamiętaj, raz na sto lat się taki świadek trafia, co ci cały protokół podyktuje, tak że żadnej roboty nie masz. Pani to chyba musiała mieć trochę z policją do czynienia?

– Miałam, ale naczelnika Szarka to wtedy chyba jeszcze w planach rodzicielskich nie było. Stare dzieje.

– To pani tak jak ja z SW?

– Że co?

– Co to jest MG, to teraz wszyscy wiedzą. To są „Młodzi Gniewni”, tak jak kolega tutaj. A ja już jestem SW. Stary Wkurwiony.

Śmiała się, chyba pierwszy raz od tamtej imprezy z Iwankiem i rastamanami. Siwy kontynuował:

– Z naczelnikiem to ja sobie porozmawiam, bo widzę, że wsadził nas na niezłą minę, przecież to on kazał nam panią przesłuchać. „Jedźcie do tej miłej kobiety”, mówi...

– Tak powiedział? „Miłej kobiety”? Coś się panu nie po... tegowało?

– Dokładnie to ja już nie pamiętam, jak powiedział, ale był pewien, że pani ma bardzo dużo przydatnych informacji. Dobrze się znacie?

– Niech pan naczelnika Szarka spyta...

– Mówi pani, że ona tu często na basen chodziła, rozpytamy w recepcji, może jakąś szafkę tam miała.

– Nie miała. Graty nosiła w torbie, jak wszyscy. Przyjeżdżała samochodem tego gościa albo przychodziła na piechotę.

– Czy może zapamiętała pani numer rejestracyjny tego samochodu?

– Nie, pamiętam tyle, że gdańskie. Samochód był z naklejką inwalidzką, chociaż facet na inwalidę nie wyglądał... On był stąd, pamiętam go sprzed lat, brał ślub w katedrze, panna młoda była w ciąży. To było jakieś dziesięć lat temu, może więcej, na pewno przed...

Przerwała nagle, bo przyłapała się na wielomówności, tak niewskazanej w kontaktach z organami ścigania. Czyżby samotność zaczęła jej doskwierać tak, że gada z przesłuchującymi ją gliniarzami, jakby to byli jej najlepsi koledzy? Siwy jednak nie dał się zbyć:

– Przed czym?

– Przed moim pierwszym wyjazdem na misję do Iraku.

– Jaką misję? – zapytał młody. – Katolicką?

Naczelnik Szarek nie powiedział im prawie niczego. I bardzo dobrze.

– Nie katolicką. Wojskową. Stabilizacyjną. Chociaż księdza mieliśmy.

Zamilkli. Po chwili siwy westchnął.

– Ciężki kawałek chleba sobie pani wybrała. Czyli ślub brał tutaj... Srebrny chrysler, znak dla inwalidy, ona albo na piechotę, albo tym samochodem. Czemu nie taksówką?

– Bo blisko miała – włączył się młody.

– No, ale my tu pani głowę zawracamy – rzekł siwy, dopijając herbatę. – Komu w de, temu ce. Choć młody, spadamy. A jakby pani miała jakiś pomysł, to tutaj nasza wizytówka. Na herbatę w rewanżu zapraszamy, jak pani będzie w pobliżu komendy, proszę spytać o kawę z mlekiem na dyżurce.

– I co, dyżurny mi poda? – parsknęła.

– Kawa z Mlekiem to my – oświadczył dumnie. – On jest Kawa, a ja Mleko. Po kolorze włosów widać, nie?

Pożegnali się i poszli rozpytywać do SPA. O kilku rzeczach im jeszcze nie powiedziała. Na przykład o Franciszku – diabli wiedzą, czy tej Greczynki nie puknął gdzieś w ciemnościach sauny. Może się z nią

umawiał, kto go tam wie. Nie lubiła faceta, ale Iwonie nie chciała robić przykrości i narażać męża na ciągnięcie po przesłuchaniach. Nie powiedziała też, że blondyn, do którego należy srebrny chrysler, to musi być niezły skurwysyn, bo ma białe oczy, takie jak Gestapowiec, i że wydaje jej się, ale tylko wydaje, że gdzieś na jej szlaku taki srebrny wozik parkuje. Dobra, jak będzie pewna, to przedzwoni. Kawa z Mlekiem, też pomysł...

Gdy skończy zajęcia ogrodowe, ugotuje obiad, nakarmi koty, posprząta i siądzie na chwilę bezczynnie. Uderza ją, jak obuchem między oczy, strach i wstyd: „Co ja wygadywałam do tych gliniarzy, głupia stara baba, cała w uśmiechach, żarcikach, tekstach, nie masz już dwudziestu lat, idiotko, twoje wdzięczenie się do facetów jest w tym wieku żalosne. A jeśli cię wezwą do sądu i sędzia zapyta, na co masz rentę? Czemu nie powiedziałaś? Czemu kłamałaś, że emerytura pomostowa, co?”. Czuje ból w mostku. Czym prędzej robi dziesięć pompek, żeby myśli chorobowe wyszły z głowy. Wtedy przychodzi Juliusz. Mruczy, łasi się. Włazi na kolana, udeptuje. Na pewno zacznie skarżyć.

– Ratuj, ratuj, brzuch boli, sraczka...

– Co zezarłeś?

– Mratawoj kazał! Masło, mleko, wiem, nie wolno, Mratawoj kazał, łapą ostrą, silniejszy kot, kazał...

– Gdzie to żarcie?

– Daleko, las lewo, woda i żaby północ, mała suka znaczyła, samochody jeżdżą, ale już nie będzie jedzenia, bo nie żyje.

– Kto?

– Duża samica od misek, słaba, chora, uszło życie, goniliśmy, ale uszło, brzuch boli...

Rozpuszcza w wodzie środek na rozwolnienie dla Juliusza i zastanawia się, gdzie wlaży jej koty. No cóż, wystarczy w najbliższym czasie uważnie patrzeć, przed którym domem zawieszą klepsydę. Potwory wyżerały jedzenie jakiejś niedołącznej, konającej babce. Ale i tak je kocha. Już wiadomo, gdzie Mratawoj się dożywił. Teraz przynajmniej będzie siedział w domu.

Potem zarzuca pigułkę antydepresyjną, dodatkową dawkę, a po

chwili zastanowienia jeszcze coś na sen. Tak się kończy wiosenny dzień.

W następnych dniach wiosna przeszła do natarcia. Resztki śniegu stopniały, rozkwitły krokusy, pojawiły się pierwsze chwasty. Koty biegały jak szalone – z domu, do domu i po chwili znów na dwór, grzebiąc w grządkach, a potem znacząc wszystko w domu śladami zabłoconych łapek. Kociara czuła się dobrze, lęk dopadał ją raz dziennie i na krótko, a wizje wojenne jeszcze rzadziej. Komfort, po prostu luksus. Myślała, że wiosną zawsze pojawiają się goście, jacyś ludzie z czasu wojen, dawni znajomi – i chyba nie miała nic przeciwko temu, żeby z kimś niezobowiązująco pogawędzić. Jednak kolejnym gościem był Franciszek. Prędzej by się diabła spodziewała niż jego. „Po cholere przylazł?” – pomyślała i mentalnie nastroszyła kite, jak zagrożony kot. Nie zaproponowała mu nic do picia. Siedział przy stole, nie wiedząc, co ma zrobić z rękami ani co powiedzieć. Wcale nie miała ochoty mu pomagać, inicjować rozmowy, ośmielać. „Milczenie ma nieocenioną wartość terapeutyczną”, taki slogan z dawnych lat jej się przypomniał, więc milczała, siedząc po drugiej stronie stołu, wspierając głowę na splecionych dłoniach i patrząc na nieoczekiwanego gościa. Zebrał się w końcu w sobie i zaczął:

– Wiesz, policja u mnie była, Iwonę też przesłuchiwali, o tę Greczynkę z basenu. U ciebie też byli?

– Byli.

– I co im powiedziałaś?

– Prawdę, ale o tym, że oczy ci za nią wyłaziły, to nie.

– Ja właściwie nie wiem, po co do ciebie przyszedłem...

– Ja też nie, ale pewnie mi zaraz powiesz.

– Muszę. Wydaje mi się, że potrafisz zrozumieć... No, niech tam, powiem, niech mnie kosztuje, najwyżej mnie wyrzucisz za drzwi. Z tą Greczynką, Dymitrą, od kiedy ją zobaczyłem, to miałem wrażenie, że jest martwa. Pomyślałem, że grozi jej śmierć, nawet usiłowałem się z nią jakoś umówić, żeby ją ostrzec, nie wiem sam jak, bo z angielskim u mnie cienko. Dałem jej swój telefon, nie zadzwoniła. Pewnie uznała mnie za sproszonego starego capa, śliniącego się na widok młodego ciała. A teraz policja jej szuka i co, mam im powiedzieć, że nawiedzają mnie wizje, że ona jest... Jest pogrzebana żywcem?

Trząsł się, widziała, że sprawa jest poważna. Nie, żeby zwariował, nie bardziej niż ona. Ale za nic w świecie nie mogła uwierzyć w takie przeczucia. „A w gadające zwierzęta wierzysz?” „Muszę wierzyć, bo je słyszę, a to, co mówią, zgadza się z rzeczywistością”. No właśnie.

– Wiesz, jestem racjonalistką, psychologiem praktykiem. Nawet nie wiem, jak to interpretować, te twoje wrażenia.

– Nie, nie będę się upierać, zresztą to nieważne. Tylko... czy ja mogę mieć jakieś zdolności, no, powiedzmy, parapsychiczne, i faktycznie tej dziewczynie dzieje się jakaś krzywda?

– Ty mnie się o zdolności parapsychiczne nie pytaj. Z punktu widzenia psychologii, szczególnie tej, w jakiej ja siedziałam, to czysta herezja, najwyżej nieudolna symulacja. Tam gdzie byłam, wszyscy mieli takie przeczucie, że za chwilę zginą, i niektórym nawet się sprawdziło. Nie potrafię ci pomóc...

– Ona była taka piękna, jak z fresków z Knossos, taka pełna życia. Teraz mam takie przebliski, widzę, jak się męczy, jak brakuje jej powietrza, umiera pod ziemią...

Głupi sukinsyn. Dlaczego od razu sukinsyn? Ma prawo nie darzyć cię sympatią. Ale bez powodu? Przecież nic mu złego nie zrobiłam. Sukinsyn. Może nie podoba mu się, że kumplujesz się z jego żoną? No to kij mu w oko, hak mu w smak. Przyszedł w łachę, ale naprawdę jest przerażony...

– Procha ci mogę dać na sen – westchnęła. – Podzielić się z tobą tymi prochami mogę, dać telefon do dobrego psychiatry, bo tak to nic...

Korciło ją jeszcze – ten szósty zmysł, któremu przed chwilą tak gorliwie zaprzeczała: by powiedzieć mu: „Poradź się swojej córki”. Oczywiście nie powiedziała.

– To co, chory jestem?

– Nie, żeby od razu chory. Wrażliwy, pewnie jak to artysta...

– A tak, tak, cholerny stereotyp. Widziałabyś niektórych moich kumpli, takie gruboskórne tępaki, jak spod budy z piwem. Ale jakbyś coś wiedziała, o co tam w ogóle z tą dziewczyną chodzi, to powiedz, dobrze? Ale Iwone nic nie mów, ona też jest racjonalistką. Zazdrosną racjonalistką.

– Przecież ty mnie nie cierpisz. Nie wiem za co, nie, żeby mnie to

cokolwiek ruszało, ale lubię rozumieć. I teraz nagle takie zwierzenia. Porąbało cię, czy co? I jeszcze Iwonie mam nic nie mówić? Niby dlaczego?

– To nie tak, że nie cierpię. Bardziej się boję. Przypominasz mi pewną damę. Miała białego kota, w każdym razie to coś najbardziej kota przypominało. Dawła mi rady, ale też nieźle straszyla... To ma związek z moimi przeczuciami chyba to był pierwszy znak tej nadwrażliwości, czy czegoś. Malowałem potem jej portrety, a tak naprawdę to nigdy jej nie widziałem w rzeczywistości. Teraz w ten sposób widzę Dymitrę. Do ciebie, osobiście, nie mam nic.

– Ty jesteś naprawdę porąbany – stwierdziła z podziwem. – Dobra, masz tajemnicę spowiedzi zapewnioną.

– I jakbyś coś wiedziała, no wiesz, od policji, to powiesz mi, dobrze?

– Cholerny stereotyp. Czy ty myślisz, że jak się kiedyś pracowało dla mundurówki, to oni od razu lecą i raportują o wynikach śledztwa? U nich się na emeryturę idzie po czterdziestce, teraz się tam setne pokolenie gliniarzy miele, o mnie nawet nie słyszeli.

– No dobra, rozumiem, ale jakbyś...

– Jakbym. Na razie.

– Pokażę ci kiedyś portrety tej damy z kotem. Może też ją znasz. Na razie.

Poszedł. Pokręciła głową ze zdziwieniem. Czyżby miała następnego kumpla? Nie do wiary. Dama z kotem, też coś. Widać nie tylko ona ma zajoba. Mratawoj z Juliuszem leżą na jednym legowisku i śpią. Nigdzie już się nie włóczą.

Wiosna to piękny czas. Chociaż dla psychicznych niebezpieczny.

Nie minął tydzień, jak Mratawoj znów zaczął znikać, po „nowe jedzenie”, jak lakonicznie stwierdził. Nie wyciągał już Juliusza. Widać uznał go za zdrajcę, który do tajemniczych misek mógł doprowadzić nie tylko ich ludzką matkę, ale i resztę kotów. O nie, tylko nie to, on, wielki łowca i tropiciel, nie będzie się dzielił! „Łowcą to ty byłeś – mówiła mu Kociara – zanim nie trafiłeś na łatwe żarcie. Wiewióreczkę potrafiłeś upolować, po wszystkich ogródkach z nią paradować w pysku, żeby cię działkowcy znieawidzili. Ptaszka ślicznego też, nie mówiąc już

o myszy. Taki byłeś dzielny. A teraz jesteś tłusty włóczęga i idziesz na łatwiznę. Kiedy cię znalazłam, to byłeś taki chudziutki, biedny, zasmarkany, a teraz? Kawał bydlaka”.

Kot ignorował jej gładzenie. Spał, wyciągnięty na całą długość na poduszce. Łapy mu drgały, jakby we śnie wszedł w jakąś kałużę i starał się je otrząsnąć.

Wiosna przynosi chorym na depresję niepokój – w niej też narastał, rozglądała się wokół, wypatrując zagrożenia. Wydawało się, że za chwilę ktoś nadejdzie, zburzy kruchy spokój, zakłóci życie, zniszczy miejsce na ziemi. Nie mogła usiedzieć, kręciła się tam i sam po ogrodzie, nie będąc w stanie zrobić niczego do końca. Znowu marzyła o powrocie do znanej rutyny, pobudek, odpraw, rozkazów, ciągłego strachu, który tak pięknie usprawiedliwiał wszystkie inne emocje. Nie ma powrotu, zwolniłaś się na własną prośbę, a teraz już nikt cię tam nie chce, za stara jesteś i pieprznęta. Zrób lepiej parę brzuszaków, brzuszki są dobre na wszystko. Cień lęku odpływał na chwilę.

Zaszedł sąsiad z działki obok, spytał się, czy udało jej się przechować przez zimę kłącza pacioreczników, bo u niego w altanie przemarzły. Dała mu parę bulw, ale on stał, gadał, rozglądał się po ogródku, aż w końcu zaproponowała mu kawę. Miała słabość do takich stareńkich, siwych krasnali, nie potrafiła go wygnać czy choćby opieprzyć. „No i co ci szkodzi, przynajmniej się przy nim nie będziesz wygłupiać”. „Ale kamerę nad furtaa sobie zamontuję, dość tych gości – policja, Franciszek, teraz ten...” Zatonęła w rozmyślaniach, czy obecność sąsiada jest dla niej przykra? Nie mogła się zdecydować. Dziadulek zaś chleptał słabą kawką, podgryzał słone paluszki i gadał bez ustanku. Teraz był w 1971 roku i jechał do Amsterdamu z delegacją pracowników stoczni. Kiwała głową, mówiła „tak, tak” i „ychym”, z nudów wypatrując u dziadzia innych niż wielomówność i dygresyjność objawów organiki. Nagle pojawił się Mratawoj i przyłasił do gościa, z podniesionym ogonem i powitalnym „grrrrrr”. Sąsiad gwałtownie wrócił z Amsterdamu i stwierdził:

- Ale ten pani kocur to ma wielki teren!
- Tak? Sama jestem ciekawa, gdzie się szwenda.
- Wie pani, gdzie go widziałem? Przy samym pałacyku!



- Przy Mormonach?
- Nie, przy tym bliżej, w dolince.
- O ja piernicę, to i tak chyba z kilometr...
- Na kocice pewnie chodzi.
- Nie ma z czym chodzić. Jajca ucięte.
- Racja, racja, śmierdziałby. O czym to ja...

Nastąpił powrót stocznio-wca do Niderlandów, ale już nie słuchała. Analizowała, co mówił Juliusz: „Daleko, las lewo, woda i żaby północ, samochody jeżdżą”. Wszystko się zgadza. „Już ja znajdę te twoje pełne michy” – pomyślała.

Przechodząc obok pałacyku, wypatrywała klepsydry. Nic nie było – ani na brzożach wzdłuż Drogi Filozofów, ani w centrum. Wracając z zakupami, zeszła stromym podjazdem na pusty parking i podziwiała skomplikowaną architekturę secesyjnego zamczyska. Kiedyś był tu jakiś *kurhaus*, teraz pewnie mieszkają ludzie. Którędy koty mogły dostać się do środka? Suterena jest dość wysoka, ma duże okna, może tędy? Obeszła budynek naokoło, wszystkie piwniczne okna wydawały się dawno nieotwierane, a na pewno nikt w przyziemiu nie mieszkał, bez firanek i z grubą warstwą brudu na szybach. Wejście z klatki schodowej byłoby zbyt oficjalne i oczywiste, jak na gust Mratawoja, ale był jeszcze podjazd dla wózka (czyli mieszkał tu ktoś niepełnosprawny...), prowadzący do tarasowych drzwi, a z drugiego końca weranda. Też nie dla kota, nie na stałe wejście, może w lecie jeszcze tak, ale zimą na pewno nikt nie zostawiał ich uchylonych. Właził po dzikim winie? Wątpliwe. Zaraz, zaraz, pod oknami parteru są kratki wywietrzników, pewnie dogrzewali się gazowymi piecykami, kiedyś, bo kratki stare, metalowe, z ozdobną perforacją. Tędy by mógł, ale pod warunkiem że kratka miałaby luz z obydwu stron...

Zza rogu budynku wyszedł młody chłopak z charakterystyczną dla zespołu Aperta urodą maszkarona. Stał i patrzył na nią. „Pewnie upośledzony” – pomyślała, ale zaczęła powoli się wycofywać. Maszkaron rozpiął spodnie, wyciągnął fiuta i zaczął się onanizować.

- Chodź tu, zobacz, jakiego mam długiego – zawołał do niej.
- Jak masz długiego, to se go wsadź w dupę i sam się wyruchaj – wyjęła z kieszeni komórkę i przycisnęła pierwszy z brzegu klawisz. –

Spierdalaj, pokrako, bo na menty zadzwonię.

– Sama spierdalaj, stara kurwo – odwarknął maskaron, ale schował fiuta i odszedł.

– Rzeczywiście, trzeba spadać – mruknęła do siebie.

Przyjdzie w nocy, kot ją zaprowadzi.

Wróciła do domu i chociaż był biały dzień, a lekarze zabraniali podsypiać, walnęła się do łóżka, nastawiając sobie komórkę na budzenie o drugiej w nocy. Juliusza zamknęła w łazience. Będzie miała jakąś kartę przetargową, poza suszonymi rybkami.

Dźwięk dzwonka. Alarm w bazie. Czarny drelich, noktowizor, dobra jest. Teraz jeniec. Stała pod drzwiami łazienki.

– Juliusz, chcesz stamtąd wyjść?

– Taaak.

– Zaprowadzisz mnie do michy, las, woda i żaby północ, dobra?

– Taaak.

Wypuszcza kota i idzie za nim, przeskakując przez płoty, przeciskając się przez dziurę w siatce (Juliusz oczywiście przelał pod spodem). Zakłada noktowizor, bo idą na przełaj przez las, Juliusz jak plama jaskrawozielonej ektoplazmy wyznacza drogę. Żaby rechoczą na północy, w podmokłych łąkach. Ześlizguje się po stromej skarpie, wprost na Drogę Filozofów, po drugiej stronie ma podjazd, którym niedawno schodziła. Przez las jest dużo bliżej niż ludzką drogą, nawet dla małych kocich łapek. Okna są ciemne, wszyscy śpią. Juliusz skacze pod jednym z wywietrzników, ląduje na gzymsie kamiennej podmurówki, podważa nosem kratkę i wchodzi do środka. Pozostaje tylko czekać. Po chwili kratka się unosi, ukazuje się koci łeppek, Juliusz jednym skokiem ląduje na ziemi.

– Nie ma misek, nie ma nieżywej samicy – mówi.

„Widać to nowe jedzenie jest gdzie indziej” – myśli Kociara, ukryta za żywopłotem, karmiąc Juliusza rybkami. Na parkingu stoi samochód, jeden jedyny. Podchodzi do niego – odblaskowy znaczek inwalidy słabo fosforyzuje. Tak by to było... Zapamiętuje numer rejestracyjny i znika w ciemności. Za nią biegnie kocurek, dopominając się jeszcze więcej przysmaków za usługi przewodnika. Mratawoj, przeczekawszy desant, wyłazi przez rozbitą szybkę piwnicznego

okienka, które podczas dziennej lustracji przeoczyła.

**Kociara wychodzi z azylu** Pierwszy pomysł miała taki, żeby zadzwonić, ale się bała. SMS wydawał się jej zbyt szczeniacki. Postanowiła załatwić sprawę osobiście i wypić tę obiecaną herbatę. Samochodem jechać też się bała, bo za duży ruch, a tramwajem... Nie, tak to być nie może, bez przesady z tym oszczędzaniem się. Strasznie jest ciekawa, jak teraz wygląda Komenda Miejska. Pamięta wysokie pokoje, seledynowe ściany, smród fajek, biurka o blatach z laminatu i maszyny do pisania. Ma też ochotę dowiedzieć się więcej o zaginięciu pięknej Greczynki. I zobaczyć dwóch przystojnych policjantów, ze względów czysto estetycznych, oczywiście. Tylko dlaczego to tak daleko i tylu ludzi po drodze? A co, jeśli ich nie będzie? To zostawi swój telefon dyżurnemu.

Na stole gromadziła przedmioty, które należy schować do torebki. Okulary do czytania, portfel, bilety, komórka, paczka chusteczek, dokumenty, łuska od naboju musi być, zawsze z nią jest, od kiedy jej nie trafiła, kalendarz, to tyle. Zza muru dobiega płacz dziecka, jakaś babcia pewnie ciągnie wnuka na działkę. W co się ubrać? Zestaw miejski, średnio elegancki. Ma w garderobie kilka zestawów. Nigdy nie miała głowy do strojów, ale teraz lekarze kazali o sobie dbać, więc stara się, jak może. Na wieszakach wiszą bluzki, skompletowane ze spodniami, swetrami, marynarkami, żeby za dużo nie myśleć i nie wybierać. Wzięła i kupiła za jednym zamachem z katalogu, przysłali i teraz ma. Torebki też, pod kolor. Do szarej ładuje to, co na stole, po namyśle dokłada jeszcze tabletki antydepresyjne. Jak się źle poczuje, to weźmie, chociaż wie, że nie zadziałają od razu.

Dobra, idziemy, drzwi zamknąć, bramę zamknąć, w Kubusia rzucić kamyczkiem, bo wybiera się odprowadzać, a potem na szlak. Wypróbowałyby nocny koci skrót, ale nie w tych ciuchach, nie w tych butach. Na działkach koło Oliwskiego Dworu facet karmi czarno-białe stado, trzeba się uśmiechnąć i pomachać, pozdrowić kociego pobratymca. Odmachuje, uśmiecha się, koty są grube i lśniące. Przez całą zimę codziennie do nich jeździł. Pałacowa stołówka Mratawoja ledwie jest widoczna zza drzew. Ciekawe, kto tam mieszka, poza białookim palantem? Tylko jeden samochód w nocy, no, no, czyżby

sam? W takiej ogromnej chałupie? A ten popierdoleniec z zespołem Aperta? A ten podjazd dla wózka? Przechodzi obok Pałacyku Mormonów, w którym nigdy żaden mormon nawet nogi nie postawił. Błękitna kocia budka stoi na swoim miejscu. Na Kwietnej też nic się nie zmieniło, zamurowali tylko okna pierwszego z robotniczych czworaków. Pójdzie do rozbiórki? Taki zabytek? Skręca w Świerkową. Psia okolica, wszystkie ją obszczekują, słyszy wyraźnie: „Obcy, obcy, chodźcie, zbierajcie się, obcy na terenie”. Jeden niskopienny kurdupel puszczony luzem zaczyna warczeć: „Nie ma stada, nie ma, nie ma, załatwię cię sam”. Odwraca się i schyla po kamień, kurdupel z piskiem ucieka, nawet nie zdążyła nic podnieść, a co dopiero rzucić. Nie ma zamiaru z takim głównem gadać. Puchate koty na swoim miejscu, siedzą na parapecie, okno zamknięte. Są głodne. Ich właścicielka wyszła do pracy, będą tak czekać do wieczora. Kiedyś je stąd zabierze, ale jeszcze nie dzisiaj. Kolonia kotów burych, kolonia kotów czarnych. Kocie domki z urzędu miejskiego, miski czyste i pełne, futra lśniące. Pozdrawia je. Na kocim szlaku większość kotów jest wystarczająco szczęśliwa, tylko pod koniec mieszka jedno płodne, zakatarzone i na wpół ślepe stado. No, ale najedzone jest, budki z urzędu ma. Nie jest źle. Wkrótce będzie lepiej.

Przystanek i od razu tramwaj. Wóz nowy, a w środku ludzie jak ze złego snu. Dwóch alkoholików. Jeden bezdomny. Pewnie też alkoholik, ale przede wszystkim śmierdzi pod niebiosa. Co za wstrętny klimat, niby bardziej powinno cuchnąć tam, gdzie goręcej. A guzik. Na pustyni nic nie cuchnie. Od razu się zausza. Ciepłe kraje nie pachną niczym. Ten obszczymur też mógłby niczym nie pachnieć. Kobieta z maskowatą twarzą i sztywną ręką. Druga, bardzo gruba, oczy ma obwiedzione czarną kreską, upiornie to wygląda. Siwy karzeł z fryzurą Einsteina ledwie sięga do kasownika, szczelina jest na wysokości jego oczu. Matko, czy nagle wypuścili wszystkich pacjentów ze Sreberka? Tak to jest, podróżować tramwajem. Lepiej popatrzy sobie przez okno, tak normalnie, spokojnie, jak człowiek. Pomyśli, co by tu jeszcze zrobić w ogrodzie. Może kaskadę i małe oczko wodne? Nic z tego, nie można zatonać w marzeniach, gdy od obszczymura wali nie do opisanego. Wstaje, przechodzi na koniec wagonu. „Trzeba było jechać

samochodem, a nie wydziwiać. Masz furę jak złoto, a używasz tylko na zakupy i do weta z kocurami...” „A czy to moja wina, że cały czas wspominam jazdy po Highway One<sup>11</sup>, gdzie niewiele było ruchu, znaków drogowych żadnych, a umrzeć można było od miny, a nie przez jakiegoś niedouczzonego ciula? Poza tym gdzie zaparkować w okolicy sądu?” „To siedź i wączaj” „No, właśnie”.

Nareszcie dojechała. Nogi ją niosą same. Pojawiają się wspomnienia, nie wojen, lecz sądowych sal, kawy w bufecie, czekoladowego torcika – nagrody po sprawie. Dobrze, że zdecydowała się wyjść, dobrze, że ma jeszcze jakieś wspomnienia z czasu przed wojnami. Wpada niemal w euforię.

Na komendzie jest czysto, cicho i nie czuć fajek. Nowa dyżurka, nowa posadzka w miejsce tamtego lastryka. No dobra, spróbujemy.

– Miałam się stawić w sprawie Greczynki, ale do kogo, nie wiem. Nie pamiętam nazwisk. Panowie mówili, żeby pytać o Kawę z Mlekiem.

– Zaraz zobaczę, czy są. Tak? Pani do was, mówi, że w sprawie Greczynki. Zejdiesz? – dyżurny odłożył słuchawkę. – Już do pani schodzi.

– Dzień dobry – pojawił się młodszy gliniarz, czyli Kawa. – Windą pojedziemy, nóg szkoda. Kolega już wodę na herbatę nastawia...

– Oj, jak tu się zmieniło – zdziwiła się Kociara szczerze, siadając na wyściełanym niebieskim krzeselku, podziwiając plastikowe okna, obniżony sufit i jasne meble.

– Tylko roboty zawsze od cholery – stwierdził siwy. – Gdyby kobiet w sekcji nie było, to nie wiedzielibyśmy, w co ręce mamy włożyć...

– No, dobra, żarty żartami, a ja tu na poważnie przyszłam. Srebrną furkę z wózcikiem na szybie zlokalizowałam i tego palanta od Greczynki chyba też.

Podawała numer rejestracyjny i adres. Młody zapisał i wyszedł, pewnie ustalić dane w systemie. Siwy postawił czerwony kubeczek z herbatką na korkowej podkładce. Kurde, jaki wersal, pilnują, żeby mebelków nie poniszczyć. I kompa mają...

– A w ogóle to co to za sprawa z tym zaginięciem, jeśli wolno wiedzieć, oczywiście?

– Żadna tajemnica. Dziewczyna pozarła się ze starymi, nie zdała matury i kazali jej iść do roboty. Pracowała w jakimś pensjonacie, zapoznała tam Polaka z chorą żoną. Oświadczyła rodzicom, że jedzie do naszego pięknego kraju. No i rzeczywiście przez jakiś czas tu była: wysyłała maile, telefonowała, korzystała z modemu Akademii Medycznej albo z kompa w bibliotece. Ale oczywiście ani razu nie padło nazwisko tych ludzi, u których była, ani też adres, kto by tam sobie takimi duperelami głowę zawracał. Parę tygodni temu zatelefonowała, że wraca. Bardzo była tajemnicza, ale sprawiała wrażenie radosnej. Wiemy, że wsiadła w samolot w Gdańsku, ale już w Warszawie się na lot do Aten nie pojawiła. Miała bagaż podręczny, więc nie robiła odprawy. Zniknęła po drodze. Jej ojciec to jakaś szyszka na tamtejszym uniwersytecie, zaczął wydzwaniać po konsulatach, ambasadach, zrobiło się zamieszanie, no to szukamy.

– Boże, co za ćmoki, przecież w ewidencji tamtego pensjonatu powinni mieć nazwiska gości.

– Nie mają. Przyjeżdżał już długo, dobry klient, nie wpisywali, nazwisko jakieś takie dziwne. Bardzo nas ciekawi, u kogo była, ale zaraz się chyba dowiemy...

– No, mam – młody radośnie machnął wydrukiem. – Wszystko się zgadza, na Kwietnej mieszka, niedaleko pani. Nazywa się Edward Rzeszczyński...

– O żesz, Bręczyszczykiewicz, nic dziwnego, że nikt w tej Grecji nie wiedział, jak on ma na nazwisko – wtrącił siwy.

– Razem z panem Edwardem mieszkają panie Dorota i Ewa, o tym samym pięknym nazwisku. Sądząc po datach urodzenia, Dorota to bardziej matka, a Ewa to bardziej żona.

– A nie ma jakiegoś innego faceta? Jak tam wlażłam, to był na podwórzu taki młody upośledzony, stał i konia sobie walił, za przeproszeniem...

– Może sąsiad. A pani tam po co była?

– Kota szukałam i tak przy okazji...

– Kota?

– No co, włączył się...

– Naczelnik Szarek coś wspominał o kotach.

– Niech on lepiej za dużo nie wspomina, bo ja sobie też co nieco przypomnę... Herbatka dobra była, ale sobie pójdę.

– Odwieziemy panią, nie, młody? Masz furę?

– A jak!

– Przy okazji jeszcze wezwanie dla Edzia zawieziemy...

– Macie tu internet?

– Tak, a co?

– Nic, ale może byście sprawdzili najpierw tego Edzia, co to za jeden, bo jak mu na chatę z wezwaniem wjedziecie...

– Poszukiwany nie jest, ale dobra... – Młody wstukał nazwisko i aż gwizdnął z podziwu. – No, pan doktor, chirurgia estetyczna, proszę, proszę, prywatną klinikę mamy, na uczelni wykładamy... Może coś ci z tymi worami pod oczami zrobi...

Jechali przez miasto, ona na tylnym siedzeniu, wsłuchiwała się w informacje z radia. „Kolizja na skrzyżowaniu Hallera i Kościuszki, sprawca się oddala, podejmuję aktywny dozór do zatrzymania”, „Zero zero do zero trzydzieści jeden, awantura domowa... podjedźcie tam”. Ile to już lat? Lepiej nie liczyć. Wspomnienia z czasu przed wojnami są takie miłe. Siedziała cicho, jednocześnie szczęśliwa i przerażona, że jednak coś zrobiła nie tak, wygłupiła się, zachowała nieadekwatnie. Kawa z Mlekiem rozmawiali o jakiś duperelach. Właśnie mijali Mormoni Pałac.

– Następny dom, tam, w dolince, to będzie ten.

– Ale najpierw panią zawieziemy, dobrze?

– Pewnie, że dobrze.

A potem, na widok jej domu, sakramentalne:

– Że się pani tak nie boi w tym lesie...

– Nie boję się.

– Wie pani co? Będziemy musieli pogadać – stwierdził siwy.

– Fajnie, a o czym?

– O misjach. Nasi też tam byli.

– Gdzie, w Afganie?

– Nie, w Kosowie, ale nie o to chodzi. Kumpel wrócił po trzech zmianach, zupełnie, że tak powiem brzydko, rozjebany. Kryjemy go, ale długo się nie da. A do naszego psychologa, to wie pani...

– Akurat wiem. Zobaczy, że chłopak nie nadaje się do służby, doniesie komendantowi i po robocie. Ale to fakt, pewnie już się nie nadaje. Na emeryturę przejść nie może?

– Może, ale chyba nie chce. Jakby pani z nim porozmawiała...

– Dajcie jego telefon, ale to nie będzie za darmo. Chciałabym wiedzieć, co z tą Dymitką.

– Nie ma sprawy, herbatę dobrą pani robi, to chętnie przyjedziemy, pogadamy o starych Polakach...

Sypiąc kotom suchą karmę do miseczek, po raz pierwszy od dawna myślała o przyszłości, planowała, kogo z chłopaków skontaktuje z „rozjebanym” policjantem, wyobrażała sobie przesłuchanie chirurga i była bardzo ciekawa, co powie, układała sobie rozmowę z Franciszkiem, bo przecież mu obiecała. Długo nie mogła zasnąć, ale nie chciała brać prochów. To bardzo źle. Pobudzenie psychomotoryczne, euforia, brawura – powinna lepiej monitorować swój stan psychiczny. We śnie wylazło całe gówno, realistyczne i bez podświadomościowych bajerów. Obudziła się przerażona i spocona, dalej, już na jawie, przeżywając swój wojenny koszmar, ten, o którym nikomu nigdy ani słowa. Nie zrobimy sobie drugiego Nangar Khel...

Na drugi dzień było już wszystko normalnie – prochy, intruzywne wspomnienia, lęk, natrętne myśli, brzuszki i pompki. „Po co, po co się pakujesz w jakieś kryminalne imprezy, skoro to już nie dla ciebie?” „Nudno mi jak w grobie, chciałabym jeszcze żyć”. „Twoje życie skończyło się dość dawno, w Afganii, na kamienistym pastwisku. Zbyt długo przeciągałaś strunę swojej odporności. Zerwałaś ją i koniec pieśni. Nigdy więcej emocji, nigdy więcej działania”. „Ale będę próbować”. „I będziesz płacić, tak jak dziś...”

Względnie przeszło po tygodniu. Wtedy też spotkała się z Franciszkiem. Przyjechał, jakby czytał w jej myślach. Przywiózł jej jeden z portretów starej damy z chowańcem. Na obrazie była niewyraźna kobieca postać, jakby z dymu czy mgły, zaś chowaniec był dla odmiany odmalowany bardzo dokładnie i faktycznie przypominał zapasione, białego kota. Przyjęła prezent z grzeczności, bo wcale jej się obraz nie podobał. Nie znała się na sztuce ni groma. Wyjaśniła, że Dymitka wyleciała z Gdańska i przepadła w Warszawie, ale już



przynajmniej wiadomo, u kogo była. Franciszek nie wydawał się uspokojony, dalej skarżył się na koszmarny sen i wizje żywca pogrzebanej dziewczyny. Wkurzyła się.

– Wiesz co, Franiu? W dupie byłeś, gównem przeżyłeś. Ty nawet nie wyobrażasz sobie, co to jest koszmarny sen i wizja, ciota jesteś, nie facet. Jak spać nie możesz albo przestać myśleć, to rób pompki, idź do psychiatry, cokolwiek, tylko nie jęcz.

– No, teraz to mówisz jak rasowy kapral...

– Rasowego kaprala też nigdy nie słyszałeś. Lepiej byś mi odmalował takiego kiciusia jak na basenie, a nie taką pokrakę jak tu...

– Ten basen to kicz totalny, dla ludu i z ambicji, że można takiego giganta malować jak Panoramę Raclawicką, zresztą też kiczowatą. To tutaj to jest prawdziwa sztuka.

– Ja się na sztuce akurat tyle znam, ile ty na wojsku. Bohomaz i tyle.

Pogadali sobie jeszcze przez chwilę w ten deseń i Franciszek pojechał obrażony, ale nie za bardzo. Miała pewność, że za jakiś czas tu wróci. Popatrzyła na obraz: „I ja niby miałabym ją znać? Chętnie poznam. Chciałabym mieć takie koszmarny...”. Pstryknęła malowanego chowańca w nos.

<sup>[1]</sup> Highway One – nazwa głównego szlaku pomiędzy polskimi bazami w Afganistanie.

**„Padają deszcze i biją grad...”** „...a za nami idą skurwysyny, dziady”, śpiewali zatrzymani. A za nimi szliśmy my, czyli ja i plutonowy X.

Kawa prawie płakał ze śmiechu, odczytując fragmenty milicyjnych protokołów, znalezione w internecie.

Wiosna rzeczywiście stała się deszczowa, w ogrodzie rosło wszystko jak na drożdżach, koty wycierały ubłocone łapy o pościel i meble, herbata pachniała malinami. Policjanci siedzieli za stołem u Kociary, która zawzięcie studiowała akta sprawy zaginięcia obywatelki Grecji, Dymitry Papadopulos. Właśnie oglądała nagranie z monitoringu lotniska, już po raz trzeci.

– Ty się młody śmiesz – stwierdził Mleko – a ja jeszcze służyłem z niektórymi takimi debilami... Chociaż, w sumie, to byli czasem

porządni faceci.

– Nie ma gdzieś zbliżeń na twarz? – spytała Kociara. – Bo z sylwetki to ona, trochę inaczej się rusza, ale twarzy tak za bardzo to nie widać, jeszcze te okulary...

– Jak „inaczej się rusza”?

– Tak jakoś... No, ale ja ją widziałam na basenie, w klapkach, w kostiumie, na krótkie odległości, wtedy jest inaczej niż na ulicy. W zasadzie, na pierwszy rzut oka to ona. A jak Edzio?

– Edzio to taki mały gnojek. Bardzo oszczędny w słowach. Obrażony wielce, że musiał dupę wieźć na komendę, bardzo zajęty pan doktor. W ogóle go nie ruszało, że laska, która pracowała u niego siedem miesięcy, gdzieś przepadła. Tak jak w zeznaniu: miała swoje życie, on nie wnikał, nie wie co, jak i dlaczego...

– Taaak... Zaraz sobie poczytam.

„Nazywam się Edward Rzeszczyński. Dymitrę Papadopulos poznałem w lipcu zeszłego roku, gdy byłem z moją matką, Dorotą Rzeszczyńską, na wczasach na wyspie Santorini, w miejscowości Perivolos. Dymitra była tam pokojówką. Z rozmów z nią wywnioskowałem, że ma trudną sytuację rodzinną i materialną. Pytała się mnie, czy nie miałbym dla niej jakiegoś zajęcia w Polsce, bo chciałyby poznać życie w innych krajach, a przy okazji odseparować się od rodziców. Mam poważnie chorą żonę, leżącą, praktycznie bez kontaktu, matka moja też ma swoje lata i czasem jest przemęczona nadmiarem obowiązków, więc pomyślałem, że dziewczyna mogłaby pomóc mamie w prowadzeniu domu, a przy okazji zwiedzić przynajmniej Gdańsk i okolice, miałyby u nas utrzymanie. Przyleciała do Gdańska dokładnie 18 sierpnia ubiegłego roku, ja jej kupowałem bilet na samolot. Mieszkała u nas, w części strychowej, stołowała się też u nas. Do jej zadań należało sprzątanie mieszkania oraz towarzyszenie mojej żonie – karmienie, czytanie, czesanie, makijaż. Wyjaśniam, że żona przed zachorowaniem była bardzo wykształconą i inteligentną kobietą, toteż nie wydawało mi się nierozsądne, by Dymitra zwracała się do niej po angielsku, poza tym w tej chwili moja żona niewiele rozumie nawet po polsku. Te zajęcia trwały kilka godzin dziennie, potem miała wolne. Nie wiem, co robiła w wolnym czasie. Czasem zabierałem ją nad

morze, do sklepów, by wybrała sobie coś do ubrania, szczególnie w okresie zimy, na obiad czy na kawę. Kupiłem jej karnet do SPA. Poza tym umówiłem się z nią na kwotę 400 euro miesięcznie. To było w formie kieszonkowego. Nie wykupiłem jej ubezpieczenia zdrowotnego, w razie choroby mogła leczyć się u mnie w klinice. W moim rozumieniu ona u mnie nie pracowała, pomagała jedynie za możliwość pobytu. Dla wszystkich gotowała moja matka, a do mycia, przewijania i rehabilitacji żony zatrudniałem pielęgniarkę na kilka godzin dziennie. Pielęgniarka nazywa się Stefania K. Nie wiem, czemu Dymitra postanowiła wyjechać. Mówiła, że musi jechać do rodziców. Kupiłem jej bilet powrotny na samolot i odwiozłem na lotnisko. Miała ze sobą tylko bagaż podręczny, bo stwierdziła, że gdy załatwi sprawy w Grecji, to tu wróci. Nie mówiła, kiedy ma to zamiar uczynić. Nie wiem, czy w Polsce poznała jakieś osoby. Nie mówiła mi o tym. My nie rozmawialiśmy wiele, bo dużo pracuję i czasem nie widziałem jej przez kilka dni. Nasze rozmowy dotyczyły spraw codziennych, stanu zdrowia żony albo jej wrażeń z pobytu. Z zaginioną nie łączyły mnie żadne stosunki intymne, jestem wierzącym i praktykującym katolikiem, nie zdradzam swojej żony, pomimo że jest bardzo chora i nie może spełniać żadnych małżeńskich obowiązków. Nie wydaje mi się dziwne, że utrzymywałem zaginioną, bardzo dobrze zarabiam, mieszkanie jest bardzo duże, rzeczywiście sprzątanie go wymaga siły i czasu, to była z jej strony duża pomoc dla mojej matki. Poza tym chciałem jej pomóc. Już mówiłem, że nie interesowałem się tym, co robi poza swoimi zajęciami u mnie, czy w ogóle z kimś się spotyka, dokąd chodzi itp. Już się mnie pan o to pytał. Moja matka wie jeszcze mniej, bo nie zna angielskiego i na pewno ze sobą nie rozmawiały, pielęgniarka tak samo. W budynku, w którym mieszkam, jest jeszcze jeden lokal mieszkalny, ale stoi pusty, gdyż właściciele przyjeżdżają może raz, dwa razy do roku. Moja żona nie powie nic, bo jest bez kontaktu, poza tym jest ubezwłasnowolniona. Nikt więcej nie przebywa u nas w domu. Przychodzi czasem upośledzony umysłowo mężczyzna kosić trawnik, ale nie wchodzi do domu, sprzęt bierze z komórki. Nazywa się Krzysztof W., mieszka w mieszkaniu chronionym prowadzonym przez Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej, nie wiem, gdzie ono jest. Od

kiedy odwiozłem zaginioną na lotnisko, nie miałem z nią kontaktu. Nie dziwiło mnie to, nie oczekiwałem, że zadzwoni. Nie byliśmy ze sobą w przyjacielskim kontakcie. To wszystko, co mam do zeznania”.

– No, faktycznie, niewiele... Jakoś mu nie wierzę. To była naprawdę ładna laska, kleiła się do niego, on strzelał oczami na boki, czy ktoś przypadkiem nie patrzy, jakby się wstydził. Może ją tam jednak po cichu...

– Grzech by było nie – westchnął młody. – To ja go słuchałem, pytałem go o ten seks, aż się w końcu wkurwił.

– Czy wykazał słuszne oburzenie?

– Że co?

– No wiecie, czasem, jak się przesłuchuje podejrzanego, to on od razu zaczyna iść na huki, takie „mam co innego do roboty” albo „nie macie co robić, tylko nękać niewinnych ludzi”...

– Albo „lepiej byście łapali tych, co naprawdę kradną”.

– O, właśnie tak... No to było coś takiego, jak go słuchaliście?

– Teraz jak sobie o tym myślę, to było coś w tym stylu.

Ubezwłasnowolnieniem żony to tak walnął o biurko, że myślałem, że się połamię, musiałem trochę opierdzielić dziada, żeby się tak nie rzucał.

– Mamuśkę żeście też słuchnęli.

– Tak, ale tym razem to on – Kawa wskazał na Mleko. – On jest lepszy w przesłuchiowaniu kobiet. A ta była wyjątkowo... sympatyczna.

„Nazywam się Dorota Rzeszczyńska. Znałam zaginioną. Pierwszy raz widziałam ją w Grecji, jak byliśmy z synem na wczasach, sprzątała w tym pensjonacie. Syn z nią czasem rozmawiał, ja nigdy, bo nie znam angielskiego. Pod koniec pobytu w Grecji syn powiedział, że ona przyjedzie do nas, gdyż chce mi pomóc. Ona miała sprzątać i zajmować się chorą synową. Synowa leży, nic przy sobie nie robi, załatwia się w pampersa, nic nie rozumie, co się do niej mówi. Przy synowej pomaga nam pielęgniarka, syn tylko rano i wieczorem. Ja zajmuję się całym domem, sprzątaniem, gotowaniem, zakupami. Czasem też przy synowej. Myślę, że mam bardzo dużo pracy, bo mieszkanie mamy spore. Liczy ono siedem pokoi plus kuchnia, trzy łazienki, przedpokój, weranda i jeszcze mieszkancko na górze, ale to jeden pokój z kuchnią i też z łazienką. Meble są antykowane, łatwo się zbiera kurz, wszystko mamy

w drewnie i boazeriach, to trzeba pielęgnować. Nie byłam jednak za tym, żeby ona przyjeżdżała, bo wyglądała na taką, co nigdy nawet po sobie nie sprzątała, a z takimi to nieraz więcej roboty jak bez nich. Ale syn chciał dobrze dla mnie, więc mu ustąpiłam. Ja myślę, że ona miała jakieś plany co do mojego syna i dlatego przyjechała, ale Edek jest bardzo wierzący i nigdy by Ewy, swojej żony, nie opuścił w chorobie ani nie zdradził, tak go wychowałam. Jak przyjechała, to z początku nie umiała nic, ale potem się nauczyła sprzątać, nawet dobrze. Nie dawaliśmy jej tylko naszych pokojów robić, po co ma nam ktoś obcy po rzeczach grzebać. Siedziała też przy synowej, karmiła ją, czytała jej coś tam po swojemu. Ja nie wiem, czy Ewa rozumie cokolwiek, ale na pewno lubi, jak ktoś jest obok. Ja z tą dziewczyną z Grecji w ogóle nie rozmawiałam. Robiła, co miała robić, potem szła do siebie. Nie interesowałam się, co robi po pracy, nie wiem, czy z kimś się spotykała. Dla mnie to, że ona u nas była, to taka dobra wola mojego syna. Widać, nie miała co w tej swojej Grecji robić. Praktycznie to ona na nim pasożytowała. Mówię tak dlatego, że mieszkała i jadła u nas za darmo, zabierał ją na zakupy, chodziła sobie na basen, robiła, co chciała, a roboty miała tyle co nic. Ja przez całe życie te hektary za darmo sprzątałam. Wróciła do siebie, to wróciła, nie wiem dlaczego, nie wiem, czy wróci do Polski. To wszystko, nie mam nic więcej do dodania”.

– Wstrętna baba, widać, że nie cierpiała tej naszej zaginionej, pewnie zazdrosna była o synka.

– Co to są „meble antykowane”?

– Takie podróby starych mebli, z tymi wszystkimi kolumnienkami, kwiatkami, takimi tam. Faktycznie, kurzu się na tym zbiera...

– Oczywiście pielęgniarkę też przesłuchaliście?

– Tak, wielka, gruba baba, żadna tam pielęgniarka, salowa zwykła, głupia jak but. Oczywiście widziała, ale nie rozmawiała, bo nie zna angielskiego. Nie wie, dlaczego wyjechała, nie pamięta nawet kiedy.

– A tego ogrodnika?

– Prokurator uznał za niecelowe, skoro poleciała do Warszawy. Biegłego by trzeba było brać, jeśli jest upośledzony, a przecież kosztowną. Zadaliśmy sobie jeszcze trochę trudu i ustaliliśmy stewardesy i pasażerów tego lotu do Warszawy. Stewardesa i kilka osób ją

rozpoznało, ale nic więcej. Część w ogóle nie pamiętała, żeby leciała z nimi taka osoba. Nikt nie rozmawiał, nie przyglądał się, jak to teraz ludzie. Resztę przekazaliśmy do Warszawy, niech sobie oglądają monitoring z Okęcia, przesłuchują pracowników lotniska i taksówkarzy. Dla nas to koniec.

– Dziwne to zaginięcie.

– Każde jest dziwne. Człowiek był i zniknął, żadnych śladów.

A tutaj, ja sobie tak myślę, że ona jednak coś teges z tym doktorkiem. Może kogoś innego poznała, a on był zazdrosny, nie chciał wypuścić. Musiała jakoś od niego uciec, ukochany na nią w Warszawie czekał i teraz tam miodowy miesiąc przeżywają...

– Przedłużył się trochę ten miodowy miesiąc, ale trudno. I co, pewnie to umorzą?

– Nie wiem, Warszawa zdecyduje, my właściwie dajemy tylko pomoc prawną.

Kontakt z policjantami rwał się, czuła, że przedłuża go na siłę. Odpowiadał jej tylko Mleko, Kawa zatonął w internecie, akurat oglądał jakieś motocykle. Co im ma jeszcze do powiedzenia? Że koty znalazły zwłoki, a w zeznaniach nie ma ani słowa o czyjejkolwiek śmierci? Że artysta Franciszek ma wizje Dymitry pogrzebanej żywcem, a ten upośledzony to aż taki upośledzony nie jest, jakby to się na pierwszy rzut oka wydawało? Że ona, chora na depresję i zespół stresu pourazowego, ma przeczucia i intuicje oraz rozmawia ze zwierzętami? Lepiej nic nie mówić.

– Dziękuję wam, panowie, żeście się fatygowali.

– To my dziękujemy. Koledze bardzo pomogło to spotkanie, które pani załatwiła, z tym żołnierzem bez nóg. Teraz się nam przyznał, że jego kumpel tam wyleciał na minie, on go wyciągał, ale skonał mu na rękach. Ten żołnierz mu chyba wszystko poustawiał w głowie. Będzie się chłopak starał o dodatek do emerytury, przestał się wstydzić. No, to miło było, ale na nas czas. Do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

Tak, Olek mu w głowie pozmieniał co nieco – przede wszystkim wcisnął głupie przekonanie, że lepiej żyć, nawet bez nóg, szczególnie w bloku bez windy, porzuconym przez żonę, ze starzejącymi się

rodzicami i telewizorem... Sprzątając kubki po herbacie, czuła coraz większą złość, bo przecież doskonale wiedziała, że z tym zaginięciem jest coś kompletnie nie tak, ale nie mogła mieć pretensji do nikogo, a już najmniej do dwóch sympatycznych policjantów. Tak, najwięcej pretensji miała do siebie, że znów się zaangażowała w coś, co nie należało do jej kompetencji, co w ogóle nie powinno ją interesować. Ma się zajmować swoim zdrowiem, sobą, kotami, bo rodziny żadnej nie ma. Może się spotykać z przyjaciółmi, uprawiać ogródek, chodzić na spacer. Tak powiedział lekarz, a ona słucha się lekarzy, akurat tych z Kliniki Psychiatrii i Stresu Bojowego nawet za bardzo. Więc tym bardziej się złości na siebie, bo powiedzieli jej wyraźnie, że ma tendencje do przeceniania swoich sił i możliwości oraz totalny przerost odpowiedzialności, który każe jej dokończyć rozpoczęte działanie. Podejmuje się zadań, które z ledwością wykonałaby w swoim maksimum możliwości psychicznych, a ten moment ma już dawno za sobą. Teraz, po tych wszystkich misjach, nie ma już żadnych możliwości, a jej nowe maksimum to pójście po zakupy i rozmowa z sąsiadką. Wścieka się więc na siebie i wścieka się o to, że się wścieka. Część jej natury, uzależniona od adrenaliny, domaga się działania, bez względu na koszt.

Deszcz zaczyna padać jeszcze mocniej. Wychodzi do ogrodu i wystawia twarz pod lejące się z nieba strumienie. Koty patrzą na nią zadziwione.

### **Anatomia i fizjologia, czyli dlaczego śledzenie kota jest bez sensu**

Co więc mamy w sprawie? Zaginioną Greczynkę, która woła o pomoc w snach malarza, pogrzebana żywcem. Rozpytanie kota Mratawoja, który stwierdza, że w odwiedzanym przez niego miejscu poza żarciem ciekawi go „ciemność, zapach zaznaczenia i nieszczęście”. Zeznania kota Juliusza, dotyczące momentu śmierci ludzkiej samicy, która była tak słaba, że nie potrafiła obronić swoich misek. Wizję lokalną z wyżej wymienionym kotem, który pokazał miejsce zdarzenia i potwierdził zgon samicy. Białe oczy i „słuszne oburzenie” doktora Edwarda, który był na tyle zapobiegliwy, że nawet przyniósł ze sobą na przesłuchanie postanowienie o ubezwłasnowolnieniu żony. Nad wyraz inteligentne oczy ekshibicjonistycznego ogrodniczka-maszkarona,

jakoby upośledzonego. Przeczucia własne, oparte na jednokrotnym oglądzie bezpośrednim interakcji behawioralnych Dymitry i doktora. Dodatkowo przeciągające się, pomimo śmierci ludzkiej samicy, uporczywe znikanie kota Mratawoja, który udaje się zazwyczaj w kierunku miejsca zdarzenia. Z takimi materiałami, proszę państwa, możemy prosto z prokuratury trafić na oddział psychiatryczny.

Powinna wziąć sobie psa, mądre, wierne stworzenie, karnie spełniające wszystkie polecenia. Chodziłby przy nodze, tropił wałęsające się koty, zwracał się do niej z szacunkiem „alfa-matko”, kochając ją bezgranicznie. I tak przez kilkanaście lat... Kilkanaście lat bezwarunkowej miłości i naiwnych pogawędek na pewno by ją wykończyło. Zostanie przy kotach.

Odrzucmy te rojenia. Kogo możemy śledzić, by dowiedzieć się, co tak naprawdę dzieje się na tych siedmiu pokojach i poddaszu mieszkalnym, w tych trzech łazienkach, kuchni i przedpokoju, wśród antykowanych mebli? Jak możemy śledzić? Po pierwsze i najprostsze – internet. Edwarda już zna. Dorota jest obecna, ale to nie ta Dorota, tylko jakaś dużo młodsza. Nic nie wiemy o tej starszej Dorocie, poza tym, że nie przepadała za Dymitrą.

Jest natomiast Ewa, która znika z sieci przed siedmioma laty, ale zanim znika, zdąży zasłynąć wieloma pracami z dziedziny biochemii, zrobić doktorat w Stanach, habilitację w Szwajcarii, wykładać na Sorbonie, w Oksfordzie i jeszcze gdzieś tam, pracować z noblistami. Być prześliczną brunetką o nieco bizantyjskiej, wielkookiej urodzie i w jednym momencie zniknąć, żyć tylko w cytatach i bibliografiach. Co cię dopadło, piękna Ewo, że twój małżonek przedstawia orzeczenie o twoim ubezwłasnowolnieniu? Wczesny Alzheimer? Miażdżyca? Wylew? Wypadek? Czy to ty byłaś tą samicą, która nie potrafiła obronić swego terytorium, aż w końcu życie z ciebie uszło? Gdzie jesteś teraz? Pachniesz pod ziemią? Gdzie jest twoja opiekunka Dymitra? Potrafiłabyś odpowiedzieć?

Krzysztofa, świńskiego ogrodnika, na pewno nie będzie w sieci, ale będzie jego miejsce zamieszkania. O proszę, nowo otwarte mieszkanie chronione, integracja, zdobywanie nowych umiejętności społecznych, bla, bla, bla, teraz powiększymy zdjęcie i czyją buźkę tu



mamy? No, nie do pomylenia, jest maskaronik. Pomyślmy, jak do ciebie dotrzeć...

Pozostają koty. Internet nie pozostawia co do nich żadnych złudzeń. Kot jest opisany od najmniejszej kosteczki na koniuszku ogona po krańce wąsów. Właściwości kota, centymetr po centymetrze. Koci kręgosłup, który tworzą ponad trzydzieści trzy różnie ukształtowane kręgi, a te mają zaokrąglone powierzchnie, łatwo i gładko się względem siebie obracają. Przyczepy mięśni i ścięgien pozwalają na dużo większy zakres ruchów niż u innych zwierząt. Kręgosłup kota utrzymują mięśnie, a nie więzadła, jak u człowieka, co zwiększa gibkość i umożliwia rozciąganie się czy zwijanie w kulkę. Obojczyk kota nie jest zrośnięty z obręczą barkową. Dzięki temu kot posiada umiejętność przeciskania się przez nawet bardzo małe otwory. Pozwala to również na znaczne wydłużenie kroku. Kocie pazury wyrastają na końcu każdego palca. Perfekcyjny układ elastycznych ścięgien i mięśni sprawia, że kot potrafi wciągnąć pazury i ukryć je pod fałdem skórnym przez większość czasu. Gdy kot z jakiegoś powodu potrzebuje pazurów, mięśnie wysuwają palec do przodu, co automatycznie wysuwa pazur. Najbardziej rozwiniętymi zmysłami u kota domowego są te, które odpowiadają za efekt polowania. Stosunkowo duże, stojące uszy kota pozwalają mu wychwycić najbardziej delikatne dźwięki, rozróżniać je i precyzyjnie lokalizować. Małżowiny uszne są ruchliwe, co pozwala niezależnie od siebie kierować je w stronę źródła dźwięku. Kot znacznie lepiej słyszy wysokie dźwięki niż człowiek i potrafi bezbłędnie zlokalizować ich źródło. Głos swojego pana usłyszy nawet z 300 metrów. Przyjdzie, jak mu się zechce. Ucho wewnętrzne zawiera doskonale rozwinięty narząd równowagi, który pozwala mu wybrać właściwy kierunek, nawet po wykonaniu wielu zwrotów. Dzięki jego funkcjonowaniu koty potrafią dobrze się wspinać. W razie upadku ciało kota automatycznie przybiera pozycję łapami w dół – zwierze koryguje swój lot, zaczynając od przedniej części ciała i kończąc na tylnej, a ogon służy jako ster i hamulec. Kot potrafi bez rozbiegu skoczyć na wysokość pięciokrotnie wyższą niż długość jego ciała.

Pole widzenia kota jest znacznie szersze niż psa czy człowieka (kot – 187°, pies – 83°, człowiek – 125°). Dzięki temu kot, patrząc prosto

przed siebie, widzi nie tylko to, co znajduje się przed nim, ale też przedmioty z jego prawej i lewej strony, a nawet te znajdujące się nad jego uszami. Dzięki szczególnej budowie oka widzi zarówno w dzień, jak i w nocy. To nieprawda, że widzi w absolutnych ciemnościach. Potrzebuje minimalnego oświetlenia. Faktem jest jednak, że kot w całkowitych ciemnościach radzi sobie nadal bardzo dobrze, między innymi dzięki swoim wąsom – wibrysom, które pozwalają mu unikać przeszkód i stanowią doskonały receptor. Szacuje się, że nocą widzi sześciokrotnie lepiej niż człowiek. Dzieje się tak dlatego, że jego oko wyposażone jest w większą liczbę pręcików niż czopków, a nabłonek naczyniówki złożony z warstw komórek odblaskowych. To właśnie dzięki tym ostatnim kocie oczy w ciemności błyszczą jak reflektory. Kot zdecydowanie widzi obraz kolorowy, rozróżnia jednak nie wszystkie kolory. Potrafi rozróżniać odcienie żółci, zieleni czy niebieskiego, ale kompletnie nie radzi sobie z czerwienią. Najlepiej mu idzie z subtelnymi odcieniami szarości. Oko kota jest dodatkowo zbudowane w ten sposób, że świetnie wykrywa ruch. Widzi jednak nieostro. Doskonale rozróżnia natomiast sylwetki. Węch kota jest silny, jednak znacznie słabszy niż węch psa. Koty posiadają dodatkowy narząd zmysłu w jamie nosowej – organ Jacobsona, zwany inaczej narządem smakowo-węchowym lub lemieszowym. Jest to około centymetrowej długości rurka umiejscowiona w podniebieniu. Jej wylot znajduje się wewnątrz jamy ustnej. Narząd ten pozwala precyzyjnie rozszyfrowywać znaki zapachowe pozostawiane przez inne osobniki. To dlatego obwąchujący coś kot ma często otwarty pyszczek. Dzięki temu specyficznemu zmysłowi koty wytwarzają na swój użytek zapachowy „obraz” obcego kota, człowieka czy przedmiotu.

Na całym ciele kota rozmieszczone są zakończenia nerwów czuciowych, ale nie tylko skóra reaguje na dotyk. Koty mają włosy czuciowe, dzięki którym orientują się w ciemnościach i mogą dokładnie zbadać każdy przedmiot – włosy te znajdują się na policzkach, nad oczami, na podbródku i na przednich łapkach. Błyskawicznie reagują na każdy ruch w swoim najbliższym otoczeniu. Najważniejsze są jednak wibrysy, słynne wąsiska, wyraziście rysowane przez dzieci. Za ich pomocą kot „mierzy” odległość i szerokość otworu i zawczasu wie, czy

w nim nie utknie. Potrafi znaleźć drogę do domu w promieniu 10–15 kilometrów. Prawdopodobnie w celu orientacji w terenie wykorzystuje pole magnetyczne. Ponadto tworzy sobie mapę akustyczną okolicy, słuch stanowi dodatkowy zmysł orientacji. Poza tym koty mają swój uniwersalny język i rozumieją się niezależnie od tego, z jakich części świata pochodzą.

A teraz zapraszamy na zawody w śledzeniu tej doskonałej maszyny do polowania. Niech wezmą w niej udział najlepsi tropiciele, policjanci i komandos, a wygra kot. Nie pokaże ci drogi do żarcia, jeśli nie zechce.

Z tych rozważań jasno wynika, że jedynym dostępnym przedmiotem śledzenia jest pani Dorotka.

Kociara znalazła sobie miejsce na zboczu wzgórza, skąd dość dobrze widać było podjazd i fragment domu. Zaopatrzona w przeciwdeszczową pałatkę, karimatę do siedzenia, termos z kawą i kanapki, zasiadła w dziurze, wygrzebanej pewnie jeszcze w czasie wojny. Z góry była całkowicie niewidoczna, z dołu zasłaniały ją młode samosiejki buku, na grzybiarzy, łąących po stromych zboczach, było zdecydowanie za wcześnie. Zaczęła śledzenie o czwartej nad ranem, przybywszy tam kocią drogą w szarówce, a odprowadzał ją Kubuś, który tym razem kamyczkiem nie oberwał. Przyda się towarzysz, choć na trochę, szczególnie że zwinął się w kłębek i ogrzewa jej nerki. Pewnie przyszli zbyt wcześnie. Widać tylko okna na poddaszu – tam mieszkała Dymitra. Teraz są ciemne. Zachciało jej się palić – skąd taka nagle chęć po dwudziestu latach abstynencji? Śpiewają ptaki, las pachnie wilgotną ziemią i zielenią. Jest dobrze, spokojnie, na razie nie przychodzą żadne wizje, nie niepokoją nienaturalne dźwięki, nagłe hałasy. Czasem tylko zaszeleści w gałęziach spadająca szyszka, by potem pacnąć o ziemię. W takich momentach czuje się niemal szczęśliwa, chciałaby zatrzymać czas i trwać. Siedzi, owinięta w pałatkę, rozmyśla nad doskonałością kociej budowy i wyobraża sobie metalowe koty bojowe, polujące w górach Hindukusz na talibów. O godzinie szóstej jedzie transport do hoteli, O siódmej minut trzydzieści z bramy wyjeżdża doktor. Jest sam. Przed ósmą pojawia się gruba baba, pewnie pielęgniarzka Stefania, z pełnymi siatami. O ósmej czterdzieści pięć

wychodzi pani Dorota z kijkami, kierując się na zdrowotny spacer w stronę kuźni. Kociara z radością stwierdza, że zna panią Dorotę z widzenia. Podziwiała, jak się kobitka trzyma, jaka jest sprawna, gibka, zgrabna. Z tyłu liceum, z przodu... Gdyby nie twarz, to nikt by nie dał jej więcej jak dwadzieścia lat. A twarz – i to wiadomo dopiero z protokołu – też się nieźle trzyma, jak na sześćdziesiąt pięć wiosen. Tylko ten charakter. Po godzinie następuje powrót ze spaceru. O jedenastej wychodzi Stefania. O osiemnastej wraca doktor, by po chwili wyjechać dokądś z mamusią i wrócić po dwóch godzinach. Aperta nie było. O dwudziestej drugiej Kociara schodzi z posterunku. Kubuś zmył się dużo wcześniej. Jest zeszywniała i trochę zmarznięta, ale zadowolona. Cały dzień obyło się bez lęków i wspomnień. W głowie powstaje plan działania. Jest radosna, pobudzona, pełna energii. O krok od wpadnięcia w głęboki dół depresji, jak zna życie. Daliby jej doktorzy, oj, dali. Jest późno. Koty mają pretensje o puste miski i brak głaskania. Mratawoj siedzi i gapi się na nią.

– Powiedziałbyś coś o tych nowych miskach.

Kocur milczy, jakby nigdy nie mówił ludzkim głosem.

**Czynności wykrywcz** Kogo by tu trącić, w który stół uderzyć, żeby coś zadźwięczało w tych ciemnościach? Pani Dorotka. Doktor Edward Białooki. Ubezwłasnowolniona Ewa. Gruba Stefania. Sprośny maskaron. Kurde, trzeba będzie wykonać telefon. Jak ona nie cierpi telefonów...

Grażyna Król, biegły psycholog sądowy, powiatowa gwiazda, niezbyt chętnie przystała na spotkanie. O tym, żeby przyjechała do niej, w ogóle mowy nie było. Na mieście, w kawiarni i koniec. Proszę bardzo, jak się wyżarła, jak zhardziała, już teraz sama wszystko potrafi, nie potrzebuje pomocy... Kiedy to ostatni raz się widziały? Ach, przy okazji tej imprezy z rastamanami i Iwankiem. Grażyna umknęła wtedy po cichu, nawet się nie pożegnała. Czyżby się przestraszyła pistoletu? To o to chodzi?

– Nie dzwonisz, nie odwiedzasz. Czyżby małe wojskowe żarciki cię przerażyły?

Grażyna („Przybyło jej kilogramów przez te parę lat”) mimowolnie umknęła wzrokiem. Coś ukrywała, czegoś nie chciała

powiedzieć. Trudno, kij jej w oko, nie przyszła tu robić terapii, tylko po informacje.

– No dobra, pracowałaś kiedyś w pomocy społecznej. Masz tam jeszcze jakieś kontakty?

– Zależy, co by to miało być...

– Informacja o podopiecznym.

– Da się zrobić.

– Mieszkanie chronione na Oruni, koleś z zespołem Aperta.

Jedyny w swoim rodzaju. Wszystko: od kiedy jest, skąd przyszedł, w jakim stopniu upośledzony, co lubi, dokąd łązi, o czym gada.

– Dobrze, powiedz mi tylko, do czego ci to potrzebne.

– Potrzebne i koniec. OK, ktoś zaginął, młoda dziewczyna, Greczynka. Znałam ją, tak trochę. Policja mnie przesłuchiwała, dali mi materiały poczytać, ale wiesz, jak to jest. Mnie się nie zgadza, a im się ślad urywa w Warszawie, więc teraz prowadzi to stolica.

– Czyżbyś wracała do sądówki?

– W żadnym wypadku. To tylko tak, dla rozrywki.

Umówiły się na telefon. Grażyna Król, ogarnięta nagłym niepokojem, który zawsze towarzyszył jej w czasie spotkań z Kociarą, zastanawiała się, co ta stara wariatka znów wymyśliła i jakie ona, Grażyna, będzie miała w związku z tym problemy. Sprawa musi być rzeczywiście interesująca, bo dotąd, przez te wszystkie lata ich znajomości, jedyna pomoc, o jaką Kociara prosiła, to było łapanie kotów na sterylizację. Grażyna za to prosiła Kociarę o znacznie poważniejsze porady. No dobra, z wdzięczności dla mistrza, z obowiązku moralnego, dla zachowania równowagi pomiędzy dawaniem i braniem, wykona telefon do znajomej, która teraz wszystkie domy pomocy ma w swojej pieczy. Informacje przekaże przez telefon albo w miejscu publicznym. Do tej pory nie może zapomnieć jednorękiego, poparzonego jak Freddy Krueger Ukraińca, pistoletu wycelowanego w pryszczatych chudzielców z dredami i psychopatycznego śmiechu Kociary. „Małe, wojskowe żarciki”, też coś... Z drugiej strony „żarciki policyjne” stawały się niekiedy niepokojąco podobne, widać coś takiego się z ludźmi robi, kiedy noszą mundury i mają dostęp do broni. Jednak w wykonaniu emerytki i inwalidy takie zachowania są jak surrealistyczny, senny

koszmar. Dobrze, szybko zdobędzie te informacje i może znów będzie miała parę lat spokoju.

Telefon od Grażyny Król zastał Kociarę w łazience. Robiła sobie makijaż. Koty plątały się jej pod nogami. Młody wskoczył nawet na blat toaletki i bawił się patyczkiem do czyszczenia uszu. Kociara malowała sobie rzęsy i zastanawiała się, dlaczego zawsze robi przy tym takie głupie miny. Malowanie się było również pomysłem psychiatrów z kliniki, sama z siebie nigdy w życiu by tego nie robiła. Odebrała telefon lewą ręką, prawą nadal trzymając to plastikowe badziewie, jak to się nazywa, mascara czy jakoś tak.

– No, słucham cię, melduj.

Głębokie westchnienie w słuchawce.

– Za dużo na telefon. Za dużo cholernego gówna nawet na kawiarnię. Jadę do ciebie, kurwa. W co ty mnie znowu ładujesz...

Po godzinie już siedziała nad kubkiem kawy. Pogodna, pulchna kobietka w średnim wieku, bardzo podekscytowana, nadmiernie gestykułująca. Jej uczennica, z którą nawet przez moment próbowała się zaprzyjaźnić. Nie wyszło. Grażyna w pewnym momencie czegoś się przestraszyła. Kociara nawet domyślała się czego. Ale informacje będą. To się liczy.

– No dobra. Nasz podopieczny przybył do domu pomocy pięć lat temu, prosto ze szpitala, z oddziału dziecięcego, bo miał szesnaście lat, jego rodzice poszli na areszt, a nim nie miał się kto zająć. W szpitalu leżał, srał pod siebie, brak kontaktu. Co było bardzo dziwne, gdyż miał przyznane nauczanie indywidualne na poziomie liceum. Psychiatra stwierdził, że to skutek szoku, bo młody widział aresztowanie rodziców. Akcja była, że tak powiem, zajebista, z kominiarkami, kopami w drzwi i takie tam. Generalnie chodziło o sektę przez internet znajdującą kobiety, które nie mogły zająć w ciąży, i – oczywiście za kasę – proponującą im uzdrawiające rytuały, ni mniej, ni więcej tylko ofiary z ludzi. Komp, z którego to wychodziło, był w mieszkaniu młodego. To w ogóle był jego komp, a ta sprawa...

– Co ta sprawa?

– Ech, robiłam przy niej trochę, nawet trochę za dużo. Obsrało się w końcu wszystko z braku dowodów. Młodego wtedy nie dało się

przesłuchać. Jego starzy wyszli, ale wcale nie chcieli chłopczyka z powrotem. Ekspresowo załatwili mu dom pomocy. Tam synuś odżył, wróciła mu nawet inteligencja. Najkrótsza charakterystyka wychowanka to „wredny skurwysyn”, nieco dłuższa, to „manipulacyjny, charakteropatyczny, ze skłonnością do dręczenia słabszych i mniej sprawnych, nadpobudliwy seksualnie”. Dupczył ich tam, te leżące warzywa.

– Aha... – przypomniała sobie ekshibicjonistyczny epizod pod pałacykiem. – To by całkiem pasowało.

– Trafił na swojego anioła. Jakiś doktor go zobaczył, zachwycił się ułomnością i podjął wyzwanie. Za friko zoperowali mu dłonie i stopy. Teraz ma pięć palców u każdej łapy i po dwa na nogach. Zaczął lepiej łązić, bo przedtem na dłuższe dystanse się męczył, przewracał, trzeba go było wozic. Z ryjem mu nic nie zrobili. Żeby się pozbyć chwasta z głównego budynku, dali go na to mieszkanie chronione. Ma własny pokój, chodzi gdzieś do roboty, jeden z doktorów, którzy go operowali, daje mu trawnik kosić i takie tam. W nocy ktoś siedzi na dyżurze i pilnuje gada. Tam są sprawniejsi podopieczni, nie dadzą się tak łatwo. Poza tym stał się miłszy – zero agresji, bluzgów, „stara się być pomocny, chętnie wykonuje polecenia, pomaga w codziennych czynnościach domowych” i tak dalej. Jak dla mnie, to się przyczaił, robi sobie przody u opiekunów. Nigdy się nie próbował wyrwać z ośrodka, chociaż mógłby, ubezwłasnowolniony nie jest. No i takie to cudeńko.

– Fajny koleś. Ale nie rozumiem, czym się tak podniecasz. Takie gówno, jakich wiele, a ty od razu, że cię w coś ładuję.

– To takie oddźwięki po tamtej sprawie. Zaangażowałam się za bardzo, choć nie powinnam, a teraz znów wylazło. W sumie mój problem.

Pogadały jeszcze przez chwilę o bzdetach. Nie było żadnej więzi emocjonalnej, żadnego sentymentu ani przyjaźni. Przyjaźni nie było pewnie nigdy. Takie życie. Pozostało przejść nad tym do porządku dziennego. Ostatecznie nie pierwszy to raz. Pomyślmy lepiej o maszkaronie.

Jak gadać z takim zboczonym ścierwem, zastanawiała się Kociara. Wziąć go na huki? Popatrzeć, jak wali sobie konia? Obciągnąć mu?

Grozić bronią? Kurde, dlaczego nie jest dużym złym facetem, tylko starszą kobietą i nie może mu normalnie i po ludzku wpierdolić? Takie jak ona to maskarony owijają sobie dookoła zdeformowanych palców, straszą albo gwałcą. Nie ma czasu, by oswajać zboczeńców. Trzeba inaczej. Trzeba inną drogą, jakąś kocią dziurą, ale telefonować już więcej nie będzie. I tak za dużo się forsuje.

Do pokoju Anny Marczak, doktora biologii w Zakładzie Fitochemii Uniwersytetu Gdańskiego, weszła starsza, bardzo elegancka i zadbana pani w jasnym, wiosennym płaszczu. Uśmiechnęła się (zęby miała białe i pewnie sztuczne – takie rzeczy Anna rejestrowała dokładnie) i zagadała po angielsku z jakimś dziwnym akcentem:

– ...dobry, jestem profesor Elena... issian, z... oston University. Szukam Ewa... Zescynska, trudne nazwisko.

– Proszę, niech pani usiądzie – doktor Anna Marczak nerwowo sprzątała wydruki z biurka i cieszyła się, że jednak ma ten kurs zaawansowanego angielskiego za sobą. W jej wieku i z jej stażem pracy nie było to konieczne. Prędzej przejdzie na emeryturę, niż zabłyśnie na jakiejś międzynarodowej konferencji, a jednak...

– ...kuję. Z Ewa razem prowadziłyśmy badania w Stanach... jednoczonych. Kontakt się potem urwał, nic nie publikuje, w konferencjach nie uczestniczy. Wiem, że tu kiedyś pracowała i przy okazji...

– To pani nic nie wie? Taka tragedia!

– ...gedia? Co to znaczy? – starsza pani o dziwnym akcencie (chyba Ormianka, sądząc po nazwisku i charakterystycznej urodzie) była wyraźnie zaskoczona.

– Pracowałyście razem w Stanach, tak? Potem Ewa pojechała do Oksfordu, a stamtąd na mały grant do Indii. To miały być takie krótkie badania, pomoc dla tamtejszych naukowców, trochę wykładów, ale wiadomo, jaka była Ewa.

– Tak, pracowita – pani profesor energicznie kiwnęła głową, aż misterna, wysoka fryzura z farbowanych na czarno włosów (Anna Marczak dostrzegała dokładnie takie szczegóły) mało się nie rozpadła.

– Po prostu nie mogła żyć bez labu, a Indie to jednak zupełnie prymitywny kraj. Lab nie miał dobrej wentylacji i jeszcze, podobno,



dano jej odczynniki z czarnego rynku albo ktoś się pomylił, nie wiadomo do końca, wszystko to plotki. Zatrzała się. Zapadła w śpiączkę na kilka miesięcy. Leżała w tamtejszym szpitalu. Nie wiadomo, jaką miała opiekę. W końcu mąż ją przywiózł do Polski. Obudziła się, ale uszkodzenia były tak rozległe, że nie mogła wrócić do pracy. Podobno jest jak dziecko. Dostaje oczywiście odszkodowanie, ale co z tego, kiedy już nigdy nie wyzdrowieje.

– Och, mój... że – ciemne oczy za szkłami bez oprawek otworzyły się szeroko. – Nic nie wiedzieliśmy, taka strata dla nauki, taka zdolna kobieta. Czy ktoś ma z nią kontakt?

– Nie wiem. Wtedy ona już tu nie pracowała. Po powrocie ze Stanów przeniosła się na Akademię Medyczną, właściwie cały czas była za granicą...

– ...gedia, tragedia, ale – w torebce starszej pani rozdzwoniła się komórka – na mnie już czas. Bardzo dziękuję.

Wyszła, jednocześnie wyciągając komórkę. Przez niedomknięte drzwi słyhać było energiczny stukot obcasów i słowa, wypowiedane w jakimś osobliwym języku.

„Może nie Ormianka, może Arabka, chociaż za biała” – pomyślała doktor Anna Marczak i wróciła do analizy wyników. Ewa... No cóż, karierę miała piękną i co jej teraz z tego? Uczucie, jakie miała w tej chwili pani doktor, dałoby się określić niemieckim zwrotem „schadenfreude”. Radość z cudzego nieszczęścia. Chociaż nigdy się do tego nie przyznała, nawet sama przed sobą, nie cierpiała takich młodych, ładnych, utalentowanych kobiet, którym wszystko przychodzi zbyt łatwo. Ledwie złączą pracę, to już szybują w górę, do zagranicznych labów. Forsa z grantów płynie strumieniem, doktoraty jakby się same pisały. Czasem jednak lepiej mieć zdrowie i święty spokój niż wątpliwą naukową sławę i zmarnowane życie. Ile to już czasu minęło od tego wypadku Ewy? Sześć? Może siedem? W tej chwili miałyby już pewnie profesurę. A ona, Anna Marczak, cieszy się, że zrobiła doktorat i teraz nikt nie ma prawa wyrzucić jej z uczelni. Do emerytury jeszcze tylko trzy lata.

Kociara natomiast jechała swoim merasiem do domu, rozmyślając o głupocie i naiwności ludzi. Dla niej bardzo korzystnej, bo komuż by

starczyło pomysłu i śmiałości, by legitymować osobę z tytułem profesora, mówiącą po angielsku, chociaż weszła do instytutu jak do obory, prosto z ulicy. Ta pani nawet nie usłyszała dobrze nazwiska. Teraz pewnie myśli, że rozmawiała z Ormianką. Wystarczy mieć fryzurę Cher, dobry makijaż i typowy profil. Cholerne stereotypy.

Czyli tak to z Ewą było. Zupełnie jak z żołnierzem na służbie, moment i po człowieku, leży potem jak roślina, maluje się własnym gównem albo wyje. Patrząc na to nie można, bo wygląda, jak ten sam człowiek, którego znałaś przed rokiem: sprawny, silny, inteligentny, z takim czy siakim charakterem. I co mu potem z odszkodowania czy jakiejś tam zasranej renty, choćby w euro czy dolarach? Ciekawe, ile takie odszkodowanie za naukowca wynosi? Pewnie sporo. Do tego jeszcze renta, dochody z patentów. I co tej biedaczce po tym majątku? Jej to pewnie nic, ale mężowi... Jeśli ją całkowicie ubezwłasnowolnił i został opiekunem. A kto niby miał zostać? Pełna dyspozycja majątkiem, co prawda rozliczać się przed sądem trzeba, ale to przecież drobiazg dla dobrej księgowej prywatnej kliniki chirurgii kosmetycznej. Fajnie, taka kasa za nic co miesiąc. No dobrze, mamy wiedzę, co z Ewą, i co z tego? Ani na centymetr nie zbliżyliśmy się do rozwiązania zagadki – czy Ewa w ogóle żyje? Gdzie podziała się Dymitra? Właściwie to jak się ubezwłasnowolnia człowieka? Kurde, znów trzeba skorzystać z telefonu.

Biegła Grażyna Król udzieliła odpowiedzi wyczerpującej, aczkolwiek w jej głosie nie słychać było entuzjazmu.

– To taki standard: sąd w tezie dowodowej pyta się, jaki jest stan zdrowia psychicznego uczestnika, czy jest w stanie kierować własnym postępowaniem, czy ze względu na stan zdrowia należy doręczać mu pisma procesowe, czy celowe jest wysłuchanie go przez sędziego. Taka sztampa. Powoływany jest psycholog z psychiatrą i jeśli chory nie może przybyć do sądu, bo słabo chodzi albo wręcz leży, to razem z sędzią jadą do niego do domu. Na miejscu szybko badają, sama wiesz jak. Bardziej rozmawia się z rodziną, ogląda dokumentację, zadaje parę pytań na orientację. Jeśli sprawa jest ewidentna, chory nie mówi, nie reaguje albo coś tam pojedynczymi wyrazami odpowiada, najczęściej nieprawidłowo, wszystko razem z wstępną opinią, zaprotokołowaniem, podpisami

zajmuje może pół godziny. Jeśli mówi, to dłużej, czasem nawet jakieś dodatkowe badanie się umawia, ostatecznie ubezwłasnowolnienie to poważna rzecz.

– No dobra, czyli jak ktoś leży jak warzywo i robi pod siebie, coś tam czasem ewentualnie bez sensu plecie, to raz dwa i po krzyku?

Ubezwłasnowolniony całkowicie?

– Dokładnie.

– A jakby ktoś miał, powiedzmy, jakiś zbrodniczy zamiar... Dajmy na to zamulił babcię lekami na czas wizyty sądu, żeby potem zawładnąć jej majątkiem?

– Nie tak łatwo. Aby złożyć wniosek, trzeba dołączyć dokumentację lekarską. To nie jest jednorazowa akcja.

– A jak to brzmi we wnioskach?

– Jezu, nie męcz mnie, zaraz ci przeczytam, mam tu właśnie coś takiego, o: „Pani jakaś tam nie jest chora psychicznie ani upośledzona umysłowo, rozpoznajemy u niej zespół psychoorganiczny otępienny i zaburzenia świadomości pod postacią stanu somnolentnego.

Opiniowana ma całkowicie zniesioną zdolność kierowania swoim postępowaniem w zakresie wszelkich czynności. Obecnie wymaga opieki osób drugich do codziennego funkcjonowania. Opiniowana nie jest zdolna do udziału w czynnościach procesowych. Niecelowym jest doręczanie opiniowanej pism procesowych”. Nigdy nie bywałaś na ubezwłasnowolnieniach?

– Unikałam spraw cywilnych. Dobra, dzięki.

– Nie ma sprawy. Na razie.

– Na razie...

I tyle, ani kocham cię, ani pocałuj mnie w dupę. Co tę Grażynę ugryzło? Nieważne. Nie tędy droga.

Kociara sprawdza swój stan psychiczny. Odczuwa lekki lęk – to dobrze. Jej nastroju zdecydowanie nie można określić jako euforii. Jeszcze lepiej. Sprząta mieszkanie, nie jej azyl w Rodzinnym Ogrodzie Działkowym „Stocznowiec”, ale lokatę kapitału i zabezpieczenie na ostatnie lata w domu starców czy hospicjum, dwa pokoje na Starym Rynku Oliwskim, w uroczej kamienicy z dziewiętnastego wieku. Umeblowane skromnie, bo i tak tu nie bywa. Od czasu do czasu

odkurza. Teraz jednak musi zamienić się w kogoś innego, do kogo zupełnie nie pasuje mieszkanie na działkach. Na pustych półkach regaliku z ratanu ustawia zdjęcia w ramkach. Wydrukowała je z internetu, dbając tylko o to, by wiek i uroda osób nieco się zgadzały. To jej świętej pamięci mąż Andrzej. To syn z synową i ich dwoje dzieci, a to córka z zięciem. Zdjęcia ich synków-bliźniaków osobno. Laurka od wnuków, znaleziona po drodze na śmietniku. Pięknie kwitnący czerwony niecierpek, plastikowa doniczka owinięta ozdobnym celofanem. Poza tym kupiła kawę, herbatę i ciasteczka z długim terminem ważności. Na wszelki wypadek. W tym miejscu jest emerytowaną kadrową jakiegoś wymyślnego przedsiębiorstwa transportowego, która owdowiała dwa lata temu i składa swoje życie na nowo, w samotności. Dzieci za granicą, wnuki też.

Teraz trzeba będzie zacząć chodzić z kijkami. Wszystko dla pani Doroty. To taki ładny obrazek – dwie starsze panie, wędrujące po ścieżkach Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego, samotne, wspierające się nawzajem w trudach codziennego życia. Do zbudowania go będzie potrzebowała dużo samozaparcia, bo nie ma najmniejszej ochoty na zawieranie nowych znajomości, szczególnie w celach inwigilacji.

Następnego dnia z niemal fizycznym bólem i uczuciem mdłości Kociara wzięła kijki i ruszyła na przypadkowe spotkanie z panią Dorotą. O dziewiątej minęły się przy stawie koło hotelu, wymieniając uśmiechy. Kociara czym prędzej skrzyła w bramę ogrodów działkowych i alejkami wewnętrznymi wróciła do domu, cała roztrzęsiona. Oczywiście, na logikę wiedziała, że nic nie podpadnie, ale czy jej wariactwo respektuje jakąkolwiek logikę? Jutro zrobi taki sam numer, pojutrze przerwa na śledzenie, potem tak jeszcze siedem uśmiechów, potem cztery „dzień dobry” i można zacząć iść w tę samą stronę. Ostatecznie jest specjalistką od zachowań ludzkich, wie, że „podobieństwa się przyciągają”, więc się nawet ubierze podobnie jak pani Dorota. Przyjmie postawę bierno-uległą, da się kobiecie zdominować, poprowadzić tę znajomość na jej warunkach, tak chyba będzie najlepiej. Cholera, nie zna się na starych babach. Jej wiedza dotyczy dużych skupisk młodych facetów, napompowanych adrenaliną do rozpuku, których tylko wojskowa dyscyplina potrafi ujarzmić, a i to czasem nie do końca. Jak są wściekli,

to trzeba szybko znaleźć wspólnego wroga, tak jak wtedy, po piętnastu godzinach lotu, gdy nawet wyszczać się nie było jak. Potem cienkie namioty, mroźna noc, mężczyźni warczą, wydłużają im się kły, jeży sierść na karkach, mała iskra i zaczyna się walki – o plecak niechcący przewrócony, o urwany pasek, o zaginiony hełm. Kobieta obserwuje, analizuje zachowania, przewiduje, łagodzi: „To wina organizatorów transportu, niech dowódca coś zrobi”. Wilcze kły znikają, powracają zmordowani żołnierze: „Kurwa, przecież to się tak nie da, czego my tu jeszcze siedzimy, niech dowódca się czegoś dowie, no...”. Hierarchia wraca na miejsce, dowództwo i logistyka biega, załatwia, dowiaduje się, szturmani zapadają w bezruch w oczekiwaniu na informacje. Taką też miała rolę – dostrzegać, kiedy człowiek zamienia się w wilka. Wilka w niewoli, dodajmy, stłoczonego z pobratymcami na małej przestrzeni, ograniczonego zaporami z hesko, rozkazami i strachem.

Ale to już nie wróci. Teraz musi – nie, nie musi, chce przecież – uzyskać informacje od pewnej starszej pani. Nic nadzwyczajnego.

No właśnie. Trzy dni uśmiechów i dzień spędzony w jamie na zboczu. Owocny, bo zaraz po Stefanii przychodzi ogrodniczek-świntuszek. Porusza się trochę jak marionetka, prowadzona przez niewprawnego lalkarza. To zapewne kwestia zrosniętych palców stóp i asymetrii całego ciała. Siedzi długo, nie można dostrzec, co robi. Wraca doktor, tym razem o siedemnastej. Po trzech godzinach odwozi maszkaroną, zaraz wraca. Pani Dorota wypuściła się dziś na dłużej, wyszła o piętnastej, wróciła równo z synem, wieczorkiem. Czyżby jakieś spotkanie towarzyskie? Maszkaron dziś prawie cały dzień był sam w domu – wraz z nieprzytomną Ewą? Nie boją się jej z nim zostawiać?

Czwarty dzień owocuje już pierwszym „dzień dobry” i to ze strony pani Doroty. W dniu siódmym, jak to bywa w procesie tworzenia czegokolwiek, Kociara odpoczywa, udając pod kołdrą, że nie istnieje. Leży w półśnie, nie myśli, nie wspomina, nie je nawet, dopiero po zachodzie słońca coś przegryza.

W dniu ósmym następuje pierwsza wspólna przechadzka. Kociara gra swoją rolę. Jej życie było pozbawione fajerwerków, wielkich wydarzeń, burzliwych emocji, ot, takie sobie zwykłe, normalne życie. Patrzy na panią Dorotę szeroko otwartymi oczami, bo pani Dorota to ho,

ho... Wyższe wykształcenie, kierownicze stanowiska, teraz na emeryturze, ale przynajmniej raz do roku musi być zagranica, no i oczywiście góry. Pani Dorota kocha góry, ma też wspaniałą kondycję. Pomimo wieku nadal się wspina, bo trzeba o siebie dbać i korzystać z życia, póki czas. Ostatnio wspinała się na najwyższy szczyt Santorini, to w Grecji, bardzo surowy, górzysty kraj, ale sobie poradziła, mimo upału. Pani Helenka (jej kretyńskie imię pasuje wyjątkowo do roli emerytowanej kadrowej) spogląda z podziwem – bo ona to najchętniej nad morze albo nad jeziorko, raz czy dwa byli z dziećmi w Zakopanem, ale ona się boi wysokości i podziwia osoby, które po górach chodzą. Bardzo gorliwie podziwia, w głębi ducha złośliwie wspominając Elbrus i zbocza Hindukuszu. Pani Dorotka łyka ten podziw jak cukierki czekoladowe i rozwija się coraz bardziej w swojej opowieści. Przeżywa na nowo wyprawy do Słoweńskiego Raju, ale także do Kudowy i innych sanatoriów, „bo trzeba o siebie dbać i korzystać z życia, póki czas”, taka prywatna mantra pani Dorotki. O życiu osobistym ani słowa, na razie. Koło kuźni pojawia się znajoma biała kocica, ociera się o nogi z tradycyjnym kocim powitaniem: „Masz coś do jedzenia?”. Pani Dorotka jest wstrząśnięta.

– Fu, kot, jak ja ich nie cierpię...

– Ale dlaczego? – prostoduszna pani Helenka nie może pojąć takiej bezinteresownej nienawiści. – Przecież ładne są, pożyteczne, myszki łowią.

– Śmierdzą – tonem nieznoszącym sprzeciwu stwierdza pani Dorotka.

Koniec dyskusji. „Odejdź – mówi Kociara do białej. – Zły człowiek obok mnie”. Kocica odchodzi. Pod domem pani Dorotki na pewno nie stoją miseczki, nawet urok osobisty Mratawoja by nie zadziałał. Nie zostałyby wpuszczony do środka i napojony mleczkiem, po którym i tak miałby sraczkę, więc może to dobrze. Starsze panie żegnają się, niezobowiązująco umawiając na jakieś następne spacerunki. Spotkają się, na pewno, przecież tak dobrze im się rozmawia.

Kociara otrząsa się jak kot, który wdepnął w kałużę. „Co za przemądrzała, egocentryczna cipa – myśli. – I ja mam się z nią mordować? W imię czego?” Zaraz sobie odpowiada: „Chciałaś, było ci

nudno, ciekawość cię pogała. Cierp”. Nawet niegłupi wynalazek te kijki trekkingowe. Kolana mniej doskwierają. Wszystkim w końcu siadają kolana. Choroba zawodowa żołnierzy, przez to ciągle ganiecie ze sprzętem na grzbiecie – swoje przecież waży. Kawał jej się przypomniał z czasów, kiedy powstał projekt o podniesieniu wieku emerytalnego dla wojska, o noszeniu wiader wody na kutasie: „Ale to już przeszłość, prawda dziadku? Tak, kolana nie wytrzymują...”. Kociara chichocze pod nosem.

W następnych dniach pani Helenka napomyka o swoich dzieciach. Trudno jest się wciąć w monologi pani Dorotki, która z rozrzewnieniem wspomina czas studiów, swoje osiągnięcia naukowe, urodę, figurę („w talii mógł mnie mężczyzna objąć dłońmi i tylko trochę brakowało, a palce by się zetknęły”), stroje. Plecie tak, jakby nie były równolatkami (właściwie Kociara wygląda nawet starzej, suche powietrze pustynnych krain i niechęć do nawilżania cery zrobiły swoje) i jakby jej nowa koleżanka pojęcia nie miała o modzie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Ba, jakby o niczym nie miała pojęcia. Traktuje biedną panią Helenkę jak gówniarę. Tak więc trudno jest wtrącić cokolwiek o sobie do tego nieustającego monologu. Jednak się udaje, przynajmniej zacząć, że „mój syn...”. Oczywiście pani Dorotka ma również syna, najwspanialszego na świecie, kochającego matkę bezgranicznie, przystojnego, bogatego, który jeździ z nią za granicę, wozi wszędzie, spełnia wszystkie zachcianki. Przystojny i wykształcony najlepiej pod słońcem, bo jest lekarzem. Nikt nie ma lepszego syna niż ona. Pani Helenka się nie licytuje, tylko wzdycha, bo nie jest w stanie wymyślić nic równie rewelacyjnego, za to ma w zanadrzu jeszcze córkę. O, nie, stwierdza pani Dorota, córki są do niczego, są niewdzięczne, trudniej się je wychowuje. Tu pani Helenka zupełnie nie może się zgodzić, zwłaszcza że pani Dorotka nie miała nigdy córki. Ale za to miała synową! No i się wydało, tak to jest w zapale udowadniania, że się ma zawsze rację. Pani Dorotka czuje zresztą, że powiedziała coś, czego nie powinna. Stara się zmienić temat, ale pani Helenka nie odpuszcza: „Rozwiedli się?” – pyta z troską. „Nie, nie, nic takiego, syn nie uznaje rozwodów”. „Dotarli się pewnie – draży dalej pani Helenka. – Moi też mieli problemy małżeńskie, ale co tam człowiek wie. W sumie to nie

sprawa rodziców, niech między sobą się dogadują, prawda?”

Nieprawda. Matka zawsze pozostaje matką, powinna o dzieci dbać, wszystko jedno, ile mają lat, a pani Dorotki syn, święty człowiek, opiekuje się żoną, bo zachorowała, chociaż wcale na taką opiekę nie zasłużyła. Pani Helenka wyraża całą sobą nabożny podziw i nie pyta już o nic więcej. Rozstają się w zgodzie.

Kociara ma dosyć. Pistolet się jej sam odbezpiecza. Wyobraźnia podsuwa rozmaite sceny tortur i poniżeń, jakie można by zadać tej przemądrzałej cipie. Zrobi sobie dzień przerwy.

Nie udało się. Spała co prawda dobrze, ale obudziła się o świcie i nie mogła przestać kombinować, jak dostać się do domu w dolinie inaczej niż kocią dziurą czy poprzez przyjaźń z głupią babą. Chciała przeszukać każdy zakamarek wielkiego domostwa, zobaczyć pokój Dymitry, posiedzieć przy ubezwłasnowolnionej Ewie. Może coś by jej to podpowiedziało. A w ogóle, to kto umarł w tym domu? Czyżby koty kłamały? Przecież nigdy nie kłamią... A jeśli ona sama ma urojenia i zwierzęta nie mówią? Obraz jest ciemny, szalony, niewyraźny, zagmatwany. Pociągnęła za pewne nitki. Zbyt wcześnie spodziewa się efektów, ale jest niecierpliwa, jak zawsze, kiedy wyznacza sobie zadanie, chce, żeby było wykonane natychmiast. Po kilku godzinach takiej bezsensownej gonitwy myśli zjadła śniadanie, nakarmiła bydlaki i zaczęła się przygotowywać. Plecaczek – okulary, klucze od mieszkania na Rynku, woda, batonik muesli. Pełna gotowość do wyjścia na rejony. Kocią ścieżką, koło budynku nowej przepompowni, udała się na swój punkt obserwacyjny. Dziś zajdzie panią Dorotkę od tyłu, co jeszcze bardziej uprawdopodobni jej miejsce zamieszkania. Potem spróbuje efektu wzajemności, zaprosi panią Dorotkę na kawkę i tamta będzie się musiała odwdzięczyć, chcąc nie chcąc, taka już ludzka natura. Może w międzyczasie nie zabije baby.

Dziś pani Helenka opowiada o wnukach, jak bardzo za nimi tęskni, jak przewycięża swój lęk wysokości i wsiada do samolotu, by szybciej być z nimi. Jednak to widywanie się raz na kilka miesięcy jest przykre, lepiej byłoby tu, na miejscu... Pani Dorotka wyjątkowo nie ma nic do powiedzenia. W końcu warczy, że małe dzieci są męczące i że ona by nigdy nie opiekowała się żadnymi wnukami, bo to jej teraz należy się



wdzięczność i troska. Żadnego odruchu słabości, łez w oczach, że też chciałyby, ale niestety... Tylko agresja, nienawiść, koncentracja na sobie. Pani Helenka profilaktycznie przyznaje jej rację. Tak, zgadza się, wychowanie syna, a potem chora synowa to dość jak na jedną osobę. Pani Dorotka nie odbiera tego jako ironii – ostatecznie takie słowa w ustach wdowy, matki dwojga dzieci, babki czterech wnucząt mogłyby być odczytane właśnie jako ironia – ale nie, to należy hołd dla ofiarnej postawy życiowej pani Dorotki. Rozpogadza się i opowiada o pobycie w sanatorium w Polańczyku, spacerach po górach i powodzeniu, jakim cieszyła się wśród kuracjuszy płci męskiej. Pani Helence udaje się nieśmiało zaprosić ją do siebie na kawę. Królowa łaskawie przyjmuje zaproszenie, gdy rozstają się przy podjeździe do jej domu. O piętnastej będzie. Punktualnie. To ten domeczek przy rynku, tam gdzie na parterze jest krawiec? Tak, to właśnie, kurwa, ten domeczek, klnie w myślach Kociara i wyobraża sobie, jaki by tor przeszkód zafundowała pani Dorotce.

Do piętnastej kawał czasu. Wzięła laptopa i poszła stwarzać wrażenie zamieszkania lokalu. Poszukała informacji o wysokości odszkodowań, zatelefonowała nawet do wojskowego prawnika. Kwoty były może nie porażające, ale znaczne – koszty leczenia, jednorazowe zadośćuczynienie i potem wysokość przewidywanych zarobków co miesiąc do końca życia. Pani Dorotka ma za co jeździć do sanatoriów, kupować tandetne pamiątki na zagranicznych wyjazdach, płacić grubej Stefani za zmianę pampersów synowej. Czemu nie umieści jej w jakimś domu opieki? Przecież roślinie i tak wszystko jedno. Syn nie pozwala? Właściwie nie wiadomo, jak funkcjonuje Ewa. Nikt jej nie widział, wszyscy sugerowali się orzeczeniem całkowitego ubezwłasnowolnienia. Kociara musi jednak porzucić te rozmyślania, bo właśnie do drzwi puka pani Dorotka.

Wizyta przebiega w przewidywalny sposób – najpierw krytyka umeblowania, potem pochwała własnego stylu zagospodarowania wnętrza, rzut oka na zdjęcie świętej pamięci małżonka i stwierdzenie, że małżeństwo to katorga, a mężczyźni są do niczego niepotrzebni. Łyk kawy i opowieść o najnowszym ekspresie ciśnieniowym, który syn kupił, żeby mama miała kawę, taką jak lubi. Ciasteczko – i stwierdzenie,

że własnoręcznie przez nią pieczone są doskonałe, a kupne do niczego. Pani Helenka usprawiedliwia się, że właściwie to mąż decydował o meblach, sprzętach i wszystkich poważniejszych sprawach, a teraz go już nie ma i ona sama nie bardzo wie, nie ma dla kogo i w ogóle. Powinna się cieszyć, mówi pani Dorotka, że teraz już nie ma tego balastu. Może sama sobą rządzić i wydawać pieniądze na to, co chce. Szkoda, że taka miła osoba tyle lat marnowała się w domowym kieracie. Pani Dorotka zaprasza ją do siebie. Może jutro, po spacerku, to Helenka zobaczy ten ekspres, prawidłowe urządzenie domu i jedynie słuszny styl życia. Bardzo chętnie, mówi pani Helenka, starając się nie zauważyć nagłego tykania, po którym poczuła się jak uboga krewna zaszczycona przez księżną.

Kociara sprząta kubki po kawie i jednocześnie stara się z siebie strząsnąć maskę biednej, urażonej Helenki. Cholera, zabolalo. Przypomniały jej się sceny z terapii, kiedy to mówiła do swojego wewnętrznego dziecka, usadowionego naprzeciwko na pustym krześle, kiedy odgrywała czyjaś matkę, kiedy, w końcu, patrzyła przez magiczne gogle amerykańskiego sprzętu do wirtualnego monitorowania stresu. Opleciona czujnikami mierzącymi temperaturę ciała, tętno, oddychanie, przewodnictwo skórne, analizowana przez komputer. Widziała kamieniste pustkowia, rośka i ludzkie postacie. A potem wszystko było nie tak, więc stwierdzili, że to nie ta jedna, konkretna sytuacja ją wykończyła, tylko nastąpiło wypalenie. Nieprawda, właśnie że ta jedna, jedyna. Ale prawdy o niej nigdy nie zrekonstruujemy w wirtualu. Właśnie, w tym momencie trzeba przestać myśleć, wrócić do uczucia zdziwienia nad siłą wyobraźni i odgrywania ról. „Nie jestem panią Helenką”, powtórzyła kilkakrotnie na głos, schowała kubki do szafki i poszła do swojego azyłu. Przez las, by nie przechodzić obok pałacyku w dolinie. Jutro się znajdzie wewnątrz, nie mając pojęcia, co tam zastanie, nie wiedząc nic o rozkładzie pomieszczeń, kompletnie nieprzygotowana do akcji. Teraz, po nakarmieniu futerek, położy się i będzie udawać, że nie istnieje. Odświeży umysł. Wtedy na pewno będzie wiedzieć, co zrobi nazajutrz. Znad kubka herbaty patrzy, jak czarna Gajka wali między uszy Juliusza za jakieś przewiny. Młodziak wskakuje na stół, przymilić się do matki. Przytula twarz do kociego

futerka.

Zasnąć nie może. Zastanawia się, czy opowiedzenie o tym, co się zdarzyło dawno temu w skalistym wąwozie, jakiemuś psychiatrze czy psychologowi cokolwiek by pomogło na jej lęki. A jeśli ktoś doniósłby do prokuratury? Niby tajemnica lekarska, ale... Jeszcze paru stamtąd pozostało w służbie. Jeśli ktoś by uznał, że zagrażają innym, to musiałyby o tym powiadomić, taka prawda. A oni sobie przyrzekli, że nigdy, nigdzie i nikomu. Musi się z nimi spotkać, chociaż nie wierzy, że to coś pomoże. Chce jednak побыć z ludźmi, z którymi łączy ją tajemnica. A czy oni chcą spotkać się z nią? Zobaczy się. Na razie jednak wdała się w rozgrywkę z własną wyobraźnią, gadającymi kotami, przeczuciami i innymi bzdurami, rozgrywkę, z której niby może wyjść w każdej chwili i bardzo by chciała, ale jakoś nie potrafi.

W przedpokoju jest ciemna boazeria, kilka taboretów z bordową tapicerką i wygiętymi kunsztownie nóżkami, ozdobny wieszak i dwoje drzwi. Wnętrze sprawia wrażenie muzeum. Buty oczywiście zdejmujemy, stawiamy na wycieracze z morskiej trawy. Wszystko jest opracowane w najdrobniejszych szczegółach. Na podłodze drewniana klepka typu mozaika. Oryginalna? Zapewne. Obrazy, chyba jakieś reprodukcje czy kopie, Franciszek by wiedział. Pani Dorotka przyjmuje rolę przewodnika. Drzwi po lewej – kuchnia. Rzeźbiony kredens i sprzęty w zabudowie, naśladowanej stare meble. Białe kafelki w niebieskie wzory. Nawet to wszystko ładne, ale jak w tym żyć. Z kuchni prowadzą drzwi z podjazdem dla wózka. Dwuskrzydłowe drzwi do salonu. Jeszcze więcej ciemnego drewna i – no nie, nie do wiary – gdańskie meble, krzesła z lwami za owalnym, masywnym stołem, jak w ratuszu. Kociara się nie zna, owszem, lubi starocie, ale to, co tu widać, to już chyba lekkie przegięcie. Natomiast jej alter ego, biedna pani Helenka, nie może wyjść z podziwu. Opowiada, jak to zawsze zastanawiała się, jak wygląda wnętrze tego pięknego domu. Nawet czasem chodziła naokoło (to mówi na wypadek, gdyby nagle pojawił się maszkaron i ją rozpoznał), ale takiego cudu się nie spodziewała. Rzeczywiście, te meble tak współgrają z wnętrzem, że aż dech zapiera. No słów brak po prostu na opisanie takich wspaniałości. To mieszkanie zasługuje na to, by znaleźć się w jakimś czasopiśmie

o wystroju wewnątrz, jest niesamowite. A za tymi drzwiami to co jest? Nie czekając na przewodniczkę, pani Helenka wchodzi do pokoju, w którym stoi tylko wielki fotel i kawowy stolik, przy ścianach natomiast regały pełne książek, aż pod sufit. Drzwi w lewo, drzwi w prawo...

– Po lewej jest łazienka – mówi przewodniczka. – Naprawdę niezwykła...

Pani Helenka posłusznie podziwia łazienkę z wanną w podłodze i kaflami w lilie. W drzwi po prawej wejść nie można – to pokoje syna, jego prywatna strefa, zresztą tam już są same nowoczesne meble. A teraz pójdziemy napić się herbaty. Z powrotem do kuchni, a z niej do apartamentów pani Dorotki, które za to obfitują w meble art deco, oryginalne oczywiście. Pani Dorotka ma własną łazienkę i sypialnię w wieży. Panie piją herbatkę ze złożonych filiżanek, również art deco, jakże by inaczej. Kolekcjonerstwo wymaga pieniędzy, ale to bardzo pasjonujące hobby, oczywiście nie dla każdego. Dla pani Helenki, myszki, biedulki, na pewno nie. Pora się żegnać.

W przedpokoju są jeszcze jedne drzwi, do pomieszczenia, w którym znajduje się kratka od starej wentylacji gazowej, umierająca kobieta, kocia stołówka. Pani Helenka łapie się za kieszenie, przeszukuje plecaczek. Chyba zapomniała na pokojach pani Dorotki swojej komórki, a buty już włożone, co teraz? Pani Dorotka wznosi oczy ku niebu na takie gapiostwo i idzie z powrotem szukać telefonu. Kociara dopada zamkniętych drzwi, uchyla je powoli, by nie zaskrzypiały, nasłuchując jednocześnie kroków pani Dorotki. Telefon ukryła w zagięciu kanapy, sofy czy jak tam zwał ten mebel. Przez uchylone drzwi widzi fragment ortopedycznego łóżka, stojak na kroplówki, białą szpitalną szafkę. Łóżko jest zasłane, na szafce stoją buteleczki z lekami, widać napoczęty listek tabletek. Złożony wózek inwalidzki stoi oparty o ścianę. Wszystko to na kogoś czeka. Czuć zapach środków odkażających i kwiatowego odświeżacza powietrza. Słychać trzaśnięcie drzwiami. Pani Dorotka zbliża się. Komórka się znalazła. Kociara szybko zamyka drzwi, wraca w skórę pani Helenki, gapi się przez okno na rozległy trawnik.

– Dziękuję, taka ze mnie gapa. Taki piękny trawnik, pewnie wymaga masę pracy...

– Mamy ogrodnika.

Kociara wraca do siebie. Weszła w paszczę lwa i nic nie znalazła. Na nic jej poświęcenie, podchody i starania. Do dupy z tym wszystkim. Teraz na dodatek będzie musiała się pilnie rozglądać, by nie natknąć się na tę kretynkę. A właściwie dlaczego? Nic się przecież nie stało. Teraz przyjadą dzieci. Działka w Dolinie Radości wymaga starań, by wnuki bezpiecznie mogli się na niej bawić. Nic nie mówiła o działce? Niemożliwe...

Na kogo czeka zasłane łóżko i lekarstwa?

Co może jeszcze zrobić, kiedy pani Dorotka zaprosi znowu swoją nową koleżankę na kawę? Chyba już nic – do apartamentów pana doktora nie wejdzie, pokoju Ewy dokładniej nie zwiedzi. Najwyżej osiągnie tyle, że pani Dorotka pokaże jej to mieszkanko na górze, które co prawda nie jest urządzone stylowo, ale... Czy są w nim jeszcze jakieś ślady Dymitry? Może się włamać, kiedy nikogo nie będzie? Ale zawsze ktoś jest, nawet maskaron pełni jakieś funkcje. Chałupa obstawiona. Nie wolno aż tak ryzykować. Byłby to straszny wstyd, gdyby ją przyłapano. Nie zniosłaby tego. Poza tym w takim ogromnym domu są jeszcze różne inne zakamarki, strychy, piwnice, no i pierwsze piętro, które podobno – ale tylko podobno – należy do kogoś innego. Powstaje też pytanie: kogo szukamy? Kogoś, na kogo czeka zasłane łóżko i lekarstwa, a podobno nie żyje lub ( w innej wersji) nie rusza się, funkcjonując jak roślina, potrzebując wózka? Kogoś, kto dokarmia Mratawoja – mniej lub bardziej świadomie? Kogoś, kto jest reprezentowany przez dokument, męża, wspomnienia współpracowników, ślady w internecie, ale kogo nikt nie widział przez ostatnie kilka lat? Czy szukamy jeszcze Dymitry, która wysiadła z samolotu w Warszawie i zamiast lecieć do Aten, wyszła z lotniska i przepadła? Nie wiadomo, kogo szukamy. A może szukamy potwierdzenia, że nie można rozmawiać ze zwierzętami, wizje nigdy nie są prorocze, a przeczucia się nie potwierdzają? Może po prostu wszyscy się nudzimy, Kociara, Lęk i Depresja? Tak czy inaczej, należałoby coś znaleźć, choćby tajne miski Mratawoja. Osobiste śledzenie małego drapieżcy nie wchodzi w rachubę, jak to już żeśmy sobie wytłumaczyli. Trzeba sposobem.

**Przeszłość wylazi z każdego kąta**      Przeczucia się nie sprawdzają?  
Właśnie wtedy, gdy z samego rana udowadnia sobie tę racjonalistyczną tezę, dzwoni telefon. Numer prywatny.

– Cześć, Jelena, Łeppek mówi. Słuchaj, Gonzo świruje, jest gotów wszystkich podjechać. Jedziemy do niego, ja, Artix i Buła, zabierasz się z nami?

– O kurwa, gdzie on teraz jest?

– W Lidzbarku, jesteśmy już w trasie, wstąpić po ciebie?

– Koniecznie. Diabeł wie?

– Wie i sra po gaciach.

– Za ile będziecie?

– Jesteśmy pod Słupskiem, Artix prowadzi, to sobie policz.

Półtorej godziny? Jak ich policja po drodze nie zatrzyma. Marzenia się spełniają, przeczucia sprawdzają. Jeszcze niedawno myślała, żeby się spotkać i porozmawiać, no i proszę. Czuje strach, nie ten bezprzedmiotowy czy chorobowy, ale całkiem normalny, ludzki cykor, kiedy człowiek narozrabiał i wie, że kiedyś się może wydać. To właśnie ta chwila. Myśl o samobójstwie, która jej przychodzi do głowy, chyba też nie jest do końca pochodzenia chorobowego. Ona w pierdłu, a co z kotami, co z jej życiem, umiłowaniem swobody, zielenią za oknem? Nie pójdzie siedzieć, za żadne skarby, a poza tym ten wstyd... Pakować się trzeba, szybko. Dokumenty, okulary, leki. Dużo leków. Nasypać żarcia do wszystkich misek, koty sobie poradzą bez niej nawet trzy dni, potem zaczną polować. Dobrze, że utrzymuje je w półdzikim stanie. Nie wiadomo, kiedy wróci i czy w ogóle wróci. Czy nie zostawiła niczego kompromitującego? Tylko brudne ciuchy włożone do pralki. Krótki luk w kompa, skasować wszystkie maile, wyczyścić kosz – jak zechcą, to i tak się dobiorą, ale na pierwszy rzut oka jest OK i może na tym poprzestaną. Jeszcze broń. Torebka od razu zrobiła się cięższa. Może głupio, ale broni nie zostawi przypadkowym funkcjonariuszom, obojętnie, policji czy żandarmerii. Ubiera się, zestaw miejski, codzienny, oliwkowo-beżowy, żeby chociaż trochę swojskich odcieni było, buty na płaskim obcasie. Punkt zbiórki przy pętli tramwajowej. Samochód przestawi na hotelowy parking. Będzie bezpieczniejszy. Testament już dawno złożyła u notariusza. Rzuca kamyczkiem

w Kubusia, który postanowił wybrać się z nią w ostatnią drogę: „Spadaj, kocurze, muszę sama...”. Nie ogląda się za siebie, nie patrzy na boki, raz tylko, gdy mija pałacyk pani Dorotki. Czuje ukłucie żalu, że nie dowie się już niczego o jego tajemniczych mieszkańcach. Potem myśli o Mratawoju, pięknym, rudym włóczędze, i zaczyna śpiewać o słońcu zachodzącym za górą, zamglonych rzecznych brzegach i żołnierzach wracających z wojny do domu przez stepy. Na wszelki wypadek spodziewa się najgorszego i żegna się z życiem, bo tak jest łatwiej, niż z optymizmem patrzeć w przyszłość, a potem nagle obudzić się w piekle. Nie myśli, nie planuje, nie wyobraża sobie, co zastaną w Lidzbarku, bo tego nie wie nikt. Zrobi, co będzie trzeba, jak zawsze. Znowu jedzie na działania, tylko nie wie, jakie są rozkazy i kto dowodzi, kto okaże się wrogiem, a kto sojusznikiem.

W zatoczkę autobusową wjeżdża granatowy volkswagen, w środku trzech napakowanych, krótko obciętych facetów w ciemnych okularach. Mafia normalnie. Za fajerą blondyn z dyskretnym irokezem, obok miśkowaty szatyn o okrągłej twarzy i odstających uszach, z tyłu jeszcze jeden blondyn – na muskularnym ramieniu ma sentencję wytatuowaną gotyckimi literami. Spod krótkiego rękawa czarnej koszulki widać tylko słowa „nieba dosłużyłem”. Kociara zna całość: „Jeśli zginę, to znaczy, że nieba dosłużyłem”. Nie są sobą – nie mają keplarowych hełmów, kamizelek, pustynnych mundurów, broni. Ma tylko nadzieję, że „keplarowe serca” im pozostały. Jak w tamtej piosence. Krótkie uściski dłoni, trzaśnięcie drzwiami i do przodu, na wylotówkę warszawską. Czworo dziwnych ludzi, połączonych przez wojenny los i niezbyt tym zachwyconych.

- To kto teraz jest najstarszy?
- Ty, jak zwykle – odzywa się Łepeć, misio z przedniego siedzenia.
- O stopień pytam, jełopie, swoją datę urodzenia znam.
- Pierdolić stopnie...
- No, ładnie. To co właściwie się dzieje?
- Melduj, Buła, to do ciebie dzwonił.
- Wydziarany blondyn westchnął ciężko.
- Dziś w nocy, gdzieś tak koło drugiej, zadzwonił Gonzo, chyba

porządnie najebany. Obudził mi babę i dzieciaki. Powiedział, że do jednostki przysłali podoficera z naszej zmiany, który się na niego patrzy i czegoś się domyśla. Kapralina był z gaciowych, za bramę raczej nie wyjeżdżał, Gonzo nie zna jego nazwiska, nigdy z nim nie gadał, ale chuj, gapi się na niego i pewnie wszystkiego się dowiedział. No to ja się pytam, od kogo mógł się dowiedzieć, a Gonzo, że latał wtedy nad nami predator<sup>11</sup> i taśmy dotarły do dowództwa, a on już tego dłużej nie wytrzyma, wszyscy musimy się przyznać, odkupić winy.

– Tak powiedział? Odkupić winy?

– Dokładnie. Potem coś jeszcze pierdolił o spowiedzi, a ja grałem na czas. Powiedziałem, że jako dowódca muszę powiadomić całą drużynę, przyjedziemy do niego i naradzimy się, co zrobić. Nalegał, żebyśmy od razu szli do kościoła i tam wyznali grzech, a potem do ŻW i pod sąd.

– Zgodziłeś się?

– Nie do końca. Nawijałem, że nie jest sam, że zaraz przy nim będziemy, wszystko się załatwi i takie tam. Potem Artiksa ściągnąłem z dupy, Łeppek wziął se wolne na żądanie, a Diabeł siedzi na jakichś ćwiczeniach, teraz pewnie cały osrani. No i jedziemy, kurwa, ratować świat.

– Co o tym myślisz, Jelena?

„Jelena”, jak dawno nie słyszała tej ksywki, nadanej dlatego, że zasuwiała płynnie po rosyjsku, dogadując się z miejscowymi, nie bacząc, że im się to może kojarzyć z poprzednią okupacją. Okupacja czy nie, dogadać się trzeba. No i piosenki ruskie wieczorami przy gitarze śpiewała, ku pamięci Iwanka. Chłopaki z Przemyśla czasem śpiewali razem z nią. Piękne chwile.

– Myślę, że mu kompletnie styki popaliło. Prawdopodobnie ma urojenia. Schiza, jednym słowem.

– I co teraz?

– Jak to co, do wariatów.

– A jak wygada?

– Kto by tam wariatowi wierzył. Nawet jak coś wplecie w te swoje predatory i wyznania grzechów, to nikt się nie połapie. Ustala, że był pod ogniem, wpadł w zasadzkę, nie leczył się i w końcu pękł.



– Zawsze, kurwa, był słaby, przez niego żeśmy się w to bagno wpierdolili – warknął milczący dotąd Artix.

– Zamknij się. Co będzie dalej?

– Będą go leczyć. Dojdzie do siebie. Być może nie będzie pamiętał nic z tego, co ci mówił. Za jakiś czas walnie go znowu. Albo i nie, jak będzie zażywał leki. Renta na bank.

– A jeśli rzeczywiście do kogoś z tym pójdzie? Do dowódcy, kumpla, jakiegoś dziennikarza...

– Wtedy westchniemy głęboko i wyrazimy swój żal, że taki wspaniały człowiek i żołnierz został zniszczony przez chorobę. Odeślemy wszystkich do raportów z tamtych lat, niech sobie poczytają. Ku chwale ojczyzny. Ale nic, kurde, nie planujemy, ja go muszę najpierw obejrzeć, bo taka diagnoza ze słuchu to do dupy, może być zupełnie co innego, może faktycznie się skuł...

– Masz rację. Twarda z ciebie baba, nic się nie zmieniłaś.

– Chuja tam, twarda. Mam wariacką rentę, nie wiedziałeś? Na prochach jadę. Też mam czasem wszystkiego dość. Nie, wyznawać grzechu nie będę – dodała pospiesznie, widząc zdumione spojrzenie Buły. – Prędzej zdechnę.

– Ja myślałem, jak odszedłem z armii, że mam to za sobą. Ale, kurwa, wraca, ścierwo – powiedział Buła, patrząc przez okno na przesuwany się krajobraz rafinerii. – Mam warsztacik, beemy naprawiam małodatom, leżę w kanale, sama przyjemność i święty spokój, ale jak coś pierdolnie, nawet jak klucz mi upadnie, to mało mi pikawa nie wyskoczy, jakbym wrócił do bazy albo był na patrolu. W domu też nie za dobrze, bo się wkurwiam o byle co, na Kryskę wrzeszczę, na dzieciaki. Jakoś to wytrzymują, może dlatego, że cały czas w warsztacie siedzę. Do dupy takie życie, ale się pocieszam, że lepsze takie niż żadne.

– Co wy, kurwa, jakąś tu psychoterapię robicie? Trzeba być twardym, nie miętym i tyle – burknął Artix.

– Wyluzuj, kolo – powiedział milczący dotąd Łepek. – W tej furce są sami twardziele, większych od nas nie ma, sami swoi, można pogadać, nie, Jelena?

– Artix, jakby mi się chciało, to bym coś powiedziała o tej twojej

twardości i o tym, co ci się śni. Więc nie staraj się zwałać całej winy na innych. Weź grzecznie swój kawałek ciasta i wieź nas do tego Lidzbarka.

– No, powiedz, powiedz! Nic mi się, kurwa, nie śni, to nie ja speniałem...

– Tylko stałeś obok, jak słup soli, póki ci Diabeł w pysk nie wypierdolił. Ręce ci na broni zakleszczyło. Mam dalej wymieniać objawy paniki? Ale kij ci w oko, chcesz być maczo, to bądź, nie mnie udowadniać, że jest inaczej. Tak w ogóle, to co porabiasz? Nadal w służbie?

– Odpierdolcie się ode mnie wszyscy! Ja tu tylko za szofera robię, gównu mnie ta cała sprawa obchodzi, nic nie zrobiłem, nic mi nie zrobią. Siedzieć nie pójdę.

– Już dobrze. Też cię kocham.

– Ja ci powiem, Jelena – odezwał się Łepek. – Artix się nie obrazi, nie?

Kierowca w milczeniu pokręcił głową.

– Artix niedawno wziął przymusowy urlop, bo nawrzucał przełożonym. Może śpi dobrze i nie wypatruje wroga za każdym winklem, może nic mu się nie śni, ale za to wkurwia go strasznie cała ta nasza rzeczywistość i ludzie wokół.

– A tobie, Łepek, nic?

– Mnie to samo. Jadę na prochach, dociągnąć chcę do trzydziestu lat służby. Jeszcze dziewięć mi zostało. Jak sobie popatrzę na innych, to nie jest źle. W domu spokojnie, w robocie spokojnie. Ale powiedz, czy to tylko nam się przytrafiło, to znaczy nie stres bojowy, ale to...

– Że zginęli cywile? To się zawsze przydarza, ale nam, kurwa, zdarzyło się w bardzo niedobrym momencie. Gdyby nie było tego całego szumu wokół Nangar Khel, to popłakalibyśmy i przeżyli, koledzy poklepaliby po ramieniu, że tak bywa na wojnie, psycholog by pomógł się z tym pogodzić. Wiecie, co jest najgorsze? Konieczność milczenia. Ja, kurwa, wiem, że psychoterapia pomaga. Jeżdżę na Szaserów, mają dobrych fachowców, zajebisty sprzęt, ale mnie nie wyleczą, bo nie mogę powiedzieć, że guzik mnie obchodzi cała wojna, tylko normalnie boję się sądu i pierdla...

– Ale pierdel to nie wojna, chyba jest do przeżycia...

– Nie wiesz, kurwa, bo cię tam nie ma. Coś ci powiem. Zanim poszłam do armii, pracowałam jako biegła. Miałam czasem kilkanaście przesłuchań tygodniowo, do sądu chodziłam co najmniej raz w tygodniu, opiniowałam morderców, mafiozów, byłam na salach obstawianych przez antyterrorystów. Więc jak poszłam jako świadek do kumpeli na rozwód, to myślałam, że to będzie bułka z masłem. I gówno: pociłam się, plotłam głupoty, najgorszy świadek pod słońcem. Dlatego nie mam zamiaru siadać na ławie oskarżonych, nie mam zamiaru zeznawać ani nikomu się spowiadać. Wiem, jak działa sprawiedliwość, i za cholere nie chcę mieć z nią do czynienia. Koniec.

– Ciekawe, ilu naszych ma takie tajemnice – mruknął Buła, ciągle wpatrzony w krajobraz za oknem.

Nad miastem górował zamek, żywa czerwień cegły w południowym słońcu. Artix przerwał milczenie:

– Dajcie mi jakieś gridy<sup>21</sup> na kwadrat Gonza, co?

Buła podał adres, Artix wprowadził go do GPS.

– Czekaście, musimy coś ustalić...

– Ja myślę, że wyciągniemy go z chaty na jakieś piwo i wtedy zobaczymy.

– Mieszka z rodziną?

– No, ma żonę i dzieciaka.

– Ja bym go nigdzie nie wyciągała, bo może nam dać w długą albo narobić dymów. Lokalizujemy go w domu, Artix i Łepepek obstawiają wyjście i bawią rozmową rodzinę, jeśli są na miejscu. Ja i Buła gadamy z Gonzem, potem ja diagnozuję. Jeśli zwariował, to organizujemy szpital, jak nie, to na piwo.

– Dlaczego ja mam z nim gadać? Łepepek jest bardziej...

– Bo jesteś dowódcą drużyny, bo do ciebie zadzwonił, bo ja tak mówię, coś jeszcze?

– OK, twoja robota, wiesz, co mówisz.

Gonzo mieszkał w wojskowym, czteropiętrowym bloku. Kociara zarejestrowała miseczki koło śmietnika, Buła nacisnął guzik domofonu. Odebrała kobieta.

– Dzień dobry, chcieliśmy się zobaczyć z Mariuszem. Jestem jego

dawnym dowódcą, dzwonił do mnie wczoraj...

Rozległ się brzęczyk, Buła popchnął drzwi, weszli na drugie piętro już w ustalonym porządku: najpierw Buła, potem ona, za nią Artix, na końcu Łepek. Otworzyła im kobieta, brak makijażu, czerwone, zapuchnięte od płaczu oczy. Nie jest dobrze. „Tam jest” – machnęła ręką w kierunku drzwi do pokoju. Na szybie były ponaklejane święte obrazki.

Weszła do pokoju i już wiedziała, nie trzeba było dużo gadać. Śmierdziało fajami, onucą i potem. Okno było zasłonięte. Gonzo siedział w starych bokserkach na rozbebeszonym wyrku. Na klacie miał wytatuowanego orła z wieńcem, był nieogolony, rozczochrany, oczy miał dzikie, było niemal widać wirujące spirale, jak u zwierzątka z kreskówki, które właśnie sponiewierał granat.

– Czołem, żołnierzu. Przyszliśmy porozmawiać, tak jak chciałeś. Patrzył na Bułę, ją ledwie omiółł wzrokiem.

– Dobrze, że jesteś. Musimy się przyznać. Lepiej, jak to zrobimy sami, zanim wejdzie w to żandarmeria. Tak będzie dla nas korzystniej, nie?

– Po co ma wchodzić żandarmeria, cisza i spokój, nikt nic nie wie.

– Właśnie, że wie. Wszyscy już wiedzą. Jeden gostek mnie śledzi. Specjalnie go tu dowództwo przysłało. Zobacz, no, zobacz tu... – Włączył laptopa, klawiatura była brudna, mieli wrażenie, że się klei. – O, na tym filmie z predatora widać...

Faktycznie, na filmiku z YouTube widać było jakieś góry z lotu ptaka. Gonzo wskazywał wyimaginowane szczegóły.

– O, tu jest ten hummer, co się wywalił na ajdku, tutaj, o, widzisz, ten błysk, to moja seria, tutaj nadchodzi Jelena z Diabłem, a tu, kurwa, my wszyscy niesiemy ciała...

– Ja tam nic nie widzę – spojrzała porozumiewawczo na Bułę. – A ty?

– Dla mnie to nawet Afgan nie jest...

– Słuchaj, Gonzo, co proponujesz? Jest z nami jeszcze Artix i Łepek, ale najpierw musisz coś z dowódcą ustalić, potem prześlemy reszcie.

– Pójdziemy wszyscy do kościoła – oczy Gonza płonęły. – Tam będziemy się modlić, dopóki nie nastąpi odkupienie.

– No a skąd będziemy wiedzieć, że to już?

– Ty kurwo babilońska! – wrzasnął Gonzo. – Szatanie, nieśmiertelny demonie patroli, w dupę twoja jebana mać! Kiedy Pan Ukochany rozjebie ci łeb, wtedy będzie odkupienie!

Kociara uniosła brwi i w zadumie pokiwała głową. Klepnęła Bułę po ramieniu:

– Pogadajcie sobie, ale lajtowo. Ja idę do chłopaków.

Siedzieli, milcząc, na wersalce. Pani domu nawet na nich nie patrzyła. Ukryła twarz w dłoniach i kiwała się na fotelu. Kociara przysiadła na poręczu.

– Jestem psychologiem. Musimy zabrać pani męża do szpitala, jego stan jest poważny.

– Co wyście z nim zrobili, coście zrobili...

– Pani musi jechać z nami, jako najbliższa osoba. Na dole czeka samochód.

– Ja? On się wam sprzedał, sami go ratujcie...

– Proszę wstać i się ubrać. Możemy go zabrać, ale potrzebny jest pani podpis, żeby od razu nie wyszedł na własną prośbę, bo jak wyjdzie, to już nie damy rady.

– Mnie to nie obchodzi...

– Moja żona by to dla mnie zrobiła – odezwał się Łeppek. – Wiedziałaś, za kogo idziesz, wiedziałaś, kto wrócił z misji. Wtedy trzeba było uciekać, nie teraz. My nie jesteśmy żadna armia, tylko kumple z drużyny. Pani psycholog nam pomaga. Ubierasz się, kobieto, czy jedziesz, jak stoisz?

Rozczochrana, w powyciąganych dresach i poplamionej bluzce, wzruszyła ramionami i poszła się ogarniać do łazienki.

– Dzięki. Słuchajcie, on jest kompletnie szalony. Mamy jechać do kościoła, modlić się i czekać, aż Bóg rozwali mi łeb. Wtedy będziemy odkupieni.

– Dlaczego tobie? A potem?

– Potem to z nim Buła uzgadnia. Jedziemy do wariatkowa, od razu na izbę przyjęć. Artix prowadzi, obok żona, Łeppek z Bułą biorą go pomiędzy siebie, ja wsiadam ostatnia. Jakby fikał, to spacyfikować. Wlecemy go na izbę, choćby nie chciał. Ja gadam z lekarzem. Do

roboty.

Weszła do pokoju, Gonzo tłumaczył nadal istotę odkupienia. Twarz miał jak maskę z zastygłym wyrazem cierpienia.

– Uzgodniłam z chłopakami. Jedziemy. Twoja żona też.

– Dokąd?

– Odkupywać się, Gonzo, do Najświętszego Kościoła Psychiatrycznego. Koszulkę jakąś załóż, Bóg nie chce oglądać twojej wydzierananej klaty.

Mruczając pod nosem o babilońskiej kurwie, Gonzo naciągnął brudny T-shirt, założył nieśmiertelniki, ale o spodniach zapomniał. Kociara machnęła ręką.

Do samochodu wsiedli bez przeszkód, schody zaczęły się przy szlabanie. Przyciszonym głosem tłumaczyła cieciewi, co i jak, zaś Gonzo się zaniepokoił.

– Gdzie my jesteśmy, przecież to nie kościół, nie próbuj nas oszukać...

– Cicho, zanim zginę, muszę swoje sprawy pozałatwiać. Tylko chwila i zaraz jedziemy.

– Nie oszukuj, diable, nie knuj znowu, Jezus cię widzi.

Wpadła na izbę jak burza, ciągnąc za sobą oszołomioną i niechętną żonę Gonza. Powiedziała, że przywieźli komandosa w ostrej psychozie, trzech inni go trzymają w samochodzie, ale trzeba szybko. Mają go przyprowadzić? Dobra, już się robi. Kiwnęła na chłopaków i schowała się za drzwi. Gonzo nawet specjalnie się nie przeciwstawił. Szedł pomiędzy kolegami, jakiś taki skulony, jakby złamany w pół, żalony w swoich wypłowiałych gaciach, koszulce i plastikowych klapkach. Kurczowo ścisnął nieśmiertelnik, jak ostatnią nić łączącą go z rzeczywistością. „Przerażający jak ozdoba świata, co w malignie bredzi...”, coś takiego jej się przypomniało, gdy patrzyła, jak znika za drzwiami gabinetu, eskortowany przez Bułę i Łepka. Artix podszedł do niej.

– No, to mamy po akcji. Myślisz, że nic z tego nie będzie?

– Dla nas? Nic. Tylko... ty możesz być następny. Nie, nic nie mów – uniosła rękę. – Zastanów się po cichu i na spokojnie, a jak zechcesz wiedzieć, dlaczego akurat ty, to zadzwoń. Nie powiem nikomu.

Przygnębienie. Chorobowe? Nie, prawdziwe, z realnymi przyczynami, podobne do tego, gdy ktoś ginął. Takie pomieszane z wściekłością. I cień lęku, bo co będzie, gdy ktoś jednak uwierzy wariatowi, a jakiś inny z ich grupy pęknie i potwierdzi? Rację miał Gonzo, nazywając ją szatanem. Stała przecież za plecami Buły i szeptała, jak wąż z rajskiego drzewa, słowa pokusy: „Posprzątam, nikt się nie dowie”, a gdy Buła, uczciwy, prosty facet miał jakieś opory – „Chcesz, żeby o twojej drużynie pisali w kiblach »mordercy dzieci«? Tego, kurwa, chcesz? Aresztu i procesu?”. Najgorsze jest to, że za grosz nie ma poczucia winy – ani za to, ani za setki innych manipulacji, których dokonywała, bo taka była jej rola. Boi się tylko tego, że prawda wyjdzie na jaw, i wszystkiego, co po tym nastąpi. Jest klasyczną psychopatką. I jak tu żyć sama ze sobą, z psychopatką pod jednym dachem? Jak to było? Nieśmiertelny demon patroli? Zajebiste.

Wracali z zamiarem popijawy, oczywiście u niej, bo po drodze i nie ma tam żadnej kobiety, która miałaby coś przeciw. Artix milczał i jechał niezwykle, jak na swoje możliwości, ostrożnie. Rozmyślał pewnie nad słowami Jeleny, miała taką nadzieję. Reszta gadała o dupie Maryni, dosłownie i w przenośni. Zamknęła oczy i znalazła się na powrót w baraku o ściankach działowych z cienkiej sklejki, gdzie każdy musiał sobie wykroić kawałek osobistej przestrzeni na siebie, sprzęt i wspomnienia. Jako jedna z niewielu nie miała wspomnień, tylko czarną gitarę i opowieści z misji. Żadnego zdjęcia, obrazka, maskotki. Cała tu i teraz. Dziś pewnie miałaby zdjęcia kotów, ale wtedy jeszcze nie wiedziała, że są prawdziwą miłością jej życia. Tworzyli w tych barakach i namiotach jakieś grupy, przyjaźnie, zdawałoby się na wieczność, scementowane zagrożeniem i poczuciem wspólnoty, ale potem okazywały się przeważnie tak trwałe jak kolonijne miłości – inny czas, inni ludzie, inny klimat i tamto idzie w zapomnienie. W rzeczywistości poza misją nie ma już o czym rozmawiać. Tak właśnie jak teraz, w tej podróży. Na co liczyła? Na zrozumienie? Poczucie wspólnoty? Do niej też by jechali, gdyby się zaczęła pruć w szwach, na pewno. Jeśli tylko mogłaby im przez to czymkolwiek zagrozić. Psychopaci. Wszędzie psychopaci.

Właśnie jej własna banda psychopatów kupowała na stacji

benzynowej jakąś kosmiczną ilość wódki. Przez moment coś jej się roilo o interakcjach alkoholu z lekami, ale odrzuciła te myśli. Jak do tej pory żadnych interakcji nie poczuła. Będzie dobrze. Ktoś w końcu przedzwonił do Diabła i przekazał uspokajające informacje.

Impreza nie kleiła im się, wszystkie rozmowy krążyły wokół tematu Gonza, chociaż próbowali o czym innym. Nie dawało się. Siedziała za stołem, piła kolejny kieliszek, zakąsała marynowanym ogórkiem własnego wyrobu i patrzyła na trzech facetów, którym pierwsza młodość upłynęła w piekle. W jakim tam piekle! „Zwiadowca, gdy zginie, idzie do piekła. Odpocząć przez chwilę”. I ona – „nieśmiertelny demon patroli”. Ależ ten tekst jej przypasiał...

– Coś na smutno pijemy.

– Taka chwila. Może wyszliśmy z wprawy?

– Powiedz, często ludziom tak wali w dekiel?

– Na szczęście nie za często.

– Ale powiedz, dlaczego on?

– Bo spanikował, zabił i nie został ukarany.

– To znaczy, że powinniśmy iść do kicia? Tak by było lepiej?

– Dla niego chyba tak, dla nas, wtedy, nie. Nie w tamtym klimacie.

Powinien ponieść odpowiedzialność sam, ale tak by się nie dało. Ty, Buła, beknąłbyś pierwszy. Dlaczego nie zauważyłeś objawów paniki, czemu nie przeciwdziałałeś, dlaczego dopuściłeś? I tak dalej, rozbijanie gówna na atomy. A za tobą cała reszta: nie obezwładnili, nie odebrali, nie powiadomili przełożonych, kto do kogo strzelał, kto kogo zabił, kto faceta, kto dziewczynkę, a w ogóle, to kto kazał wam tam iść, kto Gonza do służby dopuścił. Jeszcze by wiara was w obroty wzięła, mordercy, krew na rękach, mięczaki, panikarze...

– Gdyby nie ty, tak by pewnie było.

– Tak rozumiałam swoje zadanie. Cywilom daje się takie ładnie brzmiące polecenia: „Ochrona zasobów ludzkich przed zaburzeniami wynikającymi ze stresu pola walki”. A chodzi o to, by mięso armatnie jak najdłużej było w użyciu. No i jesteście. Większość was przynajmniej.

– Nie rozumiem, kurwa, nigdy, dlaczego sądzą żołnierza ci, którzy nigdy na wojnie nie byli. Wsadzić jednego chuja z drugim do



hummera z blaszanym denkiem i puścić na jedynekę, żeby trochę na ajdku się pobujał, wtedy może by, kurwa, zrozumiał o co chodzi...

– Nie masz racji, to nie tak działa. Jest prawo i mówi wyraźnie: tego czy tamtego nie wolno, i jest real, gdzie się dzieje. A jak się dzieje, to o prawie się albo zapomina, albo samo jakoś się łamie, albo normalnie się je olewa, „bedeesy<sup>31</sup> rządzą, reszta może nam naskoczyć”, tak to jest, nie? Wracamy z piekła i nagle rządzi prawo, a nie my. Nigdy w życiu, nikomu nie życzę ławy oskarżonych. Słuchasz i wprost nie możesz uwierzyć, że ty to wszystko zrobiłeś. Z twojego punktu widzenia tak nie wygląda, było inaczej. A trup jest trupem i ożyć nie chce i to ty pociągnąłeś za spust.

– Już się, kurwa, zamknij...

– A niby dlaczego, niech mówi!

– Kurwa? Zamknij się? Przecież ja tu mieszkam. Gdybyście słuchali tego mojego pierdolenia o panice, o tym, jak reagować, to może by było trochę lepiej. Ale kto by tam psychologa słuchał, baby i cywila...

– Nie gadaj, każdy cię słuchał, przecież przy tobie to wszyscy byliśmy zieleni.

– Spałeś na moich zajęciach, pamiętam, knurzyłeś, że aż gwizdało.

– Myślisz, że Gonzo wyjdzie z tego?

– A dlaczego, do kurwy nędzy, powiedziałaś, że ja będę następny?

– Mam mówić teraz? Przy wszystkich?

– Mów, ja się tam niczego nie wstydzę, ja akurat robiłem tam najmniej!

– No nie, on znowu swoje. Gonzo spanikował aktywnie: niekontrolowane działania, strzały, ucieczka. Wyście poszli za Gonzem, a ty skamieniałaś ze strachu. Spanikowałeś biernie. Byłeś sparaliżowany, kompletnie bezofen. Wiem, bo cię oglądałam, pamiętasz? Gównu pamiętasz, film ci się urwał. Byłeś w tak samo ciężkim stanie jak Gonzo, tylko się inaczej objawiał, kapujesz? A teraz, chociaż nic nie zrobiłeś, poza zacieraniem śladów, to pękasz. Wszędzie widzisz wrogów, którzy cię prześladują, poniżają, torpedują działania, krytykują, mają za złe, że byłeś na misji, szykanują, wyznaczają do mało ważnych zadań. I nikt cię nie rozumie. Prawda?

– No, niech ci będzie, że prawda...

– A teraz jak ci powiem, że to twój pierdolec, że tak naprawdę nikt cię nie prześladowa, tylko sam sobie bagno robisz, to mi uwierzysz?

– Ni chuja nie, to nie tak...

– Dobra, koniec gadki, panie i panowie, napijmy się lepiej.

– Za tych co na morzu?

– Za tych i za tamtych...

Wypili, pogadali, pomilczeli. Nie kleiło się, oj nie kleiło... Artix walnął się na kojo i drzemał, Buła siedział przed domem i palił, patrząc w ciemność.

– Czy to kiedyś odpuści? – spytał cicho Łeppek.

– Nie wiem, coś by musiało się wydarzyć...

– Co?

– Odkupienie, tak jak mówił Gonzo.

– Bo ja do tej pory nie wiem, czy to od mojej kuli...

– Masz jeszcze sumienie? Takie coś, co cię żre i mówi w nocy, że jesteś winny tamtych śmierci?

– Wiesz, chyba mam. A ty?

– Fajnie, że masz. Ja już zapomniałam, co to jest. Zasługujesz na odkupienie. Uratowałeś już komuś życie? Komuś niewinnemu, nie rannemu koledze.

– Nie zdarzyło się.

– Może się zdarzy. Życie za życie. Wtedy odkupisz, poczujesz to. Idę spać.

– Dobranoc.

Chłopcy gadali jeszcze trochę i przez chwilę poczuła się jak w bazie, gdzie przez prowizoryczne ścianki ze sklejki słycać było wszystko.

Rano odjechali. Bez sentymentu. Zero pozytywnych więzi. Zjednoczeni wspólną tajemnicą, jedno zależne od drugiego, podejrzliwość, nieufność. Koty wychodziły z zakamarków i z powrotem obejmowały w posiadanie swój teren.

<sup>1]</sup> Predator – amerykański bezzałogowy samolot rozpoznawczy.

<sup>2]</sup> Grid (slang.) – współrzędne, namiar.

<sup>3]</sup> Bedees (slang.) – BDS, Batalion Desantowo-Szturmowy.

**Czynności dochodzeniowo-śledczych ciąg dalszy** Kaca nie miała. Strach przed aresztowaniem zmniejszył się na tyle, by stare potwory mogły się wepchnąć na swoje miejsce. Ale zawsze gdy otwiera się nieznane czasoprzestrzenie, przez szczelinę może wleźć coś nowego, nieznanego. Tako rzecz fantastyka. No i wlaźło. Nazywało się Poczucie Winy. No nie, tego jeszcze nie było, tego się nie spodziewała. Nigdy, przez całe swoje życie nie czuła się za nic winna. Szybko pobrała leki i przeszło, ale zaniepokoiła się nie na żarty. Nowy potwór wycofał się albo usnął na chwilę. Ją jednak ciągle męczyło zagadnienie odkupienia. Powinno się albo ponieść karę, albo ocalić życie. Tylko jedno czy więcej? Ostatecznie wtedy trzy dusze poleciały do nieba. Kto powinien dokonać aktu odkupienia? Ten, kto czuje się winny. Ona. Ona. Ona. No, jeszcze Gonzo, ale tu chyba nastąpiło samoukaranie. Łepiek też się czuje winny. Artix stara się jak może, by dobrowolnie poddać się karze. Co do Diabła, to raczej nie, z nim wszystko w porządku, poza normalnym strachem. Z prawnego punktu widzenia winni są ona i Buła, jako dowódca. On dwa razy – nie wyłapał objawów i nie zapobiegł rozprzestrzenianiu się paniki, wykonał polecenia cywila.

Chyba coś poczyta. Albo pójdzie do psychiatry. Albo do księdza. Albo do żandarmów. Ogrom możliwości jest przytłaczający. Na razie jednak wyrwie chwasty spomiędzy skalniaków, nawiezie trawnik, posmaruje koty płynem przeciwko kleszczom. Niech się każdy martwi o siebie, o tak. W przyrodzie są sprawy niecierpiące zwłoki. A poza tym nie ma nic do żarcia. No i oczywiście nie ma Mratawoja, pomimo że cała ogoniasta banda czeka przy miskach, aż ich matka skończy filozofować. Skołatany mózg Kociary podłapał temat. Tu już nie chodzi o ściganie urojeń, o Ewę czy Dymitrę, to cholerna ciekawość, co ten mały bydlak robi całymi dniami, gdzie łązi, kto mu daje żreć w tym zasranym pałacyku czy gdziekolwiek indziej. Jak się tego dowiedzieć inaczej niż poprzez śledzenie kota, co sensu nie ma, jak już żeśmy sobie udowodnili. Oczywiście poprzez nowoczesne środki techniczne. Mamy dwudziesty pierwszy wiek, przed satelitami nie ukryje się nawet pudełko zapalek, a co dopiero tłusty kocur. Ma również GPS – jeden w samochodzie, drugi osobisty. Był na wyposażeniu, żeby było widać, dokąd idzie i gdzie leżą jej zwłoki. Ten osobisty ma wielkość komóry.

Pozostaje kwestia, jak takie coś przymocować do kota. Oczyma wyobraźni widzi kamizelkę przeciwodłamkową, z praktyczną kieszonką na lokalizator, obrozę, którą zakłada się fokom na stacji morskiej, żeby śledzić ich trasy, jakieś zmyślne czipy, wszczepiane pod skórę. Kamizelka byłaby najlepsza, głupi bydlak obrozę zgubi, tak jak wszystkie dotąd.

Kociara stoi w supermarkecie zoologicznym i w zadumie przegląda asortyment szelek, smyczy i obroży. Obok niej stoi w podobnej zadumie młoda dziewczyna, wzrostu co najmniej metr osiemdziesiąt. Kociara spostrzega coś dziwnego, bierze do ręki, ogląda – obróżka dla pieska ze strusimi piórami. W trzech różnych kolorach – błękitnym, różowym i seledynowym. Z zadziwienia aż oczy szeroko otworzyła.

– O, kurwa...

– A co ja mam powiedzieć? – wysoka dziewczyna spojrzała na przedmiot podziwu Kociary i pomachała smyczą z linki w kolorze fioletowym. – Same fiolety albo róże.

– Nie pasuje do sukienki? A może pani wie, czy można gdzieś dostać takie pełne szelecзки?

– Dla szczeniaczka? Widziałam gdzieś, ale nie tu.

Pół dnia poświęcone na zwiedzanie sklepów dla zwierząt zaowocowało jeszcze wieloma zadziwieniami. Można było nawet nabyć kubraczek dla pieska w barwach pustynnego kamuflażu. Z czapeczką włącznie. Jeszcze dziwniejsze było to, że ludzie z pełnym zaangażowaniem kupowali te gówna dla zwierzaków. Ot, na przykład ta laska, typu blachara, ze swoim mięśniastym kolesiem, który słuchając jakiejś muzy, tępo wpatrywał się w przestrzeń, nie zwracając uwagi na działania swojej pani. A panią właśnie przymierała błękitne polarowe wdzianko łaciatemu kundelkowi. Piesek poddawał się pokornie. Blachara była wyraźnie zadowolona z efektu, spytała jednak swojego kochasia:

– Nie będziesz się z nim wstydził wychodzić?

Kolo nie dosłyszał. Dalej patrzył przed siebie i lekko kiwał się w takt muzyki. Dziewczyna podniosła głos:

– Ty mnie w ogóle nie słuchasz!

Kark drgnął i wyjął słuchawkę z ucha.

– A co mówiłaś?

Laska spojrzała na pieska we wdzianku, potem na napakowanego kolesia. Uśmiechnęła się złośliwie.

– Nie, nie, nic ważnego...

Kociara odwróciła się i chichocząc pod nosem wyszła ze sklepu.

W końcu znalazła te szelecзки. Różowe i błękitne, psia ich mać, dla chłopczyków i dziewczynek. Jak ona ma ubrać wojownika idącego na akcję w takie koloroki? W obydwu będzie wyglądał jak pedał. Biedny Mratawojczyk... Doszła do wniosku, że skoro koty mają problemy z postrzeganiem czerwieni, to przy różu jest duża szansa, że po prostu nie zauważy koloru. A poza tym, czy kot ma jakiegokolwiek poczucie estetyki?

Wróciła wyczerpana, ale od razu postanowiła przystąpić do dzieła, to znaczy ubrać łazęgę w różowy mundur operacyjny. Łazęga nie protestował, dał sobie przełożyć łapy przez otwory i zapiąć zatrzaski na grzbiecie. Następnie skulił się nieco, wciągnął łokcie w luźny fałd skóry podbrzusza i na wstecznym wyczołgał się z kretyńskiego przyodziewku. Otrząsnął się z obrzydzeniem i schował pod fotel. Do dupy te szelecзки, może głupi szczeniak będzie w nich chodził, ale na pewno nie kot. Resztę dnia kombinowała, szukała w internecie, pytała na kocich forach. Znalazła nawet coś w rodzaju kamizelki bojowej dla kota, bardzo eleganckiej, w kolorze szarym, z napisem „police” i „security” do wyboru. To było chyba gorsze niż błękitny kubraczek z polaru. Natomiast zbiorowa mądrość internautów głosiła, że kot wylezie ze wszystkiego, ale obroży nie powinien zgubić, jeśli będzie ściśle dopasowana. Tylko jak do obroży przymocować komórkę? Przy okazji wizyty w internetowym sklepie szpiegowskim zobaczyła „lokalizator GPS z podsłuchem”, nieduże pudełeczko na bransoletce, przyozdobione obrazkiem kotka. Do lokalizacji dzieci. Kosztowało siedemset złotych. Niczym obróżka z diamentami. Jeśli ten gnojek to zgubi, przynajmniej będzie szansa na odnalezienie. A poza tym podsłuch rzecz korzystna. Dobra, szarpniemy się na sprzęt szpiegowski. Dla kota do ścigania urojeń. Za siedemset złotych. Kurwa mać.

Spróbowała jeszcze kocich szelek. Niespodzianka. Za małe były na

jej pupilka. Paseczek między obrózką szyjną a brzuszną cosik za krótki. Upaśliśmy się jak świnia, panie Mratawoju. W akcie ostatecznej desperacji przedłużyła paseczek, doszywając jeszcze kieszonkę na GPS. Nałożyła szorki kotu. Najpierw próbował z nich wypełznąć, sposobem wypróbowanym poprzednio. Nie udało się. Przycupnął więc tam, gdzie stał, ogonem wywijał jak biczykiem i warczał jak rottweiler. Kłął nie gorzej od swojej ludzkiej mamusi. Na darmo mu tłumaczyła, że to ku chwale ojczyzny, w obronie demokracji i pokoju światowego, że żołd dostanie wysoki, szprotów ćwierć kilo codziennie. Kot okazał się zatwardziałym pacyfistą, kompletnie niezdatnym do służby wojskowej. Na każdą próbę czy to tłumaczenia, czy przekupstwa warczał:

– Pierrrrrrdol się. Ssssssspierrrrrrdalaj, kurrrrrrwa...

W końcu załamał się i zaczął płakać jak malutkie kocię. Wstać jednak i przejść choćby kilku kroków w wyposażeniu szpiegowskim nie chciał. Wzruszył ją niemal do łez tym swoim biernym oporem, uwolniła go więc z szelek i z bólem serca wypełniła internetowy kwestionariusz zakupu lokalizatora.

Z obrazkiem „Hello Kitty”. Za siedem stów. Jasna dupa...

Czuła się dobrze. Nawet z własnej woli poszła kilkukrotnie z panią Dorotką na spacer. Powoli uśmiercała panią Helenkę, stawała się coraz bardziej dominująca. Powiedziała nawet, przy okazji kolejnej dyskusji o dzieciach, że pani Dorotka nie powinna się wypowiadać o córkach i wnukach, skoro ich nie posiada. Dopytywała się też coraz bardziej bezczelnie o chorą synową – co jej dolega, jak długo, jak się objawia. Pani Dorotka coraz bardziej plątała się i motała w zeznaniach, aż w końcu przypomniała sobie o czymś ważnym i pośpiesznie wróciła do domu. Teraz pewnie zmieni trasę spacerów. No i dobrze. Kociara po raz kolejny zadumała się nad mądrością powiedzenia, że najlepszą obroną jest atak.

Przyszła paczuszka ze sklepu szpiegowskiego. Lokalizator był zaiste uroczy, ale sprawa śledzenia musiała znów być na chwilę odłożona, bo pochorowała się Gajka. Oczy jej ropiały koszmarnie, przecieranie płynem nic nie pomagało. Chodziła za Kociarą zapuchnięta, skarżyła się, a potem protestowała przeciwko jakimkolwiek zabiegom. Koniec końców została wpakowana do kontenerka i zawieziona do weta.

No i atecortin dwa razy dziennie, prosto na gałkę oczną, połączony z masażem oka. Będzie pani przyjeżdżać czy sama sobie poradzi? Poradzi sobie, oczywiście. Przypomniało jej się, jak któryś z chłopaków stwierdził, że chciałby mieć takiego lekarza jak jego pies. Leżał w polskim szpitalu z raną postrzałową płuca, niby już się zagoiła, ale cały czas coś się paskudziło. Oj, dowiedział się wtedy... Dla Kociary żadna nowina, ale nie ona miała dziury w płucach i perspektywę inwalidztwa do końca życia. Przede wszystkim, po co się tam pchał? Dla forsy? No, to zarobił i teraz jeszcze będzie obciążał podatników przez ileś lat. Po drugie – nie jest żadnym żołnierzem, tylko amerykańskim najemnikiem. Pewnie jeszcze mordercą biednych cywili, więc ma za swoje, dobrze mu tak. Dawali mu to do zrozumienia nie tylko pacjenci, ale też i personel. Widziała w Sewastopolu monument, niemalże świątynię: „Żołnierzom poległym w Afganistanie” głosił napis, wyryty w czarnym granicie. Przynajmniej tyle dostali, bo nasi nic.

Niczemu niewinna Gajka idzie na areszt, żeby nie przyszło jej do głowy wybrać się na dłuższy spacer. Siedzi, bidulka, w klatce z kuwetą i rozpacza. Na nic tłumaczenia, że to dla jej dobra. Te koty są jednak beznadziejnie głupie. Włącza jej stareńką wersję „Poliuszko, polie”. Zauważyła, że działa uspokajająco na zwierzaki. Cholera, nawet własnych piosenek nasi chłopcy nie mają... Oberwała kiedyś za śpiewanie „komunistycznych, propagandowych utworów, sławiących zbrodniczy ustrój, zbrodnie na ludności cywilnej, formacje wojskowe, które okryły się złą sławą”. Chodziło chyba o specnaz. Albo o Woroszyłowa. No to przełożyła na polski. Złamasy do melodii nie mogli się już doczepić. Przecież nie będą śpiewać „Czerwonych maków”. Nuci sobie i kocicy, do wtóru z nagraniem.

Ogląda jeszcze raz lokalizator, mocuje go taśmą do obroży, wgrywa program do lapka i deleguje Juliusza do wypróbowania sprzętu. Jest potulny, mało agresywny, nie fika, nie pyta po co. Matka założyła i już. Po godzinie łatwo znajduje śpiącego smacznie na środku świeżo wykielkowanego zagonka sałaty kota, kilka działek dalej. Jest dobrze. Zdejmuje obrożę szkodnikowi – sałata została pracowicie wydeptana, żeby lepiej się spało, oczywiście. Teraz Mratawoj. Kładzie uszy po sobie, zaczyna złorzeczyć:





nową, a po drugiej, nawet jak się włoży nową, to i tak nie styka. Podłożyła pod pokrywę baterii kawałek gazety. Rudy zwinął się w kłębek i najwyraźniej nie zamierzał nigdzie wędrować. Był na jakiejś kolacji, bo jedzenia nie ruszył. Jutro rano ponownie założy mu obrożę i będzie kontynuować śledzenie.

Czekając na sen, przypomniała sobie swój wykład o panice w sytuacji bojowej. Znów stała przed tablicą pod namiotem, przed nią, na niewygodnych krzesłach, siedział tłum w pustynnych drelichach. Część przysypiała, niektórzy wpatrywali się tępo w przestrzeń, inni szeptali pomiędzy sobą. Nieliczni słuchali. Uciszyła rozmawiających, lecz śpiących doprowadzić do stanu skupienia uwagi na wykładzie się nie dało. Niech tam, sen pewnie im potrzebniejszy niż jej mądrości. Zaczęła jednak od maksymy Leona z Bunkrów, który swoje w Legii Cudzoziemskiej odsłużył: „To nieprawda, co na filmach pokazują, że jak się zabija, to się rzyga. Wcale się nie rzyga”. I otóż właśnie, moi śpiący słuchacze, póki nie staniecie w obliczu sytuacji, która wzbudzi w was skrajne przerażenie, nie będziecie wiedzieli, jak się zachowacie. Nie wiecie, czy cudzy strach przejdzie na was, czy też może was ominie, czy staniecie jak słup soli, czy będziecie spierdalać przed siebie, czy zaczniecie strzelać, czy porzucicie broń. Sorki, może część was wie, o czym mówię, ale pierwszaki jeszcze nie za bardzo, więc niech słuchają: przy okazji wykonywania zadań patrzcie także na swoich kolegów, jeśli którykolwiek zblednie, źrenice mu się rozszerzą i ogólnie zacznie dziwnie się zachowywać, to go walcie w pysk. Jak będzie się rzucał, to obezwładnić. Natychmiast. Bez zastanowienia. Zanim wam się ten strach udzieli. Szczególna odpowiedzialność spoczywa na dowódcach drużyn. Oni w szczególności powinni patrzeć, co się dzieje z podwładnym i oni powinni reagować w pierwszej kolejności, ale przypadek zaistnienia paniki zobowiązuje do reakcji tego, który go zauważył. Jako oddział czy drużyna stanowicie zwartą zbiorowość, w warunkach bojowych nie macie pełnej znajomości sytuacji, macie za to poczucie zagrożenia, często jesteście zmęczeni. To doskonałe środowisko do powstania paniki. Obroną jest wasz profesjonalizm, stopień wyćwiczenia poszczególnych działań i umiejętności, a także dobra atmosfera w grupie i autorytet dowódcy. Dowódca nie może być

ani katem, ani kumplem od browarka, nie może naruszać godności osobistej podwładnego, ale kiedy wymagają tego okoliczności, powinien być surowy, konsekwentny i wymagający. Dyscyplina jest jeszcze jedną okolicznością, która może uchronić przed paniką. Dwadzieścia procent całkowitego wskaźnika poszkodowanych w walce, czyli Total Battle Casuality, to straty spowodowane stresem bojowym, czyli paniką, głównie nią. Powtarzam więc jeszcze raz podstawowe objawy... Mogła powtarzać do znudzenia, sypać przykładami – od starożytności do wczorajszego patrolu. Ten kto słuchał, ten słuchał. Reszta pływała gdzieś we własnych światach.

Od wykładu popłynęła do wąwozu, gdzie na ajdku rozkraczył się rosiek. Wszystko już było na miejscu – chłopcy do przeszukania terenu, mechanik, laweta, no i ona, na wypadek, jakby ktoś dostał szoku. Rannych nie było, na szczęście. W całym tym rozpiżdżeniu nie czuła się potrzebna, więc siadła sobie, opierając się o skałkę. Przysiadł się Diabeł, którego Buła wysłał, by „rozeznał się w sytuacji”, czyli zobaczył, jak daleko są w polu ze zbieraniem złomu i czy warto wybierać się na dłuższy patrol. Diabeł siedział, palił i „rozeznawał się”. Nagle gdzieś poszła seria, ludzie przypadli do ziemi, pochowali się, za czym kto mógł, trzymali broń w gotowości, rozglądając się czujnie. Następne serie, ale już wszyscy się zorientowali, że to dalej od nich, za wzgórzem. Komunikator Diabła zatrzeszczał. Buła kazał mu wracać natychmiast, więc pobiegła za nim, popychana jakąś intuicją, przeczuciem, że tam, za górką, stało się coś wykraczającego poza ramy normalnego patrolu, normalnego ostrzału, przestrzeliwania broni, walenia po skałach na oślep. Najpierw zobaczyła Artiksa, który stał skamieniały, błądy, z oczami jak spodki, dłonie zbieleły mu od zaciskania na broni. Diabeł też to zauważył i strzelił mu z liścia tak, że na bladym policzku pojawił się natychmiast czerwony ślad. Artix poruszył się, a ona widziała już tylko pojedyncze sceny: Gonza klęczącego nad leżącym bezwładnie Lucem, chyba Lucem, bo dostał w głowę, krew na szarej skale, Łepka i Bułę nad dwoma kolejnymi ciałami, twarz dziewczynki, jej zielone, szeroko otwarte oczy, muchę w kącie ust, brudną dłoń chłopaka leżącego twarzą w pyle...

Więc tak – spadł jakiś kamień, potem coś metalicznie stuknęło,

zaszeleścił obsuwający się gruz skalny, szli w wachlarzu i nagle Gonzo puścił serię, Luc już leżał i krwawił, strzelali wszyscy. Artix chyba nie. Dwie uciekające sylwetki. Skoncentrowali na nich ogień, no i... Kto zastrzelił Luca, przecież te dzieciaki nie miały broni. Kurwa, Gonzo go zastrzelił, nie rozumiesz, kurwa, kurwa, kurwa... Łapie Bułę za kamizelkę, potrząsa nim z całej siły: myśl, żołnierzu, kombinuj, dowódcu, bo będzie taka maniana, że się z rozumem nie pozbieramy. Buła potrząsa głową. Widać, że trudno mu się skoncentrować. Właściwie powinien już wzywać MEDEVAC i wszystkich świętych, tak mówią procedury, ale cały koszmar winy i odpowiedzialności go paraliżuje, więc szepcze mu do ucha: Tam, za mną jest taka szczelina w skale, każ wrzucić tam ciała, nikt ich nie znajdzie. Chcesz, żeby o twoich pisali w kiblach „mordercy dzieci”? Buła zaczyna znów dowodzić. Diabeł, Łepok, bierzcie zwłoki, walcie w tę dziurę, dorzucicie kamieni, żeby zasłonić. Artix, wzywaj MEDEVAC. Morda w kubeł. Szuszwale zabili Luca. Ścigaliśmy, ale się oddalili, wołamy posiłki, nie damy się upierdolić jak tamci... Dobrze, szepcze do Buły, dobrze, ogarnij to jakoś, zajmę się Gonzem, który wciąż klęczy nad ciałem Luca i gapi się na nie bez mrugnięcia okiem, więc kopie go w nery ciężkim glanem. Kurwa, zabiłem go. Co ty pierdolisz Gonzo, nikogo nie zabiłeś, szuszwale go zabili, na twoich oczach zabili ci kumpla, to nie twoja wina, nic nie mogłeś zrobić. Ale... Nie ma ale, tak było, to oni go zabili. Płacz, dobrze ci robi. Oni go zabili, kurwa, oni, oni, oni, nikt inny, pamiętaj. Już zaroilo się od mundurów, idą, ostrożnie, broń gotowa do strzału, jest śmigło, nosze, zginął żołnierz, zginął żołnierz... Jeszcze, niby przypadkiem, kopie pod skałkę łuski, rejestruje ranę wylotową. Dobrze, nie będzie wiadomo, z jakiej broni. Skupiają się wokół niej, mówi tylko – uzgodnić wersję, ja zauważyłam Gonza i się nim zajęłam, nie wiem nic więcej. I jeszcze Artix stał jak słup, pamiętajcie o tym. Odwraca się i odchodzi, skąd przyszła, siada pod swoją skałką i patrzy na odległe górskie grzbiety. Kocha każde góry.

To właśnie Luca i tę dwójkę dzieciaków trzeba odpokutować. Czy dobrze rozumie bredzenie wariata: „Kiedy Pan Ukochany rozjebie ci łeb, wtedy będzie odkupienie!”? Powinna umrzeć, a wtedy oni będą wolni? Bzdura, to nie tak. Schizole nie mają zazwyczaj racji. Teraz gdy

wspomina, nie wydaje jej się to wszystko takie straszne. Nie ma poczucia winy, jest tylko strach przed karą. Jest dobrze.

Zasypia spokojnie i rano nie pamięta żadnych snów.

Nazajutrz o świcie, gdy ptaki śpiewają najgłośniej, zakłada Mratawojowi obrożę z lokalizatorem, a gdy po dwóch godzinach kręcenia się w kółko i złorzeczeń kot w końcu oddala się w swoje rejony, siada przed ekranem kompa i co kilka minut sprawdza jego pozycję. Pokrętą drogą, znaczoną licznymi przystankami i odbojami, włóczęga zbliża się do pałacyku w dolinie. Na granicy żywopłotu i podjazdu ucina sobie drzemę, a potem czerwony punkt lokalizatora kieruje się ku wschodniej ścianie budynku, przenika do środka, zatrzymuje się. Kociara włącza podsłuch i w tym momencie z głośników słyca kobiecy szept, słowa w obcym języku, którego nie rozpoznaje, a potem słyszy wyraźnie, jakby wypowiedziane wprost do mikrofonu lokalizatora: „*Help me, gato, help me...*”. Kropka, oznaczająca kota znajduje się na poziomie mniej więcej kuchni, ale przecież nikt nie będzie zaginionej Dymitry tak na widoku trzymał. Pewnie piwnica...

Kociara wyciąga komórkę, znajduje numer Kawy i Mleka i zamyśla się głęboko. Jest godzina dziewiąta minut jednaście.

**Dawaj za** O dziewiętnastej byli już wszyscy, którzy mieli wziąć udział w akcji. Poszli na zwiad kocią ścieżką koło przepompowni, zatrzymali się w punkcie obserwacyjnym, półgłosem wymieniając uwagi. Z boku wyglądali trochę dziwnie, dwóch rośli facetów i starsza babka. Może synowie wzięli mamę na spacer?

– Obiekt jest w piwnicy, wejście od zachodu, zamknięte. Wróg śpi w którymś z dwóch pomieszczeń od północy. Wejście możliwe werandą lub oknem, wysoki parter, tylko cicho. Wziąć go i niech prowadzi. Stara śpi w tej wieżyczce, południowy wschód. Poza tym nikogo nie ma.

– Kurwa, coś ty kobieto wykombinowała...

– Terapię, Artix, terapię...

– I myślisz, że nam pomoże?

– Nie musisz, Łepek, jak nie czujesz. Zawsze możemy dzwonić po gliny.

– Pękasz, facet? Przypomnimy sobie chociaż, kto tu rządzi! Przepierdolimy tę chałupkę w te i nazad jak za starych, dobrych

czasów...

Jest ich troje, najbardziej winnych. Pozostali stwierdzili, że taka akcja to głupota. Nie ma też Gonza, którego nikt nie pytał. Może policja zrobiłaby to lepiej, przynajmniej na początku, ale potem? Kto i kiedy zostałby ukarany? Wierzycie w polską sprawiedliwość? Pewnie, że nie...

Siedzą teraz przy stole u Kociary, która opowiada wszystko od początku, od pierwszego spojrzenia w białe oczy doktora Rzeszczyńskiego, poprzez wizje Franciszka, wizyty Kawy z Mlekiem, śledzenie kota. Miłosiernie pomija swoje rozmowy ze zwierzętami.

– Jednego nie rozumiem – mówi Łepiek. – Skoro widzieli ją na kamerach w Warszawie, to skąd się wzięła tutaj?

– Nie wiem, może sama wróciła, może on ją zawrócił, coś tam między nimi musiało iskrzyć.

– Jesteś pewna, że nie chce tu być?

– Tak. Siedzi w piwnicy i prosi kota o pomoc, znaczy się, nie chce. Dobra. Ja mam taki pomysł...

Radzili, rysowali, przestawiali kubki i solniczkę, wrzeszczeli na Kociarę, że jako cywil w ogóle nie ma prawa nic im mówić, na co ona odwarkiwiała, że już raz im powiedziała i posłuchali, więc teraz też chce być współsprawcą. Czasem ktoś kładł się na sofie i drzemał. O pierwszej w nocy zaczęli układać sprzęt i przebierać się. O pierwszej trzydzieści wyszli – resztką watahy o stepionych kłach – wtapiając się w noc. Do tego momentu Artix gwizdał pod nosem melodyjkę, którą Kociara dopiero teraz skojarzyła. To była jedna z tych nutek, za które wtedy dostała zjeby od dowództwa:

*Dawaj za życie, póki trwa,  
Dawaj tak, bracie, do końca,  
Za tych, co wspominają cię,  
Dawaj za niego i za mnie.  
Dawaj za nich, dawaj za nas,  
Za Irak, Afgan i Kaukaz,  
Za honor, przyjaźń, wojnę tę,  
Za żonę, która czeka cię.  
Dawaj za was, dawaj za nas,  
Dawaj za desant i za zwiad,*

*Za krew, za śmierć, za kuli lot,  
Za salwy błysk i ciemny grób<sup>1]</sup>*

Udał się jej ten przekład, nie ma co...

Doktora Edwarda Rzeszczyńskiego obudził zimny metal w ustach. Szarpnął się, ale metal wbił się tylko głębiej w gardło. Na tle okna kątem oka widział ciemną sylwetkę.

– Wstawaj – powiedział cień.

I nie czekając, aż doktor wykona polecenie, jednym szarpnięciem postawił go na nogi. Dłoń w rękawiczce cuchnącej jakimś smarem zatykała usta, a chłód metalu przeniósł się za ucho. Ciepły strumień moczu pociekł doktorowi po nogach.

– Daj klucze od piwnicy.

Nawet nie miał szansy udać, że ich nie ma.

– Idziemy. Przez werandę.

Okrążyli dom, doktor i cień. Cień otworzył drzwi sutereny i zapalił latarkę, oświetlając drogę.

– Prowadź do niej.

I doktor mijał narzędzia ogrodnicze, pokój Krzysztofa, kuchnię, otwierał drzwi za łazienką i wąskim przejściem prowadził cień do celi Dymitry. Nie miał butów, jakieś ostre drobiny kłuły go w stopy, od piwnicznej podłogi ciągnął chłód. Światło latarki padło na twarz Dymitry-Ewy, śpiącej chemicznym snem. Odór fekaliów był wręcz porażający. Doktorowi wydawało się, że śni, że cała ta scena nie dzieje się naprawdę, tylko za jakąś szybą, na ekranie, za weneckim lustrem. Latarka zgasła, cień lekko westchnął i wyszedł, jego ciche kroki słyhać było jeszcze przez chwilę w korytarzu. W całkowitych ciemnościach starał się odnaleźć ciało Ewy, ale nie było jej, tylko ciepłe wgłębienie w materacu. Cień ją zabrał. Doktor macając ściany, usiłował znaleźć włącznik światła. Zamiast tego napotkał dłoń w rękawicy.

– Kto tu jest?

– Nieśmiertelny demon pola walki – odpowiedział kobiecy głos. – W sprawie odkupienia...

Szorstki sznur otoczył szyję doktora.

Śniło mi się, że ktoś przerzuca mnie sobie przez ramię jak worek i niesie gdzieś w ciemnościach. Nagle leżałam na czymś twardym

i mokrym, wokół pachniało lasem, usłyszałam szum silnika i omiotło mnie silne światło. Boże, przecież leżę na jezdni, za chwilę ten samochód mnie przejedzie, a ja nie mam siły się poruszyć, to chyba nie sen... Samochód zatrzymał się tuż przede mną, wyłączył się silnik, trzasnęły drzwi. Ciężkie kroki, nie znam tych kroków. Ktoś pochyła się, mężczyzna, mówi coś po polsku, nie mogę wydobyć z siebie głosu. Język mam zdrętwiały, w ustach suchość i metaliczny posmak. Jestem podnoszona z asfaltu, nie mogę ustać na nogach, teraz jest miękko, to chyba siedzenie w samochodzie, dokąd jedziemy, nie mogę zapytać. Zasypiam, za chwilę światło, bieganina, głosy, zapach dymu papierosowego, niebieskie i czerwone migające światła, syrena. Ukłucie w dłoń, szarpnięcie, jakaś kobieta głaszcze mnie po głowie, zasypiam. Budzę się znów w ciemnościach. Zanim zorientuję się, że na oczach mam opatrunek, a męski głos poinformuje w moim ojczystym języku, że jestem w szpitalu, zdążę ochrypnąć od krzyku.

Dwie godziny zostały starszemu posterunkowemu Jackowi Piotrkowskiemu do końca nocnego dyżuru. Najgorszy czas, psia wachta na dyżurce, oczy same się zamykają. Ustały imprezy, domowe awantury, pijacy padli, złodzieje jeszcze się nie obudzili. Pod zamkniętymi powiekami posterunkowego przesuwwały się szare fale Bałtyku i dorsz na wędce, miłe marzenia o weekendowej wyprawie. Nagle ktoś energicznie szarpnął za klamkę, dzwonek zabrzączał natarczywie, przerywając drzemkę posterunkowemu. Chwycił za słuchawkę domofonu, przedstawił się.

– Proszę otworzyć, mam tu raną.

Drzwi prawie wyskoczyły z zawiasów, potraktowane kolanem. Do przedsionka komisariatu wszedł wielki facet niosący na rękach ciemnowłosą kobietę. Troskliwie złożył ją na ławce dla interesantów i odwrócił się do posterunkowego. Daszek bejsbolówki ocieniał mu twarz.

– Znalazłem ją na środku jezdni, na Kwietnej, przy tych ostatnich domach. Jest nieprzytomna. Wezwij pogotowie.

– Niech pan zaczeka!

– Śpieszę się.

Gdy starszy posterunkowy wybiegł przed komisariat, nikogo nie

dostrzegł, pomimo że ulica była dość dobrze oświetlona. Wrócił więc do dziewczyny. Była straszliwie blada, chuda, śmierdziała. Oddychała powoli, ale głęboko. Potrząsnął ją za ramię, nie zareagowała. Wpadł do dyżurki i wybrał numer pogotowia.

- Cześć, Jelena, tu Łeppek. Wiesz, chyba pomogło.
- Tylko nie próbuj od razu odstawić leków.
- Nie, ale to tak, jakbym tamtą dziewczynkę wyniósł ku życiu.

Kurde, jak to głupio brzmi.

- Wcale nie. Jak Artix?
- Chyba też lepiej, wrócił do jednostki, nie fika, nie sapie, nie chleje. A co z tobą?
- Pomalutku.
- Dziękuję ci.
- OK, nie ma sprawy.

Odłożyła komórkę. Jak się czuje? Całkiem dobrze, bez euforii, ale i bez depresji, tak... szaro. Lęk został w piwnicach zamczyska. Lekko mrowią ją palce, mięsień odwodzący prawego kciuka drga w jakimś tiku, boli łokieć. Starość nie radość, czekamy na robaki, spokojnie pieląc grządki i głaszcząc koty. Znowu dzwoni telefon. Tym razem policja.

Mleko i Kawa znów siedzieli za stołem w chatce Kociary i pili owocową herbatkę.

– Tak jak mówiłem, sprawa nam się rozwiązała prawie sama, pomyśleliśmy, że pani chciałaby wiedzieć. Jakoś tak z miesiąc temu do waszego komisariatu jakiś koleś przyniósł nieprzytomną dziewczynę. Powiedział, że znalazł ją w lesie na Kwietnej, położył na ławce w poczekalni i znikł. Dyżurny go gonił, ale facet jakby rozpląnął się w powietrzu.

- Pewnie nie chciał potem włączyć się po sądach – dodał Kawa.
- Może. Odstawili dziewczynę do szpitala. Była totalnie zatruta lekami. Początkowo myśleli, że to jakaś próba samobójcza. Żadnych dokumentów, brak kontaktu, oczy nadwrażliwe na światło, świeże blizny po operacji plastycznej.

- Co?!
- Robili jej jakieś dializy, czyścili krew z tych prochów, gadała do siebie w jakimś dziwnym języku, krzyczała, rzucała się. Ktoś



z personelu zajarzył, że mówi po grecku. Ściągnęli człowieka z konsulatu. Naszym się też skojarzyło z zaginioną, tylko kłopot, bo do zdjęcia nie bardzo podobna była. W końcu przecknęła się na tyle, żeby cokolwiek powiedzieć. Podała, że nazywa się Dymitra Papadopoulos i że była więziona przez doktora Edwarda Rzeszczyńskiego, który zrobił jej operację plastyczną, żeby upodobnić ją do zmarłej żony.

– Nie ma żadnego aktu zgonu. Dziewczyna jak cień, trzęsie się cała, bredzi. Jeszcze przez dwóch tłumaczy, to sobie pani wyobrazi...

– Nie przerywaj, młody. Pojechaliśmy do tego ich pałacyku. Otwiera pani matka, bardzo niemiła. Mówi, że syn z żoną wyjechali w podróż, nie ma ich, a nas nie wpuści, bo zna swoje prawa.

– Postaraliśmy się o nakaz przeszukania, przewaliliśmy wszystko od strychu po piwnice.

– Ale ze złej strony zaczęliśmy, bo dopiero na końcu, w piwnicach właśnie, znaleźliśmy zwłoki, nie jedne zresztą. Pod podłogą leżały zwłoki kobiety, pokawałkowane, w dość zaawansowanym stopniu rozkładu, a w innym pokoiku, na materacu, obok wiadra na odchody spoczywał doktor Edward z piękną bruzdą wisielczą, już nieźle napuchnięty. Żeby nie przedłużać, w końcu ustaliliśmy jakiś w miarę logiczny przebieg zdarzeń. Zaczęło się od żony doktora, Ewy.

– Miała to zatrucie, wypadek przy pracy. Zapadła w śpiączkę, potem z tego wyszła. Początkowo wcale nie była taka chora. Owszem, pracować nie mogła, ale jako tako jeszcze kumała. Coś jej się musiało nie spodobać, przypomniała mężowi o rozdzielności majątkowej i wtedy jakoś, dziwnym trafem, tak jej się pogorszyło, że trzeba było wnieść o ubezwłasnowolnienie całkowite.

– Duża forsa z odszkodowań i patentów trafiła do doktora. Wtedy otworzył tę swoją prywatną klinikę, zaczął się rozbijać ładną furką. Oczywiście kurator z sądu przychodził, patrzył na kobietę, przeważnie spała albo leżała bez żadnego kontaktu, sprawozdania były w porządku...

– Sekcja wykazała, że była tak nafaszerowana psychotropami, że w końcu wysiadły jej nerki, wątroba i serce, niemal jednocześnie. Poza tym była normalnie zagłodzona. Doktorek musiał mieć świadomość, że żona długo nie pociągnie, a pieniądze miłe. Przygruchał sobie w wakacje

tę Dymitrę. Nawiasem mówiąc, dziewczę głupie jak but i naiwne. Przyjechała do Polski zakochana w doktoru. Trochę tam w domu porobiła, trochę się po knajpach włóczyli, aż pewnego dnia, w marcu, Ewa umarła.

– Doktor zakopał ciało w piwniczce, wmówił Greczynce, że się z nią ożeni i wysłał do domu. Nigdy nie dojechała nawet na lotnisko. Uśpił ją czymś, zrobił operację plastyczną, zmienił kształt oczu, ust i nosa, żeby z grubsza była podobna do świętej pamięci małżonki. Wszystko dla kuratora sądowego oczywiście. Dziewczyna chyba nie życzyła sobie zmiany twarzy, bo w końcu trzymali ją w piwnicy, najczęściej albo przywiązaną pasami, albo naćpaną prochami, a wystawiali tylko, gdy przychodziła kontrola. Wszyscy domownicy wiedzieli, że ona tam w tej piwnicy gnije, w sąsiedztwie małżonki, tylko że za życia. Matka, ta gruba pielęgniarza i jakiś upośledzony, co robił za ogrodnika. Ten był szczególnie niemiły, jakieś świństwa z naszą pokrzywdzoną wyczyniał. W każdym razie jak tylko o nim wspomni, to dostaje hysterii.

– Nikt nie wie, dlaczego właśnie miesiąc temu pan doktor uwolnił Dymitrę, a potem obwiesił się w jej piwnicznej celi. Ona sama niewiele pamięta – ktoś ją położył na jezdni, jakiś samochód się zatrzymał, zabrał ją. Po prostu była tak naćpana tymi prochami, że ustać na nogach nie mogła i co chwila film jej się zrywał.

– Wiszącego doktora znalazła pielęgniarza, poleciała do matki. Ta próbowała kombinować, nie mogła powiadomić nas, bo przecież w piwniczce drugi trup, więc kazała syna odciąć i zostawić. Pielęgniarza z przygłupem polecenie wykonali i więcej się w pałacu nie pojawili. Wredna baba została sama i chyba jej te zwłoki nie przeszkadzały, bo nawet nic nie planowała.

– Jeszcze jedną ciekawostkę żeśmy odkryli. Pamięta pani te nagrania z kamer na Okęciu, co nas tak zmyliły? W pokoju doktora znaleźliśmy lateksową maskę. Twarz naszej zaginionej. Matka ją założyła i poleciała do Warszawy. Jak to było? Z tyłu liceum, z przodu muzeum?

– Mamy dwa trupy i dwie aresztowane baby.

– A ten upośledzony?

– No, właśnie, dobrze pani powiedziała, upośledzony. Nie ma rozeznania czynu, tak biegli orzekli, nikomu nie ubliżając.

– No patrzcie, taka historia i to pod moim bokiem. Kto by pomyślał. Smakuje herbatka?

– Dziękujemy, bardzo smakuje, tylko pani taką dobrą nam robi, wszędzie indziej kawa i kawa...

Pogadali jeszcze chwilę o niczym. Policjanci wyszli. Mratawoj, zwinięty w kłębek na sofie wstał i ziewnął szeroko, przeciągając się. Po raz nie wiadomo który Kociara z rozczeniem podziwiała ostre kielki i wysunięte pazury miniaturowego drapieżnika. Uśmiechnęła się do kota.

– No i widzisz, łązego, nie lepiej u mamy spać na poduszkach zamiast się włóczyć po cudzych michach?

– Szacunek tobie, ludzka matko. Bardzo sprawnie upolowałaś tamtego samca. – Matawoj łebkiem otarł się o jej nogę. – Bardzo sprawnie. Prawie jak kot.

<sup>11</sup>*Dawaj za* – piosenka zespołu Lube poświęcona żołnierzom Specnazu, potraktowana tu bardziej jako luźna inspiracja.

**O autorze Katarzyna Rogińska** - gdańszczanka; ukończyła psychologię na Uniwersytecie Gdańskim, od 1990 roku pracuje w zawodzie: zajmuje się dziećmi i młodzieżą niepełnosprawną intelektualnie oraz psychologią sądową. Poza artykułami na tematy zawodowe publikowała opowiadania fantastyczne w „Feniksie”. Jest także autorką thrillera *Jeśli czegoś pragnę* oraz opowiadania w zbiorze *Mogliby w końcu kogoś zabić*. Jej zainteresowania to malarstwo, czytanie, podróże dalekie i bliskie, koty i ogrodnictwo.